

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

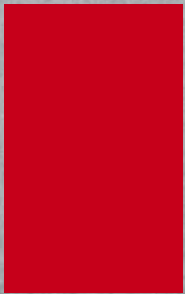
WOLNA SOBOTA

• Nowy szef TVP walczy z Antychrystem • Abolicjoniści – wielki powrót młota • Herzog: Prawda to nie fakty • Łepkowska: Nie lubię królowej • Gaslightink, czyli robienie z kogoś wariata



WYSOKIE OBCASY

Patricia Kazadi:
Moja przyjaciółka
endometrioza
Jedenaste: nie molestuj



GAZETA wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



KRÓL Karol III

Boże, chroń króla, bo przed nim wyzwania,
które mogą obalić monarchię

FOT. ANWAR HUSSEIN COLLECTION/SIPA PRESS/EAST NEWS

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Elżbieta II
żegna imperium**
Jak się skończyła kolonialna
potęga Wielkiej Brytanii



Kłamstwa o 17 września
Rosjanie atak na Polskę
oceniają jako genialny ruch
Stalina

Szczerek otwiera przekop
Szukano „odważnego kapitana”,
który jakimś cudem przedrze się
przez płyciznę ► 16

Katarzyna
Tubylewicz

Bądźmy zszokowani

Wybory w Szwecji to trzęsienie ziemi, które nie wywołuje wielkich emocji, bo te wyczerpały się wcześniej. Jak zawsze najwięcej głosów zebrali Socjaldemokraci, frekwencja była ponad 80-proc. i znowu wzrosło poparcie dla nacjonalistycznej partii Szwedzkich Demokratów. Tak się dzieje, odkąd SD w 2010 r. weszło do Riksdagu i za każdym razem wywoływało to szok. Tym razem jest jakoś spokojniej, choć SD stało się właśnie drugą siłą w parlamencie. Premierem będzie szef innej partii, ale w pełni zależny od wsparcia SD, a partia ta od lat obiecuje swoim wyborcom (większość z nich to słabo wykształceni mężczyźni ze wsi i małych miast) całkowitą zmianę kraju. Politycy SD proponują niesłychanie proste rozwiązania skomplikowanych problemów w kraju wielokulturowym (22 proc. mieszkańców Szwecji urodziło się poza jej granicami): zamknięcie kraju, pielegnowanie prawdziwej – najchętniej ludowej – kultury szwedzkiej, powrót do wartości rodzinnych (bez przesady z tymi prawami LGBT), zrobienie porządku z mediami państwowymi, które są

lewicowe i kłamią. Ich hasłom sprzyja wiatr historii i zmęczenie obywateli. Szwecja ma duże problemy z przestępczością zorganizowaną, w strzelaninach zginęło w tym roku ponad 40 osób, a poza tym – jak wszędzie – rosną ceny energii...

Politycy SD nie

wyglądają już dziś na bojówkarzy. Wcisnęli na siebie nieźle skrojone marynarki, a przewodniczący Jimmie Åkesson stylem naśladuje męża szwedzkiej następczyni tronu. Jednak partia ma neonazistowskie korzenie i ów duch ciągle tam jest. Kiedy powstała w latach 80., w jej szeregach byli zdeklarowani antysemita, skinheadzi oraz osoby podziwiające dokonania Hitlera. W 2004 r. sekretarz SD Torbjörn Kastell wysłał e-mail do jej członków informujący, jak zmieniać język, aby sprawiać lepsze wrażenie:

„Nie mówimy: »Wypieprzyć stąd czarnuchów«, tylko na przykład: »Działamy na rzecz repatriacji odmiennych etnicznie obcokrajowców, kryminalistów i elementów niezdolnych do asymilacji«. Nie mówimy: »Pedały z powrotem do szafy«, tylko: »Dbajmy o podstawową komórkę, którą jest rodzina«.

Dziś przewodniczący Åkesson wypolerował nacjonalistyczno-populistyczne hasła tak, że da się je upchnąć w demokratycznej polifonii. Jednak zachowałabym tu daleko idącą czujność. Zwłaszcza że Szwecja to kraj konsensusu, w którym ludzie niechętnie przeciwstawiają się władzy i rzadko wychodzą na ulicę. To także kraj, w którym do lat 70. zeszłego wieku prowadzono przymusowe sterylizacje osób nieprzystających do „zdrowej” tkanki społecznej.

Krótko mówiąc: Szwecja łatwo ulega różnym ideologiom. To, że przez ostatnie 70 lat ulegała pięknej idei bycia humanitarnym mocarstwem i tolerancyjnym sumieniem świata, nie oznacza, że nie może z czasem ulec innej koncepcji. Masha Gessen napisała po zwycięstwie Trumpa: „Biorąc pod uwagę naszą skłonność do normalizowania wszystkiego, ważne jest zachowywanie zdolności do bycia zszokowanym”. Bądźmy. ●

Andrzej rysuje



Ukraińska kontrofensywa Obraz po bitwie



Ukraiński żołnierz karmi bezpańskie koty w wyzwolonym właśnie Iziumie w obwodzie charkowskim, 13 września 2022 r.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cytat dnia

*Świat idzie
naprzód, a ścieżka,
którą podąża, jest
zdecydowanie
niebinarna*



GIONA A. NAZZARO

dyrektor artystyczny festiwalu w Locarno. Festiwal kończy z przyznawaniem nagród za najlepsze role męskie i żeńskie. Będą dwie nagrody za najlepszą grę aktorską

Nowe spojrzenie na Vermeera „Mleczarka” prześwietlona

Rijksmuseum ogłosiło odkrycie, którego bohaterem jest jeden z najbardziej znanych obrazów Jana Vermeera – „Mleczarka”. Przedstawia kobietę w białej chustce w skupieniu przelewającą mleko z glinianego dzbanka do miski, podczas gdy z okna pada na nią światło dnia, wydobywając różne odcienie z obrusa i fartucha, którym jest przepasana. Tło obrazu to pusta ściana, na której delikatnie układa się światłocień. Okazuje się, że malarz początkowo miał na to zupełnie inny pomysł.

Holenderscy konserwatorzy prześwietlili obraz dyfraktometrem rentgenowskim (XRPD scanner) i pod warstwami olejnych farb i pigmentów dostrzegli nieznane dotąd fragmenty. Początkowo Vermeer za głowę mleczarki naszkicował półkę na dzbanki i kilka wiszących na kółkach naczyń. Przedmiot leżący na podłodze w prawym dolnym rogu obrazu naukowcy zdefiniowali jako piecyk, na którym suszono bieliznę.

Zdaniem Gregora Webera z Rijksmuseum odkrycie rzuca



nowe światło na technikę malarstwa Vermeera. – Dotąd myśleliśmy, że był malarzem tworzącym powoli, z niezwykłą dokładnością. Okazuje się, że zaczynał od rzucenia szybkiego szkicu na płótno, który następnie cierpliwie wypełniał kolorami i detalami. Eliminował też elementy kompozycji, starając się nie rozpraszać uwagi odbiorcy, która miała się koncentrować na twarzy mleczarki i wykonywanej przez nią w skupieniu czynności. ● Anna S. Dębowska

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Hałasy i szmery

Żyli z jej emerytury, chorowali oboje. Martwiła się, jak syn sobie bez niej poradzi, niepostrzeżenie. Bóg chociaż raz poszedł Helenie na rękę. To wszystko jest niepojęte, syn i matka umarli w tym samym momencie.

Reportaż Pawła Piotra Reszki



Ekonomia+

Mieszkanie to dobro społeczne

– Mieszkania nie powinny być dobrem inwestycyjnym, tylko dobrem społecznym – mówi Justynie Sobolak Adam Czerniak z SGH. Jak wyjść z impasu po serii niepowodzeń rządowych programów mieszkaniowych?

Top 4 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Komu zaryczą Złote Lwy

1 Komu Srebrne, a komu przypadnie Złoty Pazur dowiemy się dziś – laureatów i laureatki Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni ogłosi podczas gali przewodniczący jury, reżyser Jerzy Domaradzki. W tym roku w konkursie głównym znalazło się aż 20 filmów (cztery dodano już po zamknięciu konkursowej listy). Nazwisko jednego z laureatów już znamy: statuetkę Platynowe Lwy za całokształt twórczości odbierze Filip Bajon.



FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, MICHAŁ RYNIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL, MATERIAŁY PRASOWE, KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Sobota

Celebracja przekopu

2 Przekop Mierzei Wiślanej marzył się Stefanowi Batoremu, zastanawiał się nad nim Bismarck, swego dopiął dopiero Jarosław Kaczyński. 17 września rząd otworzy kanał łączący Zalew Wiślany z Morzem Bałtyckim. By uzasadnić jego sens i przeskalowany budżet (urósł z 880 mln do 2,2 mld zł), politycy PiS wymieniali argumenty jak rękawiczki. Najpierw kanał miał być kołem zamachowym dla Elbląga. Ostatnio więcej mówi się o jego potencjale obronnym.



Środa

Mroczne koreańskie sekrety

3 Jako film otwarcia Korean Film Festival zobaczymy „Podejrzana”, najnowsze dzieło Park Chan-wooka nagrodzonego na festiwalu w Cannes. A potem najnowsze koreańskie filmy akcji, ale też kino artystyczne, m.in. „Baby Broker” Hirokazu Koreedy. Reżyser „Złodziejasków” znów pokazuje „mroczne sekrety koreańskiego społeczeństwa”. Warszawa, Kinoteka, 21-28 września; Wrocław, kino Nowe Horyzonty, 7-13 października.



Czwartek

Lewandowski i koledzy na Narodowym

4 To będzie prawie ostatnia próba przed mundialem: reprezentacja Polski zagra mecz z Holandią. Na Stadion Narodowy wybiegną strzelający gola za golem w Barcelonie Robert Lewandowski, odnajdujący formę w Juventusie Arkadiusz Milik czy czarujący w Napoli Piotr Zieliński. Mecze Ligi Narodów – czwartkowy z Holandią i niedzielny z Walią – to ostatnie próby przed powołaniem drużyny na mundial w Katarze.



Liczba dnia

29

LAT
W tym wieku statystyczny Polak wyprowadza się od rodziców. Najszybciej usamodzielniają się Szwedzi – 19 lat, a najpóźniej Portugalczycy – 33,6 lat.

Więcej ►
Biqdata.wyborcza.pl

Koniec imperialnej Rosji

Putin już się nie liczy

Czy my jesteśmy naprawdę przygotowani na zwycięstwo Ukrainy?

Applebaum



Przez ostatni tydzień ukraińskie wojska przełamały rosyjskie linie, przebiły się na wschód i wyzwały kolejne miasta. Miejsca, które przez miesiące były dla Ukraińców całkowicie poza zasięgiem, teraz upadły w ciągu kilku godzin. Kiedy piszę ten artykuł, Ukraińcy walczą na obrzeżach Doniecka, miasta okupowanego przez Rosję od 2014 roku.

Największym szokiem jest jednak reakcja Rosji. – Naprawdę zaskoczyło nas to – powiedział mi w Kijowie generał porucznik Jewhen Mojsiuk, zastępca dowódcy sił zbrojnych Ukrainy – że wojska rosyjskie w ogóle nie walczą.

Rosjanie nie walczą. Mając do wyboru walkę lub ucieczkę, wielu ucieka tak szybko, jak to tylko możliwe. Żołnierze od kilku dni zamieszczają zdjęcia porzuconych pojazdów i sprzętu wojskowego oraz filmy pokazujące długie sznury samochodów, przypuszczalnie należących do kolaborantów uciekających z okupowanych terytoriów. Według ukraińskiego sztabu rosyjscy żołnierze porzucają mundury i próbują prześlizgnąć się na terytorium Rosji. Zasadnicza różnica między żołnierzami ukraińskimi, którzy walczą o przetrwanie kraju, a rosyjskimi, którzy walczą o żold, zaczęła mieć znaczenie.

To może nie wystarczyć. Ukraińcy mogą być lepiej zmotywowani, ale Rosjanie mają dużo większe zapasy broni. Nadal mogą uderzać w cywilów. Elektrownia atomowa w Zaporozżu dalej jest w strefie walk. Rosyjscy propagandyści od początku mówią o broni jądrowej.

I choć na północy żołnierze uciekają, na południu stawiają opór.

Ale i tak wydarzenia ostatnich dni powinny skłonić sojuszników Ukrainy do poważnych przemyśleń. Czy na Zachodzie jesteśmy naprawdę przygotowani na zwycięstwo Ukrainy? Czy wiemy, jakie zmiany może ono przynieść?

W marcu pisałam, że czas zacząć wyobrażać sobie możliwość ukraińskiego zwycięstwa. Zdefiniowałam je dość wąsko: „Ukraina pozostaje suwerenną demokracją z prawem wybierania własnych przywódców i zawierania własnych traktatów”. Sześć miesięcy później ta definicja wymaga korekt. Wczoraj w Kijowie słyszałam ministra obrony Ołeksija Reznikowa, który przekonywał, że zwycięstwo powinno obejmować nie tylko powrót do granic z 1991 r. – włącznie z Krymem i wschodnioukraińskim Donbasem – ale także reparacje za zniszczenia oraz trybunały rozliczające zbrodnie wojenne.

Te żądania nie są ekstremalne. To nigdy nie była wojna tylko o terytorium, ale też kampania prowadzona z zamiarem ludobójstwa. Siły rosyjskie torturowały i mordowały cywilów, aresztowały i deportowały setki tysięcy ludzi, niszczyły teatry, muzea, szkoły i szpitale. Bombardowania miast, nawet tych odległych od frontu, zabijały cywilów i kosztowały Ukrainę miliardy w zniszczonych budynkach.

Ale trudno sobie wyobrazić, by Rosja spełniła którekolwiek z tych żądań – terytorialnych, finansowych, prawnych – z obecnym prezydentem. Dla Putina zniszczenie Ukrainy było nie tylko główną ideą jego polityki, ale także istotą dziedzictwa, które chce po sobie zostawić. Dwa dni po rozpoczęciu inwazji rosyjska państwowa agencja informacyjna przypadkowo opublikowała, a następnie wycofała, artykuł świętujący sukces. Rosja, zapowiadał autor,

„odbudowuje jedność”. Rozpad ZSRR – „tragedia 1991 roku, ta straszna katastrofa naszej historii” – został przezwyciężony. Rozpoczęła się „nowa era”.

Nie będzie żadnej „nowej ery”. A kiedy rosyjskie elity rozumieją, że imperialny projekt Putina był nie tylko jego osobistą porażką, ale też moralną, polityczną i ekonomiczną katastrofą dla całego kraju – czyli także dla nich – wtedy jego roszczenia do bycia prawowitym władcą Rosji ostatecznie znikną. Kiedy piszę, że Amerykanie i Europejczycy muszą przygotować się na ukraińskie zwycięstwo, to właśnie mam na myśli.

Jedną z najosobliwszych rzeczy w rosyjskim systemie jest całkowity brak mechanizmu sukcesji. Nie tylko nie mamy pojęcia, kto miałby lub mógłby zastąpić Putina; nie mamy pojęcia, kto miałby lub mógłby wybrać tę osobę.

Wszelkie próby wtrącania się w bieg wydarzeń na Kremlu przyniosłyby więcej szkody niż pożytku

W ZSRR było politbiuro, grupa ludzi, która mogła podjąć taką decyzję, i sporadycznie to robiła. W Rosji nie ma mechanizmu transycji władzy. Nie ma delfina. Putin nie pozwala nawet na rozważenie alternatywy dla jego rządów. Lecz jest nie do pomyślenia, by mógł nadal rządzić, jeśli jego główna pretensja do władzy – obietnica ponownego zjednoczenia Związku Radzieckiego – okaże się śmiechu warta.

Przygotowywanie się na odejście Putina nie oznacza, że Amerykanie, Europejczycy czy ktokolwiek z zewnątrz miałby interweniować bezpośrednio w politykę Moskwy. Nie mamy narzę-

dzi, które mogłyby wpłynąć na bieg wydarzeń na Kremlu, a wszelkie próby wtrącania się przyniosłyby więcej szkody niż pożytku. Ale to nie znaczy, że powinniśmy mu pomagać w utrzymaniu władzy. Kiedy zachodni szefowie państw, ministrowie spraw zagranicznych i generałowie myślą o tym, jak zakończyć tę wojnę, nie powinni wspierać putinowskiej archaicznej definicji wielkości Rosji. Nie powinni w ogóle planować negocjacji na jego warunkach, ponieważ może się okazać, że będą je prowadzić z kimś innym.

Nawet jeśli ukraińskie postępy nie będą trwałe, wydarzenia ostatnich kilku dni zmieniają charakter tej wojny. Od samego początku wszyscy – Europejczycy, Amerykanie, a już zwłaszcza globalny biznes – pragnęli powrotu stabilności. Ale stabilna sytuacja w Ukrainie, długotrwale stabilna, wydawała się bardzo odległa. Zbyt wczesne zawieszenie broni mogłoby zostać potraktowane przez Moskwę jako okazja do dozbrojenia się. Każdą ofertę negocjacji Moskwa mogła odbierać jako oznakę słabości. Ale teraz nadszedł czas, aby zapytać o stabilność samej Rosji. Rosyjscy żołnierze uciekają, porzucając sprzęt, prosząc o poddanie się. Jak długo będziemy czekać, aż ludzie z wewnętrznego kręgu Putina zrobiają to samo?

Możliwość chaosu w Rosji, atomowej potęgdy, przeraża wielu. Ale być może dziś jest on nieunikniony. A jeśli to właśnie nas czeka – destabilizacja Rosji – powinniśmy umieć ją przewidzieć, zaplanować odpowiedź, zastanowić się nad możliwościami i niebezpieczeństwami. ●

Anne Applebaum
Przełożyła Katarzyna Wężyk

© 2021/2022 The Atlantic Media Co., as first published in The Atlantic. All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency

KAROL BĘDZIE ŚWIETNYM KRÓLEM

Patrząc na niego przez pryzmat historii małżeństwa z Dianą,
pokazujecie, jak niewiele o nim wiecie

Z BRYTYJSKIM HISTORYKIEM **ADAMEM ZAMOYSKIM*** ROZMAWIA **MIROŚLAW MACIOROWSKI**

W historii Anglii i Wielkiej Brytanii słowem „epoka” określano rządy wielu władców. Mówi się o epoce elżbietańskiej w odniesieniu do rządów Elżbiety I w latach 1558-1603, o epoce wiktoriańskiej, od imienia królowej Wiktorii (1837-1901) czy o epoce edwardiańskiej, od jej syna Edwarda VII (1901-10). Da się jakoś syntetycznie scharakteryzować 70 lat rządów Elżbiety II, czyli drugą epokę elżbietańską?

– Rzeczywiście imionami wielu monarchów określano okresy historyczne, ale to nie o ich imiona chodziło, lecz o obowiązującą w czasie ich rządów wspólną kulturę, podobne spojrzenie na życie, stałe normy społeczne czy obyczajowe; słowem, pewne niezmiennie zjawiska, którym hołdowali mieszkańcy kraju. Nawet podczas bardzo długiej epoki wiktoriańskiej takich zmian było niewiele.

Natomiast w czasie 70-letnich rządów Elżbiety II Wielka Brytania całkowicie się zmieniła. Pamiętam Anglię z lat 50., kiedy chodziłem do szkoły. Była bardzo zamknięta w sobie, nieufna, stricte angielska. Właściciele domów nie chcieli wynajmować pokoiów nawet Irlandczykom, bo to byli dla nich cudzoziemcy, a więc pewnie dzikusy.

W latach 60. wszystko zaczęło się totalnie zmieniać. Anglia stała się wręcz liderem przemian społecznych i kulturowych. To przecież tu pojawiły się nowa muzyka, nowa moda i nowatorska literatura, a także nowe pomysły na życie. Ta rewolucja lat 60. oczywiście wpłynęła na zmiany w kolejnych dekadach. Wtedy młodzież zaczęła masowo odbywać podróże, często autostopem lub za pomocą lokalnych środków transportu, do Indii, północno-wschodniej Azji, południowej Ameryki. Zupełnie inaczej zaczęto postrzegać świat zewnętrzny, na co też wpłynęły kolejne fale imigracji.

W końcu Wielka Brytania została członkiem Unii Europejskiej, co było kolejnym wielkim przełomem. W czasie panowania Elżbiety II Anglicy stworzyli zupełnie nową Anglię, która nie ma nic wspólnego z tą, w której wyrałem. Szczególnie widać to w Londynie.

Jak królowa Elżbieta reagowała na tę rewolucję?

– Przyjmowała ją w dobrym duchu, nawet z entuzjazmem. Rozumiała, że świat się zmienia.

A czy mogła wpływać na te przemiany? Przecież rola władcy Wielkiej Brytanii jest raczej reprezentacyjna.

– Tu się pan głęboko myli. W taki sposób postrzega się władcę Wielkiej Brytanii głów-

nie za granicą. Mieszkańcy kraju tak wcale nie myślą.

Królowa Elżbieta II była niezwykle pracowitą osobą, zagłębiała w sprawy państwa, choć oczywiście w inny sposób niż klasyczny polityk. Codziennie przez kilka godzin przeglądała bieżące dokumenty państwowe. Raz na tydzień przyjmowała na audiencji premiera. Dyskutowali o tym, co się dzieje w krajowej i światowej polityce. Naradzali się, jak premier powinien postąpić w jakiejś konkretnej sprawie. Nie ograniczała się do wygłaszania kurtuazyjnych formulek, była znakomicie zorientowana.

Premierzy nigdy nie zdradzali, co mówiła królowa podczas tych audiencji, ale wszyscy podkreślali, jak bardzo im pomagała, ponieważ miała ogromne doświadczenie, można powiedzieć – lata praktyki. Przecież rozmawiała ze wszystkimi premierami, których w czasie jej panowania było aż 15, łącznie z Liz Truss, której powierzyła urząd tuż przed śmiercią. Znała całą politykę Wielkiej Brytanii od dziesięcioleci. Pamiętała rzeczy, których nikt poza nią

**Najważniejsza z fundacji
Karola przywraca
społeczeństwu młodych ludzi,
którzy popadli w konflikt
z prawem, życiowych
rozbitków.
Znajduje im pracę, pomaga
zakładać biznesy, kształci**

nie pamiętał, i wiedziała o rzeczach, o których nikt inny wiedzieć nie mógł. Zdarzało się, że premier miał zamiar coś zrobić, ale ona go przestrzegła, że jeden z jego poprzedników 30 lat temu wpadł na ten sam pomysł i to mu nie wyszło na dobre. Wkład Elżbiety II w politykę państwa był ogromny, politycznie bierny, ale szalenie istotny, co podkreślają wszyscy liczący się brytyjscy politycy.

Królowa była bardzo mądrą osobą i z tej mądrości oraz ogromnej wiedzy umiejętnie korzystała. Jej wielką zaletą było też to, że znała naród. Obraz królowej, która żyje w pałacu Buckingham i odgrywa jedynie rolę reprezentacyjną, jest fałszywy. Elżbieta II miała więcej kontaktów z ludźmi niż jakikolwiek polityk. Znakomicie orientowała się w nastrojach społecznych, znała bolączki poddanych.

Jej syn Karol III jako władca może odegrać podobną rolę?

– Takie stawianie sprawy nie ma sensu. Karol III ma dziś 74 lata. Teraz oczywiście ludzie żyją dłużej niż kiedyś, ale trudno powiedzieć, ile będzie trwało jego panowanie, może dwadzieścia parę lat.

Karol to naprawdę wybitnie inteligentny i świetnie wykształcony władca. Prawdopodobnie bardziej wykształcony niż jakikolwiek jego poprzednik. To też człowiek głęboko myślący i mający rozległą wiedzę o świecie, o Wielkiej Brytanii i w ogóle o polityce. Znakomicie nadaje się na króla i wszystko wskazuje na to, że będzie świetnym monarchą. Jestem przekonany, że wniesie dużo mądrości do sposobu rządzenia Zjednoczonym Królestwem i przyczyni się do jego rozwoju.

Wiele mediów kreuje nieco inny obraz. W dniu śmierci królowej autor jednej z mnóstwa książek o Windsorach charakterystykę Karola III zamknął w stwierdzeniu, że nie mógł się on doczekać korony, o której marzył od lat, gdyż jest próżnym sybarytą kochającym splendor i życie w luksusie.

– Bzdury. To, że Karol lubi dobrze skrojone ubrania, nie oznacza, że jest próżny. I nie jest żadnym sybarytą. To ciężko pracujący człowiek, który ma głębokie poczucie obowiązku i jest przejęty wszystkim, co dzieje się w kraju i na świecie. Walczy o sprawy środowiska naturalnego. Już od 50 lat bije na alarm, a więc zaczął to robić jeszcze wtedy, gdy kwestia ratowania naszej planety nie była tak rozpropagowana jak dziś.

Karol założył wiele fundacji dobroczynnych. Najważniejsza zajmuje się przywracaniem społeczeństwu młodych ludzi, którzy popadli w konflikt z prawem, nieletnich kryminalistów, szczególnie czarnoskórych, ludzi z nałogami, rozbitków nieumiejących odnaleźć się w życiu. Fundacja znajduje im pracę, pomaga zakładać biznesy, kształci. Wyciągnęła ze społecznego marginesu ponad milion ludzi.

Oprócz tego Karol stworzył dziesiątki stowarzyszeń i organizacji kulturalnych zajmujących się zabytkami, literaturą czy sztuką i czuwał nad ich działalnością. Jest za tę działalność ogromnie szanowany przez rodaków.

Natomiast jeśli chodzi o obraz wykreowany przez media, to wielu dziennikarzy na pisaniu o dworze po prostu dobrze zarabia. Powstawały biografie królowej czy księcia Walii, których autorzy zmyślali, pisali, co tylko chcieli, a potem radia i telewizje zapraszały ich do programów w roli ekspertów. Rodzina królewska to żer dla brukowców. Dla nich najświętsze osoby są najłatwiejszym celem.

Sprawa księżnej Diany wciąż ciąży na wizerunku Karola?



– Moim zdaniem na Wyspach już od dawna nie ciąży. Media wytworzyły jej fałszywy obraz. Żeby dobrze pojąć, co się wydarzyło, musimy cofnąć się do młodości Karola. Gdy zbliżał się do wieku, kiedy wskazane było, żeby się ożenił, obowiązywała zasada, że przyszli monarchowie mogą poślubić wyłącznie osoby z rodów panujących. Próbowano mu znaleźć jakąś księżniczkę w Niemczech. I oczywiście nie pozwolono mu się ożenić z osobą, którą kochał, czyli obecną żoną Camillą.

Potem czasy się zmieniły i zapadła decyzja, że żoną następcy tronu może zostać ktoś z arystokracji angielskiej. Wtedy królowa matka, matka Elżbiety II, znalazła Dianę Spencer. Niestety, okazało się, że nie była osobą odpowiednią do roli, jaką przyszło jej odgrywać. Oczywiście miała mnóstwo zalet, ale też poważne wady. Istotna była też różnica wieku, Karol był starszy wprawdzie tylko o jakieś 13 lat, ale biorąc pod uwagę to, o czym wcześniej wspominałem, wychował się w zupełnie innym świecie. Nic dziwnego, że to małżeństwo się rozpadło.

Karola w niezbyt dobrym świetle pokazał też serial Netflixa „Królowa”, który miał gigantyczną oglądalność.

– Tyle że film jest fikcją, historią w dużej mierze wymyśloną przez twórców, którzy dbają o to, żeby była jak najbardziej atrakcyjna, bo jak taka nie będzie, to nikt jej nie obejrzy. Serialowa opowieść nie miała wiele wspólnego z prawdą, chociaż widzowie wierzą, że rzeczywiście tak to wyglądało.

Czy wizerunek Karola przez ten serial ucierpiał?



• 11 czerwca 1969, księżę Karol po raz pierwszy prezentuje się publicznie w mundurze - jako dowódca Royal Regiment of Wales podczas defilady pułku na zamku w Cardiff FOT.AP

– Owszem, ale głównie za granicą. Anglicy nie są tacy głupi i lepiej znają Karola niż ludzie spoza Wysp. Polacy czy widzowie w innych krajach patrzą na niego wyłącznie przez pryzmat tego małżeństwa. Cóż, Diana była ładną kobietą, znakomicie pasowała do roli ofiary, sama ją zresztą dobrze odgrywała. To zawsze chwyta za serce. A on zaczął być postrzegany jako stary pryk, który nie umiał docenić fantastycznej kobiety. Ale w społeczeństwie brytyjskim to się dość szybko rozwiało i Karol jest ogólnie wysoko ceniony za swą konkretną pracę.

Nie można mieć pretensji do widza w Polsce, że tak na to patrzy, skoro dostaje taki obraz.

– Trudno, niech sobie Polacy myślą, co chcą. Ludzie łatwo chłoną takie sensacyjne historie. Zresztą także wy, dziennikarze, patrzycie na nie zwykle bezkrytycznie i je powielacie. Ale postrzegając Karola wyłącznie przez pryzmat historii jego małżeństwa z Dianą, pokazujecie jedynie, jak niewiele o nim wiecie.

Dla Brytyjczyków to wszystko nie ma związku z tym, czy Karol będzie dobrym monarchą. Doskonale wiedzą, że dla niego i w ogóle dla monarchii najważniejszy jest naród. W chwili kiedy królowa Elżbieta zastąpiła swego ojca, ślubowała narodowi, a zarazem prosiła o pomoc w wykonywaniu swego zadania. Król Karol powtórzył to ślubowanie i tę prośbę: na tym polega pewna symbioza między monarchą a narodem. Służą sobie wzajemnie.

Czy przedstawiciele różnych warstw społeczeństwa patrzą na monarchię w taki sam sposób? Kilkanaście lat temu

ostro ją krytykowano. Radykalowie pytali wprost: do czego jest potrzebna Wielkiej Brytanii? I wyliczali, jak wielkie koszty pochłania.

– Krytycy są i zawsze będą. Ale przez ostatnie dziesięciolecie drugą co najmniej większość Brytyjczyków popiera monarchię konstytucyjną. Uznają ją za bardzo skuteczną formę demokracji, ponieważ nie pozwala żadnemu politykowi wyrosnąć ponad innych, zdobyć zbyt dominującej pozycji.

Monarchia gwarantuje stabilność, trwałość i ciągłość państwa bez zbędnych, a przede wszystkim niebezpiecznych zawirowań. A ludzie cenią bezpieczeństwo i poczucie stabilności, szczególnie w czasach tak niepewnych jak dzisiejsze. Dopiero co mieliśmy pandemię, potem wybuchła wojna, przed nami długotrwały kryzys. A w Wielkiej Brytanii, choć umarła głowa państwa, nic groźnego się nie dzieje. Od razu mamy nowego króla.

Póki jest monarcha w pałacu Buckingham, wszystko jest na swoim miejscu i dobrze funkcjonuje. Nie trzeba organizować jakichś bezsensownych wyborów. A demokracja, której znaczenia, rzecz jasna, Brytyjczycy nie podważają, może czasem wyznaczać różne cuda, na co nie brak dowodów. Rzetelne obliczenia kosztów i porównanie ich do tych, które pochłania niejedna prezydentura, wykazują, że nie są one tak wysokie. Nawet nie wliczając ogromnych dochodów z turystyki, którą zwabia monarchia.

Tak na to patrzy zdecydowana większość obywateli, bez względu na klasę społeczną. Dla nich stabilność jest najważniejsza, w monarchii widzą fundament państwa i własnej tożsamości.

Król Karol III ma szansę zyskać tak wielki autorytet jak jego matka?

– Nie można ich porównywać. Elżbieta II panowała jednak aż 70 lat i miała na koncie ogromny dorobek.

Jej osobę otaczała pewna aura historyczna przypominająca czasy dawnego splendoru. W czasie II wojny, która jest tak samo ważnym i chlubnym okresem dla Brytyjczyków jak dla nas, przywdziała mundur i służyła w transporcie jako wolontariuszka. Panowała nad likwidacją imperium brytyjskiego i w dużej mierze przyczyniła się do niesamowitej jego transformacji we wspólnotę współpracujących i przyjaznych państw – do której przyłączyły się nawet dawne kolonie francuskie. Fakt, że była kobietą, również miał znaczenie, bo królowa zawsze budzi cieplejsze, nawet opiekuńcze emocje niż król i łatwiej przyciąga ludzi.

Karol III będzie miał trudniejszą drogę, ale jestem przekonany, że gdy tylko zacznie działać jako król, to szybko wyrobi sobie wielki autorytet.

Wraz ze śmiercią królowej odszedł pewien styl, normy i poglądy, które korzeniami tkwiły jeszcze w XX wieku. Mówił pan o niezmienności i stabilności, ale jednak monarchia ewoluowała. Wiele rzeczy, których Karol w latach 60. nie mógł robić, dziś byłyby dla niego dostępne. Jak Karol III może kształtować przyszłość monarchii?

– To dwie zupełnie różne kwestie. Pierwsza dotyczy tego, jaka ma być funkcja monarchii. I ona zostanie taka sama, bo musi zostać taka sama. Natomiast druga rzecz to image. Normy społeczne i obyczajowe zmieniają się i monarchia nie może tego nie do-

strzegać. Rodzina królewska od dwóch czy trzech pokoleń pokazuje, że jest otwarta na te zmiany i reaguje na nowoczesność. Dowodzi tego przecież choćby ożenek księcia Walii z rozwódką Camillą Parker Bowles, który kiedyś byłby niemożliwy.

Natomiast w monarchii nie chodzi o osobę, która zasiada na tronie, tylko o funkcję, jaką ma pełnić w państwie. Tę funkcję otacza cały ceremonial, który robi wielkie wrażenie, jest widowiskowy, ale zarazem sakralny. Nie tylko chodzi o nadanie monarchii odpowiedniego majestatu, o wytworzenie niezbędnej otoczki, która ma korzenie w brytyjskiej tradycji i historii; ten ceremonial łączy ludzi wszystkich warstw i kolorów skóry w czymś w rodzaju nabożeństwa – co widać obecnie pod pałacami i zamkami królewskimi i na ulicach Londynu.

Funkcja króla przez wieki oczywiście się zmieniała. Kiedyś miał większą władzę. Ale w naszych czasach doszła do punktu, w którym zmienić się już nie może. Jedyną możliwą dalszą reformą to pozbyć się monarchii. Król nie może więc odgrywać w polityce roli aktywnej, nie może zabrać rządowi jego prerogatyw. Nie uczestniczy bezpośrednio w rządzeniu państwem.

Ale może doradzać rządowi. Księżę Karol w bardzo ostrej wypowiedzi w 2014 roku, po aneksji Krymu, przyrównał Putina do Hitlera. Był wtedy krytykowany za złamanie zasady apolityczności dworu. Teraz będzie musiał powściągnąć język?

– Był krytykowany niesłusznie. Jako księżę Walii nie miał żadnej roli konstytucyjnej. Teoretycznie wolno mu było wygłosić prywatną opinię, która politycznie nic nie znaczyła.

Oczywiście uważa się, że lepiej, jeśli następca tronu, jak każdy inny członek rodziny królewskiej, nie wypowiada się w sprawach politycznych. Ale tak naprawdę kluczowe jest to, żeby Karol nie ingerował w politykę rządu, czego zresztą nigdy nie robił. Zawsze bardzo ważył słowa, a teraz jako król będzie jeszcze ostrożniejszy. Myślę jednak, że nie musi uważać, wypowiadając się o Putinie, bo wszyscy są zgodni, że to zbrodniarz.

Zna pan Karola III?

– Tak, ale nasze stosunki są wyłącznie prywatne, więc nie będę nic o nich mówić. ●



*Adam Zamojski

• ur. w 1949 r., wybitny brytyjski historyk i esekista, autor artykułów i książek głównie o historii Polski i Europy, w tym monumentalnych tomów „Napoleon. Człowiek i mit” oraz „Urojone widmo rewolucji. Tajne spiski i tłumienie ruchów wolnościowych 1789-1848”. Wychował się w Anglii, skończył Downside School oraz The Queen’s College na Oksfordzie. Jest członkiem Royal Society of Arts i Royal Society of Literature. Mieszka w Londynie, często bywa w Polsce.

„Nowy poczet władców Polski” – książka Beaty Maciejewskiej i Mirosława Maciorowskiego dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



W SŁUŻBIE SPECJALNEJ

Elżbiecie II udało się coś, co nie udało żadnemu z ostatnich papieży.

Stanisław Skarżyński, Londyn

Irudno powiedzieć, czy w 1953 r. „Guardian” – i jego niedzielne wydanie, „Observer” – były bliżej centrum, niż są dzisiaj, bo brytyjskie społeczeństwo miało bardziej lewicowe poglądy niż obecnie. Dziś rozdźwięk jest uderzający. Jeśli „Guardian” i „Observer” coś napiszą, to w zasadzie można uznać, że kraj postąpi na odwrót, a populistyczna prawica będzie do tego gazetę potępiać w czambuł za „socjalizm”, „antybrytyjskość” i „działanie wbrew interesowi narodowemu”. To co zawsze.

Lecz na początku lat 50. XX w. rządzącej Brytanią elity bały się widma komunizmu tak bardzo, że – by chronić swoje ziemie, interesy i przywileje – gotowe były rozmawiać ze związkami zawodowymi i wprowadzać tak sensacyjne programy, jak finansowana z budżetu powszechna służba zdrowia. Trudno mieć do nich pretensje: w Europie Zachodniej jeszcze nie wiadano, że komunizm Stalina był kpina z idei równości mniej więcej taką, jak współczesny turbokapitalizm jest szyderstwem z idei przedsiębiorczości jako narzędzia wolności i samostanowienia.

A jednak lewicowy „Observer” w 1953 r., gdy Wielka Brytania na dwie dekady skręcała w stronę państwa opiekuńczego, w przededniu koronacji Elżbiety II stanął murem za monarchią. Stanowisko redakcji z 31 maja głosiło: „Na progu półwiecza upadły właściwie wszystkie na pierwszy rzut oka potężniejsze monarchie Europy i Azji, od Hiszpanii [monarcha wrócił na tron dopiero po upadku dyktatury frankistowskiej, w 1975 r.] po Chiny. Podczas gdy rządy i politycy, tak z prawej, jak z lewej, coraz powszechniej postrzegani są jako »oni«, nasi królowie – a teraz nasza młoda królowa – okazują się w odczuciu społecznym upostaciować to wszystko, co wciąż pozwala nam mówić o sobie »my«”.

Ta analiza okazała się zaskakująco trafna. To, co jeszcze przed Wielką Wojną było właściwie bezdyskusyjne – fakt istnienia królów, królowych, dworów, tytułów – po II wojnie stało się nagle unikalnie brytyjskie. Tę asocjację utrwalił czas, brak powodzenia innych rodzin królewskich (królów mają przecież wciąż Hiszpania, Szwecja, Holandia czy Belgia, ale nie ma to żadnego znaczenia). Kluczowym elementem był jednak kawał roboty, którą zrobiła Elżbieta II – to ona w drugiej połowie XX w. właściwie samodzielnie wykuła dla monarchii względnie bezpieczną niszę.

O skali jej sukcesu niech świadczy to, o ile lepiej brytyjska królowa uporała się z zadaniem znalezienia miejsca dla jej postfeudalnej instytucji niż kolejni papieże, którzy nieomal to samo zadanie w przypadku Kościoła katolickiego kompletnie położyli. Tak, brytyjska monarchia jest dziwna, ale rejestr negatywnych emocji kończy się na irytacji. Kościół natomiast jest synonimem obciachu, przemoc seksualnej i opresji politycznej.



Elżbieta II osiągnęła to, grając jednocześnie na trzech instrumentach.

Pierwszym były kwestie ustrojowe. Rola monarchy w brytyjskim ustroju jest dość elastyczna, więc tylko od niej zależało, na ile będzie obecna w życiu politycznym. Jej, koniec końców, nikt nie może niczego nakazać. Gdyby chciała zamknąć się w Balmoral i przez siedem dekad czytać książki i chodzić na spacer z psami, mogła to zrobić. A jednak przez siedemdziesiąt lat w każdą środę udzielała audiencji kolejnym piętnastu premierom, odczytywała pisane przy Downing Street przemówienia – znane jako Queen's Speech – otwierала sesje parlamentu, wykonywała zadania głowy Kościoła.

Kluczowa była jej rola dyplomatyczna, bo przekształcała rodzinę królewską w coś w rodzaju prestiżowej służby specjalnej brytyjskiego państwa. Powoływała, powierzała, odwodziła, odwiedzała, mianowała, nadawała tytuły, wydawała przyjęcia, jeździła, pozdrawiała – i każdy z tych ruchów latał jakąś dziurą albo ułatwiał załatwienie jakiejś sprawy.

„Była mistrzynią soft power, zawsze wiedzącą, kiedy należy sięgnąć po pełen

arsenał królewskiego majestatu, a kiedy odegrać dobrą babcię, do tego stawiąc unikalny zasób dyplomatyczny – były chwile, w których potrafiła lepiej niż jakikolwiek polityk obsadzić w wyborach przedstawić sprawę głowie obcego państwa” – napisała dziennikarka Gaby Hinsliff, jako przykład podając kontrast między fatalnymi relacjami francuskiej administracji Macrona z brytyjskim rządem a pozbawioną śladu goryczy reakcją Pałacu Elizejskiego na wieść o śmierci Elżbiety II.

Drugim instrumentem było ustawienie monarchii wobec zmiany społecznej. Nieporozumieniem jest twierdzenie, że nie była politycznie zaangażowana. Nie była partyjna, ale nie mogła być apolityczna, bo każdy jej ruch miał znaczenie.

Tu znowu warto sięgnąć po porównanie do Watykanu. Podczas gdy Kościół katolicki walczył z wiatrakami, Elżbieta wcześniej zdążyła sobie sprawę, że z wiatrem zmian nie da się dyskutować. Można jednak argumentować, że wcale nie chciała, bo postęp przyjmowała z dyskretnym entuzjazmem. Gdy Kościół katolicki bezustannie stawiał wiernych w niemożliwej

sytuacji rozdarcia między oderwanymi od rzeczywistości przykazami wiary a realiami życia w XX w. (podmiotowość społeczna kobiet, rozwód, antykoncepcja, aborcja, nieco później homoseksualność), królowa nie robiła publicznie nic, co można odczytać jako sprzeciw wobec zmiany – a jednocześnie sygnalizowała, że jej żetony są po stronie wolności.

To nie były wielkie albo wyprzedzające czas gesty i słowa, ale niewątpliwie jednych zachęcały do działania, a innym tępiły zęby. Koniec końców, gdy sama królowa, chodząc wcielenie tysiącletniej tradycji, przy dźwięku fanfar nadaje tytuł szlachecki otwarcie homoseksualnemu artyście, to marny staje się los homofobów próbujących z tradycji zrobić pałkę na gejów. A Elton John to tylko jeden z setek, jeśli nie tysięcy przykładów – angielscy rasiści wyli jak potępieńcy, gdy w 1961 r. prasa drukowała jej zdjęcia w tańcu z przywódcą Ghany Kwamem Nkrumahem (jednocześnie w dużej mierze ograniczyła – przynajmniej na czas swojego panowania – rozkład Commonwealthu, Brytyjskiej Wspólnoty Narodów), a już ledwo szemrali, gdy w 2001 r. tytuł rycerski

ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

otrzymał Lewis Hamilton, kierowca Formuły 1.

Rola ustrojowo-polityczna i oddziaływanie społeczne były jednak akompaniamentem dla trzeciego instrumentu, w grze na którym Elżbieta II okazała się bardzo odważną eksperymentatorką, a przez ostatnie dwie dekady panowania bezsprzeczną wirtuozką.

Nowoczesne media to instrument o olbrzymiej sile, ale nieporównanie trudniejszy do ustawienia niż instytucje, bo ucząc się gry na nim, Elżbieta nie mogła oprzeć się na niemal niczym, co miało miejsce dotąd. Dopiero w połowie lat 50., czyli w pierwszych latach jej panowania, zasięg nadajników telewizyjnych pozwolił nazwać to medium powszechnym; w 1955 r. powstał drugi brytyjski kanał telewizyjny ITV. Nowoczesność nabierała rozpędu, a królowa musiała odnaleźć się w niej metodą prób i błędów.

Oczywiście, popełniła masę błędów, ale tu nie było dobrych odpowiedzi. Przesłałała ją właściwa dla dbających o wizerunek tendencja do milczenia. Zebrała w mediach ciężkie lanie, zanim po długich ośmiu dniach odwiedziła Aberfan w Walii, gdzie w 1966 r. lawina ze źle zabezpieczonej hałdy górniczej zabiła 144 osoby, z których większość stanowiły dzieci z lokalnej szkoły. Po latach nazwała te osiem dni beczynności „swym największym żalem”.

Błąd jednak powtórzyła trzydzieści lat później, gdy milczała przez niemal tydzień po śmierci księżnej Diany. Brukowa prasa musiała na pierwszych stronach drukować dramatyczne apele – „Gdzie jest nasza królowa?”, „Poddani cierpią, przemów” – by Elżbieta zerwała z protokołem, najpierw spotykając się z ludźmi składającymi kwiaty pod pałacem Buckingham, potem występując w telewizyjnym orędzii, aż wreszcie robiąc coś zupełnie nie do pomyślenia: pozwalając na organizację uroczystego pogrzebu Diany i biorąc w nim udział.

Jak trzy dekady wcześniej reakcja była jednak bardzo spóźniona. „Gdy upływał tydzień, ludzie, którzy nigdy wcześniej tego nie rozważali, otwarcie zaczynali pytać, czy Brytanii w ogóle potrzebna jest monarchia” – pisał „Washington Post”.

W analizach roli mediów w panowaniu Elżbiety II najczęściej podkreślane są decyzje przełomowe z punktu widzenia protokołu dworskiego oraz skandale. Powtarzanym do znudzenia przykładem tego pierwszego jest uchylenie drzwi do prywatności, czyli sławny dokument BBC z 1969 r., na którym królowa grilluje z rodziną. Podobnie jednak jak wcześniej-sza decyzja o pojechaniu do Aberfan oraz dużo późniejsza o potraktowaniu Diany z nienależnymi szaczkami ten dokument jest dowodem, że jako menedżerka odpowiedzialna za wizerunek publiczny monarchii Elżbieta II była gotowa do daleko posuniętych eksperymentów.

Te eksperymenty znalazły zwierciznienie pod koniec jej panowania, gdy królowa w końcu znalazła sposób na media późnej nowoczesności. To, co zrobiła, nadaje się do podręczników jako przykład teorii postmodernizmu: Elżbieta II mianowicie zaczęła używać mediów, by związać siebie i swoją instytucję z rzeczywistością.

Przełomowym momentem tego projektu był występ w wyreżyserowanym przez Danny’ego Boyle’a – tego od „Trainspotting” i „Slumdoga” – klipie na otwarcie igrzysk olimpijskich w Londynie w 2012 r. Widzimy wycieczkę dzieci zwiedzających pałac Buckingham, które widzą wjeżdżającą przez główną bramę czarną taksówkę. Wyskakuje z niej nie kto inny, a James Bond (w tej roli grający wówczas 007 Daniel Craig), który w asyście piesków corgi (dla niewtajemniczonych – ulubiona rasa królowej) zmierza do apartamentu mo-

narchini. „Dobry wieczór, panie Bond” – mówi Elżbieta II we własnej osobie. Następnie 86-letnia wówczas królowa i Bond wyskakują z helikoptera na spadochronach, po czym królowa pojawia się na prawdziwej ceremonii otwarcia w tej samej sukience, w której przyjmowała Bonda.

Z okazji platynowego jubileuszu powtórzyła ten numer – tym razem pijąc herbatę z misiem Paddingtonem, który po zrobieniu skandalicznego bałaganu w formie zadoścuczynienia proponuje królowej kanapkę z marmoladą. Ujawnia, że trzyma jedną pod czapką, na wszelki wypadek. „Ja moją trzymam tutaj” – mówi Elżbieta, otwierając elegancką czarną torebkę i wyciągając z niej pospolity sandwich z dwóch kromek pieczywa tostowego. Pod koniec klipu, gdy orkiestra przed pałacem Buckingham zaczyna grać pierwsze akordy „We will rock you”, rzecz jasna zespołu Queen, a tłumy klaszczą, królowa z Paddingtonem wystukują rytm łyżeczką na spodeczku i filiżance.

Może się wydawać, że to były wyglupy, ale w rzeczywistości to było dotknięcie geniuszu. Kiedy Elżbieta II zmarła, internet zalały rysunki z monarchinią i misiem Paddingtonem, a władze Londynu musiały oficjalnie poprosić, by ludzie przestali przynosić kanapki z dżemem jako formę upamiętnienia monarchini. Sześć dekad eksperymentów z mediami i wizerunkiem monarchii pozwoliło bowiem Elżbiecie II znaleźć sposób, żeby w sekularnej, późnej nowoczesności znaleźć dla monarchii miejsce dokładnie na przecięciu świata rzeczywistego a tego właściwego herosom oraz dziecięcym marzeniom. Koniec końców, pokonujący kolejnych geniuszy zła James Bond jest dzisiejszym wcieleniem św. Jerzego, który przebił smoka włóczęgą, a miś Paddington – ulubioną maskotką świata.

Elżbieta II nie tylko więc utrzymała rolę w ustroju państwa i umiejętnie sterowała postawą pałacu wobec przechodzącego monumentalne zmiany społeczeństwa, ale też uczyniła z monarchii nieodłączny element cieszącej się olbrzymim powodzeniem marki, jaką jest Wielka Brytania. Stała się częścią opakowanego we flagę Union Jack konglomeratu postaci, miejsc, pojęć i symboli, który obejmuje Oscara Wilde’a, Harry’ego Pottera, Jamesa Bond’a, Sherlocka Holmes’a, Churchilla, admirała Nelsona, Banksy’ego, ruch lewostronny, Jasia Fasole, bitwę pod Waterloo, Big Bena, Stonehenge, uniwersytety w Oksfordzie i Cambridge, Hugh Granta tańczącego przy Downing Street, Isaaca Newtona, Thomasa Hobbesa, literaturę od Szekspira przez Jane Austen i Virginie Woolf po Orwella, mżawkę, „The Crown” i „Bridgertonów”, muzykę od Beatlesów i Rolling Stonesów przez Queen, Davida Bowiego i Eltona Johna po Adele, krawców z Savile Road i szewców z Jermyn Street, mgłę, herbatę, angielski humor, Monthy Pythona... można tak wymieniać w nieskończoność. W tym sensie monarchia jest niemożliwa do likwidacji – dzięki Elżbiecie rodzina królewska jest koniecznym elementem tej niezwykle dochodowej układanki.

Śmierć królowej zastaje jednak Zjednoczone Królestwo w momencie głębokiego kryzysu, który zmyć może fundament, na którym osadzona jest ta brytyjska marka. Koniec, który w życiu biologicznym człowieka jest nieunikniony, jest zawiniony w przypadku instytucji społecznych. Testująca granice Brytanii o tym, że przesadziła, dowie się, gdy będzie już za późno – również dla monarchii.

Długie panowanie Elżbiety II pozwoliło przemilczeć i odkładać debaty, które teraz ruszą z nową siłą. Już w 2021 r. Barbados postanowił zostać republiką, tym samym rezygnując z królowej jako głowy państwa. Umierając, Elżbieta II była głową

nie tylko Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, ale również 14 innych krajów, m.in. Kanady, Australii, Nowej Zelandii, Jamajki. Już podpisując postanowienie o uczynieniu Karola III nową głową państwa, premier karaibskiego państwa Antigua i Barbuda Gaston Browne zapowiedział, że jego rząd w ciągu trzech lat zorganizuje referendum w sprawie zostania republiką. „To nie jest akt wrogości, nie chodzi o różnice między nami a monarchią, ale to ostatni krok potrzebny, by dopełnić się proces niepodległościowy, by zapewnić, że jesteśmy w pełni suwerennym narodem” – tłumaczył Browne w ITV.

Powoływała,
powierzała,
odwoływała,
odwiedzała,
mianowała,
nadawała
tytuły,
wydawała
przyjęcia,
jeździła,
pozdrawiała
– i każdy z tych
ruchów latał
jakaś dziurę
albo ułatwiał
załatwienie
jakiejś sprawy

Trudno dziś powiedzieć, czy inne kraje mające brytyjskich monarchów za swe głowy państw pójda w ślady Barbadosu, jednak Elżbieta II ze swym autorytetem niewątpliwie była argumentem przeciw, podczas gdy Karol III jest w najlepszym dla monarchii wypadku co najwyżej obojętny. Jeśli jego panowanie okaże się mdłe i bez znaczenia, a tym bardziej jeśli Windsorów dotkną kolejne skandale, nie będzie większą niespodzianką wysyp referendów takich jak to, które planuje Antigua i Barbuda.

Na froncie wewnątrz krajowym nie jest lepiej, a jednocześnie nic nie zależy tu od pałacu. To, jak od dekad British Museum broni się rękami i nogami przed zwróceniem Grecji tzw. Marmurów Elgina – barbarzyńsko odpilowanych z Partenonu, a potem jeszcze brutalniej wybielonych antycznych rzeźb – to tylko wierzchołek

góry, jaką jest debata o rozliczeniu się Brytanii z jej kolonialną przeszłością. Monarchia znajdzie się w samym centrum tej debaty – koniec końców Edward Colston, którego pomnik aktywiści Black Lives Matter obalili i utopili w Bristolu (sąd ich potem uniewinnił, uznając, że mieli podstawy być obrażeni pomnikiem handlarza niewolników), prowadził swoją zbrodniczą działalność jako zarządca Królewskiej Kompanii Afrykańskiej – i pierwszy członek tej nazwy odsyłał nie gdzie indziej, ale do pałacu św. Jakuba w Londynie, w którym stoi brytyjski tron.

Wraz z brexitem zresztą pod znakiem zapytania stała cała przyszłość Zjednoczonego Królestwa. W 2014 r. Szkocja zdecydowała w referendum, że pozostanie jego częścią, jednak gdy dwa lata później Anglicy, wbrew Szkotom, zdecydowali o wyjściu z Unii Europejskiej, państwo na północy zawrzało – od brexitu każde wybory w Szkocji są w istocie o powtórzeniu referendum niepodległościowego, a pierwsza minister Szkocji i przewodnicząca Szkockiej Partii Narodowej (SNP) już zapowiedziała, że zamierza zrobić kolejne referendum.

Częścią brexitu jest tzw. protokół północnoirlandzki, zgodnie z którym część Zjednoczonego Królestwa pozostała gospodarczo częścią Unii, i to brytyjskie, a nie unijne towary muszą przechodzić odprawy celne, by być sprzedawane w Irlandii Północnej. Skutki polityczne są już widoczne: w tegorocznych wyborach po raz pierwszy zwycięstwo odniosła republikańska partia Sinn Féin, której częścią programu jest zjednoczenie wyspy ze stolicą w Dublinie.

Niepodległa Szkocja i zjednoczona Irlandia jako takie nie zagrażają przyszłości Windsorów, choć ich znaczenie jest wprost przypisane do pozycji państwa brytyjskiego – a w scenariuszu Zjednoczonego Królestwa Anglii i Walii kurs Brytanii polecą na lew na szyję.

Być może Windsorowie byłiby w stanie przetrwać takie ośmieszenie, jednak brexit poza możliwymi konsekwencjami geopolitycznymi niesie też realne, potężne koszty gospodarcze, które dokładają się do tych wynikających z pandemii i kryzysu wywołanego najazdem Putina na Ukrainę. Kraj zmaga się z najwyższą inflacją wśród krajów G7, od lata regularnie strajkują kolejne grupy zawodowe, usługi publiczne niedomagają, banki żywności przeżywiają obłożenie, infrastruktura i budownictwo okazują się kompletnie nieprzystosowane do zmian klimatycznych, gospodarka krztusi się z braku pracowników z Unii. A do tego w wyniku błędów popełnianych przez kolejne rządy państwo nie ma rezerw gazu i konsekwencje zorkiestrowanego przez Kreml kryzysu na rynkach energii zmusiły rząd do zamrożenia rachunków, co kosztować będzie wedle wstępnych rachunków 100-150 mld funtów.

Może to być tylko przejściowy kryzys, który – jak wiele problemów wcześniej – uda się rozwiązać w ramach demokratycznych procedur i istniejącego ustroju. Jeśli jednak tak się nie stanie, nie trudno wyobrazić sobie scenariusz, w którym upokorzeni konsekwencjami własnych wyborów Anglicy skierują złość na bogatą, uprzywilejowaną rodzinę, która podobno nad tym wszystkim panuje. „Coś tak dziwnego jak monarchia nie przetrwa, jeśli nie będzie brać pod uwagę postaw ludzi. Koniec końców, jeśli ludzie nie będą jej chcieli, to jej nie będzie” – powiedział kiedyś król Karol III. ●

NIE BARDZO NADAJĘ SIĘ NA TAŃCZĄCĄ MAŁPKĘ

Jest przeciwnikiem polowań, zawsze wybiera wieś zamiast miasta, o wieżowcach mówi, że nadają się do zmielenia, uruchomił setki programów ochrony ptaków i owadów

Stanisław Skarżyński, Londyn

W obiegowej opinii jego życie ukształtowały tylko dwa czynniki. Pierwszym były dekady oczekiwania na objęcie tronu. Drugim – nieszczęśliwe małżeństwo z Dianą Spencer. W rzeczywistości życie Karola odzwierciedla olbrzymie przemiany, jakie przeszła rodzina królewska w ciągu ostatnich 70 lat.

Młody książę był pierwszym członkiem rodziny królewskiej, który jak każde dziecko poszedł do szkoły. Elżbieta II i książę Filip postanowili zerwać z tradycją zatrudniania prywatnych nauczycieli i w 1956 r. skierowali najstarszego syna do Hill House School w Londynie.

Już w Cambridge – studiował archeologię i antropologię, by zmienić kierunek i w 1970 r. uzyskać dyplom historyka – Karol odbył szkolenie pilota. Potem zaciągnął się do RAF, gdzie szkolili się na pilota myśliwców. Szkolenie ukończył, jednak większość służby odbywał w latach 70. w marynarce, również jako pilot śmigłowców.

Obok służby wojskowej następca tronu miał właściwie jedno zadanie: wziąć ślub z odpowiednią młodą damą i zapewnić przyszłość rodzinie królewskiej. Zdawał sobie z tego sprawę. W 1969 r. tłumaczył w „The Times”: „Trzeba bardzo starannie wybrać kogoś, kto podola tej szczególnej roli, ponieważ osoba taka jak pan, na przykład, będzie stawiał tej osobie wysokie wymagania, więc musi to być ktoś niezwykle”.

Według mediów w latach 70. książę spotykał się z kilkoma dziewczynami z wyższych sfer, jednak definiującym jego życie miało okazać się spotkanie z Kamilią Rosemary Shand, która zaplątana była w zrywany i odnawiany związek z oficerem Andrew Parkerem Bowlesem. Dość powiedzieć, że oficer – który ubiegał się akurat o względy siostry Karola księżniczki Anny – został na jakiś czas zupełnie zapomniany.

Młodzięńczy związek Kamili i Karola nie przetrwał próby i rozpadł się, gdy w 1973 r. książę został skierowany do służby na kolejnym okręcie. Biografowie spierają się co do prawdziwej przyczyny – jedni przypisują ją wiekowi i brakowi zdecydowania młodych ludzi, inni decyzji Kamili o odnowieniu relacji z Parkerem Bowlesem, są jednak i tacy, którzy doszukują się intryg członków rodziny królewskiej, którzy chcieli lepszej panny młodej. W 1973 r. 25-letnia Kamila wyszła za mąż za 33-letniego Parkera Bowlesa.

„Z perspektywy czasu można powiedzieć, że Karol powinien był wziąć ślub z Kamilią, kiedy mieli pierwszą szansę. Idealnie do siebie pasowali, dziś to wiemy. Ale wówczas nie było takiej możliwości” – mówiła w 2005 r. Patricia Knatchbull, druga księżna Mountbatten, czyli kuzynka księcia Filipa.

Książę poświęcił się pracy. W 1974 r. był pierwszym członkiem rodziny królewskiej przemawiającym w Izbie Lordów od 1884 r. W 1976 r. powołał organizację The Prince's Trust, którą w ciągu kolejnych dekad przekształcił w charytatywne imperium finansujące kulturę i przedsiębiorczość. I które, na dekady zanim to było modne, finansowało programy ochrony bioróżnorodności oraz to, co później nazwano zrównoważonym rozwojem.

Na poddanych nie robiło to wrażenia. Karol miał znaleźć żonę. W połowie lat 70. dał rzadki wyraz swojej frustracji, gdy po nieudanej z powodu braku poparcia opinii publicznej próbie objęcia stanowiska gubernatora w Australii wypalił: „Co człowiek ma pomyśleć, gdy jest przygotowywany, by zaangażować się w pomaganie, a potem słyszy, że się go nie chce?”.

Marzenia tłumów spełnił w 1981 r. – ślub 20-letniej Diany i 33-letniego Karola był globalnym wydarzeniem, a zdjęcie młodej księżnej całującej nieco drętowego księcia na balkonie pałacu Buckingham obiegło media na całym świecie. „Jestem zachwycony i, szczerze mówiąc, nieco zaskoczony, że Diana mnie chce” – mówił o zaręczynach.

O ich małżeństwie powstały dziesiątki książek, spisano setki analiz. Związek ten z pewnością był poligonem doświadczalnym, na którym rodzina królewska przekuta została w rodzinę celebrytów.

Media opisywały, że Karol był pierwszym w historii członkiem rodziny królewskiej obecnym przy narodzinach swoich dzieci, a jednak oskarżały go, że nie wyraża uczuć w stosunku do synów. Książę zbywał to w swoim stylu, rzucając sucho, że „nie nadaje się na tańczącą małpkę”, albo stwierdzając, że „przez całe życie czuję, że musi dać usprawiedliwienie temu tylko, że żyje”.

Relacje między domem Windsorów a mediami były tak bliskie, jak toksyczne, bo potrzeby tabloidów dyktowały życie Diany i Karola. Gdy ich pierwszy syn, urodzony w 1982 r. książę Cambridge William, szedł do przedszkola i szkoły, obserwowały go z bliska dziesiątki rozstawionych wzdłuż krawężnika kamer. Dla porównania, gdy akurat w dniu śmierci królowej Elżbiety II do nowej szkoły szło troje dzieci Williama i Kate, pozwolono na obecność, z dystansu, jednej kamery i jednego fotografa. Prywatność Karola i Diany w zasadzie nie istniała – a problemy w małżeństwie się pogłębiały.

Gdy Elżbieta II określiła w przemówieniu z okazji rubinowego jubileuszu rok 1992 jako „annus horribilis”, miała na myśli nie tylko pożar w Windsorze, ale przede wszystkim lawinę skandali obyczajowych i medialnych, na czele z separacją Karola z Dianą, i opublikowany wkrótce po tym skandalizujący wywiad rzekę księżnej.

Miarą obłędu mediów było to, że w 1995 r. dziennikarz BBC Mar-

tin Bashir posunął się do sfalszowania dokumentów, by skłonić rozwiedzioną już księżnę do sławnego wywiadu, w którym powiedziała, że „było nas troje w małżeństwie”. Miała na myśli Kamile.

„Moje życie osobiste stało się przemysłem” – wściekał się książę.

Po tragicznej śmierci Diany w wypadku samochodowym w 1997 r. minęła niemal dekada, nim wycofanie się rodziny królewskiej z przestrzeni medialnej i zaangażowanie w pracę dla państwa, koncentracja na rodzinie i działalności charytatywnej przynajmniej częściowo odbudowały wizerunek Karola. Jakimś zwieńczeniem tego procesu był jego drugi ślub – w 2005 r., 34 lata po pierwszym spotkaniu Karol ożenił się z rozwiedzioną w 1995 r. Kamilią. W 2022 r., z okazji platynowego jubileuszu Elżbieta II zdecydowała się na ostatni gest pojednania – wyraziła wolę, by Kamila po objęciu przez Karola tronu znana była jako „królowa małżonka”.

Karol III obejmuje tron w wieku 73 lat, będąc najstarszą osobą wstępującą na brytyjski tron. Niewielu już dziś porusza to, że

jest rozwodnikiem i – ponownie – pierwszym monarchą, który ma ślub cywilny, a nie kościelny. Ma dwóch synów i pięćoro wnuków, a z objęciem przez niego tronu jeszcze bardziej w cień zepchnięty zostaje sprawca największego wstydu w rodzinie królewskiej, pozbawiony tytułów książę Andrzej.

Karol III znany jest z nieco sztywnego poczucia humoru (brutalistyczną architekturę siedziby Teatru Narodowego w stolicy określił mianem „bystrego sposobu na postawienie elektrowni atomowej w środku Londynu bez jakiegokolwiek protestu”), ale przede wszystkim z zaangażowania w walkę z konsekwencjami kryzysu klimatycznego.

Pierwsze jego wypowiedzi na temat niszczenia przez ludzi środowiska naturalnego datowane są na 1968 r. Jest przeciwnikiem polowań, zawsze wybiera wieś zamiast miasta, o wieżowcach mówi, że nadają się do zmielenia, uruchomił setki programów ochrony ptaków i owadów.

W 2019 r. próbował m.in. przekonywać Donalda Trumpa, by nie podejmował decyzji o wycofaniu państwa z porozumienia paryskiego, a w 2020 r. podczas szczytu ekonomicznego w Davos mówił: „Czy chcemy przejść do historii jako ludzie, którzy nie zrobili nic, by odwrócić świat z drogi ku krawędzi na czas, choć mogli to zrobić? Ja nie chcę”.

W 2021 r. podczas szczytu klimatycznego COP w Glasgow wzywał świat, by „szedł jak na wojnę” z globalnym ociepleniem i utratą bioróżnorodności. „To będzie kosztować biliony, nie miliardy dolarów” – podkreślał. Prezydent Joe Biden komplementował go wówczas, mówiąc, że to Karol i tacy jak on „dali impuls tej sprawie, od nich to wszystko się zaczęło”.

Wielokrotnie dawał do zrozumienia, że można spodziewać się po nim innego, bardziej zaangażowanego publicznie stylu panowania niż bardzo dyskretny, skoncentrowany na roli ceremonialnej sposób sprawowania urzędu przez Elżbietę II. „Pomysł, że w wypadku sukcesji będę robił dokładnie to samo, jest nonsensem, bo te dwie sytuacje są zupełnie różne” – powiedział BBC w 2018 r. Zapytany jednak, czy będzie jako król kontynuował kampanie zaangażowania w zmianę społeczną, odparł: „Nie, nie będę. Nie jestem taki głupi”. Przy innej okazji drwił: „Uczyłem się jak małe małpki – obserwując swych rodziców”.

Dawał też do zrozumienia, że doskonale zdaje sobie sprawę z wagi stojącego przed nim zadania. „Coś tak dziwnego jak monarchia nie przetrwa, jeśli nie będzie brać pod uwagę postaw ludzi. Koniec końców, jeśli ludzie nie będą jej chcieli, to jej nie będzie” – stwierdził. Jako król będzie musiał udowodnić, że ma do zaproponowania coś więcej niż lata w cieniu 70-letnich rządów Elżbiety II. Nie będzie łatwo: w 2019 r. blisko połowa Brytyjczyków uważała, że Karol powinien ustąpić miejsca starszemu ze swoich synów, 40-letniemu dziś Williamowi. ●



FOT. VICTORIA JONES/AP

Jak skutecznie postawić się władzy

Kto z państwa poda z pamięci przewodniczących komisji ds. petycji w Sejmie oraz komisji praw człowieka, praworządności i petycji w Senacie?

Adam Bodnar*

Tydzień temu firma ARC Rynek i Opinia ogłosiła wyniki badania wiedzy Polaków odnośnie do przestrzegania praw podstawowych. Zamówiło je Centrum Stosunków Międzynarodowych w ramach inicjatywy „Każdy człowiek”, zmierzającej do poszerzenia Karty Praw Podstawowych UE o sześć dodatkowych praw (m.in. do czystego środowiska czy do ochrony przed konsekwencjami używania sztucznej inteligencji).

Jedno z pytań dotyczyło tego, jakie organy i instytucje są zdaniem Polaków odpowiedzialne za egzekwowanie przestrzegania praw podstawowych. Bezwzględny zwycięzcą został Europejski Trybunał Praw Człowieka – aż 77 proc. wskazań. To zapewne konsekwencja oddziaływania Trybunału w Strasburgu na masową wyobraźnię. Co chwila słyszymy o wyrokach, dzięki którym konkretni obywatele zwyciężają z państwem oraz uzyskują zadośćuczynienie za naruszenie ich praw. Nie bez znaczenia jest także polityka komunikacyjna Trybunału – jasne i precyzyjne komunikaty, transmisja rozpraw, wcześniejsze informowanie o ważnych wydarzeniach i precedensowych sprawach. W kontekście Polski Trybunał przysłużył się także rozwiązywaniu lub ograniczeniu wielu problemów systemowych (przeludnienie w więzieniach, brak skargi na przewlekłość postępowania, mienie zabużańskie, nadużywanie tymczasowego aresztowania). Ostatnio aktywnie broni represjonowanych sędziów. Wygląda na to, że na tym tle nawet poważne zaległości w rozpatrywaniu niektórych spraw (jak np. brak uregulowania związków partnerskich w Polsce) nie zaszkodziły reputacji Trybunału.

Drugie miejsce na podium zajął Rzecznik Praw Obywatelskich. Aż 76 proc. obywateli wskazało, że właśnie on byłby w stanie pomóc w przypadku naruszenia ich praw. Moim zdaniem to głównie zasługa dorobku prof. Ewy Łętowskiej. W okresie przemian ustrojowych to ona stworzyła model urzędu ombudsmána, który z jednej strony pomagał obywatelom i reagował na naru-

szenia ich praw, a z drugiej był pomostem w drodze do demokratycznego państwa prawnego. I tak jak w przypadku ETPC – bardzo ważna jest komunikacja z obywatelami oraz nieustanne tłumaczenie, jakie mają prawa, z jakich środków zaradczych mogą skorzystać, jak mogą sobie poradzić z machiną państwa. Kolejni RPO tylko dobudowywali następne piętra do gmachu postawionego przez prof. Łętowską. Co ciekawe, polski model RPO stał się wzorem dla innych państw z Europy Środkowo-Wschodniej – ombudsmani w Chorwacji, Serbii, Ukrainie, na Słowacji czy w Gruzji mają podobną konstrukcję ustrojową oraz zakres kompetencji.

Ostatnie miejsce na podium zajęli ex aequo Rzecznik Praw Dziecka oraz sądy. Myślę, że wynik RPD to rezultat podwójnej, łącznej dziesięcioletniej kadencji Marka Michalaka. Na wielu polach pokazał, jak być przyzwoitym, zaangażowanym oraz empatycznym rzecznikiem. Nie bez przyczyny jego książka dla dzieci i rodziców „Opowieści o tym, co w życiu ważne” jest obecnie bestsellerem. Natomiast sądy reputację zawdzięczają nie tylko roli ustrojowej w systemie państwa – są ostatnim bastionem przed nadużyciami władzy, ale także większej aktywności w ochronie praw podstawowych w ostatnich latach. Począwszy od protestów w lipcu 2017 wielu sędziów zrozumiało swoją szczególną rolę – spłacają dług zaciągnięty wobec obywateli, którzy stanęli w obronie ich niezależności. To wiadać choćby w przypadku kredytów frankowych, zażaleń na nielegalne zatrzymywania czy spraw dotyczących dostępu do informacji publicznej – sądy pokazują, że można dzięki nim wygrać z państwem czy korporacją.

Dalsze miejsca w tym badaniu, niestety, nie napawają optymizmem. Prokuraturę jako odpowiedzialną za egzekwowanie przestrzegania praw podstawowych wskazało jedynie 35 proc. obywateli. Oczywiście dla wielu prokuratura kojarzy się raczej z twardą władzą i stawianiem zarzutów. Jednak nie zapominajmy, że zgodnie z ustawą prokuratura ma stać na straży praworządności. Ma także pomagać obywatelom w dochodzeniu ich praw, zwłaszcza jeśli są oni pokrzywdzeni przestępstwem. W Polsce coraz trudniej jednak oczekiwać rzetelnej pracy od upolitycznionej prokuratury.

Ciekawe są także odpowiedzi na pytania, do kogo obywatele zwróciliby się w przypadku naruszenia ich praw. Pierwsze miejsce zajmują instytucje rzecznicze (RPO, RPD i inne) – 72 proc. wskazań. Następnie adwokaci i radcowie prawni (53 proc.). Trzecie miejsce to organizacje społeczne – 29 proc. Zastanawiający jest wynik polityków – tylko 6 proc. wskazań. Powstaje pytanie, skąd tak słabe postrzeganie polityków jako osób, które mogą pomóc, zareagować, podjąć sprawę.

Pokuszę się o sformułowanie kilku hipotez, odnoszących się przede wszystkim do roli opozycji demokratycznej. Trudno bowiem domagać się rozwiązywania problemów od polityków władzy, którzy sami przyczyniają się do naruszeń praw.

W codziennej polityce, która opiera się na mocnych hasłach i punktach programo-

Kredyty frankowe, zażalenia na nielegalne zatrzymywania – sądy pokazują, że można dzięki nim wygrać z państwem czy korporacją

wych oraz dążeniu do wyróżnienia się na tle konkurentów, ginąć może zainteresowanie setkami, tysiącami problemów zwyczajnych obywateli. Liderzy są raczej od zarządzania całą drużyną partyjną, koordynowania prac programowych, walki o przejęcie władzy. Budzą ludzkie skojarzenie właśnie z tym, a nie z potencjałem, że można się do nich zwrócić w celu podjęcia konkretnej interwencji.

Oczywiście niektórzy posłowie są bardzo aktywni w przygotowywaniu interpelacji i zapytań. Senatorzy korzystają aktywnie ze swoich uprawnień. Jednak zbyt często dostrzegane są niewielka liczba interpelacji, brak codziennej aktywności w parlamencie, nieobecność na głosowaniach czy bierna postawa na komisjach. Nie wspomnę już słabej frekwencji na sesjach Sejmu, kiedy prezentowane są raporty roczne RPO czy innych organów konstytucyjnych. To znacznie bardziej kształtuje wizerunek polityków niż zaangażowanie aktywnych posłów oraz senatorów.

Jeśli nawet politycy upominają się o ludzkie sprawy, to nie zawsze sobie uświadamiamy, że chodzi o ochronę praw podstawowych. Walka z wykluczeniem transportowym to przecież walka o równe traktowanie w życiu publicznym i prawo do ochrony zdrowia oraz prawo do edukacji. Protesty przeciwko Centralnemu Portowi Komunikacyjnemu to walka o poszanowanie prawa własności. Interwencje w sprawie zatrucia Odry to walka o prawo do czystego środowiska. Ten problem dostrzegałem jako RPO – prawa podstawowe kojarzą się najczęściej z typowymi prawami osobistymi i politycznymi (zakaz tortur, wolność słowa, wolność zgromadzeń, prawa kobiet), a nie z zagadnieniami dotyczącymi zwykłego, codziennego życia. To pokazuje, jak ważne jest dogłębne zrozumienie naszej konstytucji oraz potencjału narracyjnego, który w niej tkwi.

Wśród polityków są także osoby, które mają za zadanie zajmować się petycjami obywateli. Choć wykonują poważną pracę, to jednak nie przebijają się do pierwszej ligi. Zachęcam do prostego ćwiczenia – czy są w stanie z pamięci podać nazwiska przewodniczących komisji ds. petycji w Sejmie oraz komisji praw człowieka, praworządności i petycji w Senacie? Być może niższa rozpoznawalność tych osób bierze się z tego, że za dużo czasu przeznaczają na trudną, merytoryczną pracę, a nie na codzienne rozgrywki.

Ślubowania posłów i senatorów zawierają słowa o rzetelnym i sumiennym wykonywaniu obowiązków wobec narodu oraz o strzeżeniu dobra obywateli. Wyniki badania powinny być zimnym prysznicem dla liderów politycznych. Jak spowodować, aby więcej obywateli uważało, że do polityków warto się zwrócić, kiedy nasze prawa są naruszane? W kontekście zbliżających się wyborów warto się nad tym zastanowić. Tym bardziej że ze względu na kryzys liczba potrzebujących rzeczywistej pomocy będzie każdego dnia rosła. ●

PS Przewodniczącym komisji ds. petycji w Sejmie RP jest Sławomir Piechota. Przewodniczącym komisji praw człowieka, praworządności i petycji w Senacie RP jest Aleksander Pocięj.

***Dr hab. Adam Bodnar** – prof. Uniwersytetu SWPS, rzecznik praw obywatelskich VII kadencji

DAWID OGRODNIK

PIOTR TROJAN

JOHNNY

„ZAMIAST CIĄGLE NA COŚ CZEKAĆ – ZACZNIJ ŻYĆ, WŁAŚNIE DZIŚ. JEST O WIELE PÓŹNIEJ, NIŻ CI SIĘ WYDAJE.”

W KINACH OD 23 WRZEŚNIA

KSIĄŻKA

JUŻ W SPRZEDAŻY



K

Kto chce pojąć, co siedzi w głowie nowego prezesa TVP, musi się przygotować na jazdę bez trzymanki: od Arystotelesa przez pisma konfederatów barskich po zespół Bayer Full jako „ostoję zdrowego rozsądku”. Mateusz Matyszkowicz sam siebie określa jako anarchokonserwatystę („polski konserwatyzm ma charakter republikański, anarchokonserwatyzm to właśnie republikanizm”). Jest magistrem filozofii, krótko studiował teologię. Wbrew temu, co o nim piszą, nie uprawia żadnych ziół ani pomidorów, choć ma ogródek pod domem. Mówi cicho, z namysłem. Uparty. Długo pracował na obecną powódzenie: był naukowym olimpijczykiem, cenionym tłumaczem i komentatorem Tomasza z Akwinu, redaktorem w poważnych wydawnictwach, felietonistą, pisarzem. Liderem nieformalnych i nietypowych prawicowych stowarzyszeń. Prowadził, a nawet sam montował audycje radiowe i telewizyjne, animował życie kawiarniane w stolicy, kierował kanałem kulturalnym TVP, zasiadał w szacownych radach i grupach jurorskich. Ostatnio był też jednym z dwóch (obok Jacka Kurskiego) członków zarządu publicznej telewizji. A mimo to, gdy został jej prezesem, krajowa publiczność pytała ze zdziwieniem: kto to jest?

– To postać tragiczna – odpowiada prof. Jan Hartman, opiekun naukowy Matyszkowicza z Wydziału Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Intelktualista, który miał przed sobą obiecującą karierę naukową, jednak wybrał władzę. Zaprzedał duszę Wszyscy Wiemy Komu.

Znaleźć rozmówców do tego tekstu nie było łatwo. Odmówili m.in. doskonale znający Matyszkowicza Piotr Gociek, publicysta tygodnika „Do Rzeczy”, i Łukasz Orbitowski, pisarz, a przy tym kolega ze studiów. Ten drugi powiedział mi przynajmniej tyle, że Mateusz „zawsze był w porządku”, zaś jako dyrektor TVP Kultura zachowywał się lojalnie wobec pracowników. Czyli m.in. względem Orbitowskiego, który prowadził tam audycję „Dezertery”. „Traktował mnie honorowo, dał wolną rękę przy robieniu programu i stał po mojej stronie w sytuacjach konfliktu – napisał mi w esemesie. – Nigdy nie było problemu nawet z najbardziej ryzykownymi gośćmi”.

– Powiem panu, dlaczego ludzie nie chcą o Mateuszu gadać – mówi kolejny z jego znajomych, katolicki publicysta Tomasz Terlikowski, który w latach 2014–17 był szefem Matyszkowicza w prawicowej TV Republika. – Wszyscy, których znam, a którzy jego znają, po prostu bardzo go lubią. Ja sam doceniłem klasę Mateusza, gdy po jakiejś mojej wcześniejszej wypowiedzi o konieczności rozliczenia kościelnej pedofilii prawica po mnie gremialnie jechała, a on przysłał esemesa: „Tomek, dziękuję”. Dlatego sądzę, że nikt nie będzie chciał go krytykować, choć większość nie rozumie: do czego mu ta prezesura? Dlaczego zamienił pozycję istotnego intelektualisty na władzę? Zagadka.

– Nic w tym zagadkowego – oponuje krakowski kolega, który prosi, bym zachował jego nazwisko do własnej wiadomości. – Mateusz zawsze chciał piąć się wzwyż. Przyjechał z tego swojego Żywca na prestiżowy wydział najlepszej uczelni, był taki chudy, zahukany i... co tu ukrywać: brzydki. Zwykle bez kasy. Miał za to chłopski upór, wiarę w Boga i przyrodzoną prawość. Wiarygodność. I jeszcze konsekwencję. Są ludzie, co ciągle się spieszą, a i tak zawalają terminy, wiecznie spoceni. On jest spokojny, nawet gdy czas go goni. Umie się sprawnie przełączać między zadaniami. Konteksty łapie w lot. Da ci trafną odpowiedź, zanim zdążysz sformułować pytanie. Mądrzejszy od otoczenia, ale się nie wywyższa, czy raczej chce się wywyżżyć, lecz przez to, co pisze i robi.

Sam Matyszkowicz określa to inaczej: – Staram się odcisnąć na wszystkim piętno tego, co dla mnie ważne.

Urodził się w Nowy Rok 1981. Wychował w rodzinie, którą sam określa jako „konserwatywną”. Mama, ekonomistka, pracowała w biurze. Potem rodzice zaczęli prowadzić firmę – handel detaliczny. Ich syna – ulubionego ucznia polonistki i czytelnika trudno dostępnego w Żywcu kwartalnika „Frona” – po podstawówce przyjęto do Jedyńki. Pierwsze LO to szkoła z cesarsko-królewskimi jeszcze tradycjami. Do końca lat 80. uczniowie nosili tam mundurki, tarcze na rękawach i tzw. obuwie zamien-

PIOTR
GLUCHOWSKI

Kim jest Mateusz Matyszkowicz

ANARCHISTA PANA BOGA

Nowy szef TVP uważa się za rycerza i za katechona
– siłę powstrzymującą nadejście Antychrysta oraz Apokalipsy

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



ne. Ulokowaną w klasycystycznym pałacu szkołę kończyli biskupi (Tadeusz Pieronek, Tadeusz Rakoczy) i Stanisław Pyjas, który studiował w Krakowie filozofię i przyjaźnił się z Bronisławem Wildsteinem. Mateusz też będzie studiował w Krakowie filozofię i zaprzyjaźni się z Dawidem, synem Bronisława.

W roku 1998 został finalistą olimpiady filozoficznej, dwa lata później zajął pierwsze miejsce. Nagrodą był indeks preferowanej uczelni. Wybrał Jagiellonkę. Opanował kilka języków obcych, w tym perfekcyjnie łacinę. W trakcie nauki zakochał się w średniowieczu i średniowiecznym sposobie dowodzenia tez. Dla Matyszkowicza „średniowieczny” nie znaczy „zacofany” – przeciwnie.

Krakowski kolega: – Cholernie pilnie się uczył. Hartman: – Jednocześnie pracował. Był moim współpracownikiem w ośrodku dokumentacyjnym filozofii, pomagał przy wydawaniu biuletynu „Ekspres Filozoficzny”. To był wolontariat. Nie mogłem, niestety, mu płacić. Ale pomogłem załatwić pierwszą prawdziwą posadę. Polecilem go Henrykowi Woźniakowskiemu, prezesowi Znak.

W krakowskiej oficynie poliglota Matyszkowicz czytał obcojęzyczne książki, a potem opiniował, które warto przetłumaczyć i wydać. Pisał też do kierowanego wówczas przez Jarosława Gowina miesięcznika „Znak”.

Mniej więcej w tym samym czasie się ożenił. Wybranka pochodziła z Poznania, z zawodu – pielęgniarka. Ślubu udzielił kapłan z kościoła Bernardynów. Wkrótce zaczęły się dzieci. Dziś prezes TVP ma ich pięcioro. Czwórkę z pierwszego związku i jedno z drugiego małżeństwa, które zawarł już w czasach warszawskich z – jak oględnie określa drugą żonę

– „mazowszanką”. Trudno coś z niego wydobyć na temat życia rodzinnego. Ci, którzy go znają najlepiej, mówią, że ciężko przeżył rozwód i boi się, aby jakimś nieostrożnym słowem nie zaszkodzić swej drugiej rodzinie. I jeszcze, że z byłą żoną żyją w przyjaźni. Taka patchworkowa rodzina konserwatysty.

Krótko po obronie pokazał, na co go stać: przetłumaczył z łaciny i opatrzył własnym komentarzem traktat św. Tomasza z Akwinu „De regno”, czyli „O królowaniu”.

– Takie tłumaczenie to duża sprawa, świadczy o człowieku – przyznaje prof. Hartman.

Książka wyszła w serii „Klasyka myśli filozoficznej”, a wydał ją krakowski konserwatywny Ośrodek Myśli Politycznej założony przez prof. Ryszarda Legutkę, o którym dzisiaj Jarosław Kaczyński mówi, że jest jego „ulubionym partnerem do rozmów”.

– Matyszkowicz już na początku studiów stał się jego człowiekiem – ciągnie Hartman. – Obaj byliśmy mu wykładowcami, ale w pewnym momencie nasz zdolny młody człowiek musiał dokonać wyboru i wybrał drogę Legutki. Pewnie była zgodna z jego pobożnością.

Legutko był też promotorem magisterki Mateusza. Potem, gdy on tłumaczył Akwinatę, jego mentor startował z listy PiS do Senatu i nie tylko zdobył mandat, lecz też został wicemarszałkiem, dzięki czemu mógł zatrudnić Matyszkowicza w senackiej kancelarii jako asystenta. Kiedy w 2007 roku Jarosław Kaczyński zerwał koalicję z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin, Legutko zastąpił Romana Giertycha w fotelu ministra edukacji. Był nim przez trzy miesiące, Mateusza uczynił doradcą.

– W ten sposób, zamiast zostać na uczelni i kontynuować doktorat, rozwiódł się i fruuu... do Warszawy – mówi krakowski kolega. – Na temat tego rozwodu było sporo plotek, szczególnie na uczelni. Bo to taki konserwatysta, co płodził dziecko za dzieckiem, a my go potem widzimy na placu Zbawiciela, jak na leżaku popija fritz-kolę w towarzystwie stołecznych mądrali w kolorowych butach.

W Warszawie – przynajmniej na starcie – nie było łatwo. Z początku nikogo nie znał, więc nie tyle popijał kolę, ile rozglądał się za zarobkiem. Kontakty ze stołecznym prawicowym światkiem (w tym środowiskiem ukochanej „Frondy”) pomógł mu nawiązać krakowski przyjaciel, z którym chodził na wykłady Legutki i Hartmana, a który wcześniej przetrął szlak do stolicy – Piotr Palka. Ma tyle lat, co Mateusz, sam o sobie mawia, że jest bon vivantem, a na serio: twórcą prawoskrętnych serwisów – Portalu Poświęconego Fronda.pl (który dopiero po nim przejął Terlikowski i którego nie należy mylić z kwartalnikiem „Fronda”) oraz kontrkulturowej witryny Rebelya.

– Jak Mateusz przyjechał pracować do Warszawy, wynajął coś na Woli. Ja mieszkalem wówczas na Sadybie – opowie Palka miesięcznikowi „Press”, gdy Matyszkowicz wejdzie do zarządu TVP. – Pokazywałem mu, co, gdzie i którądy.

Podczas przedterminowych wyborów w 2007 roku władzę przejęła Platforma, Legutko nie dostał się do Senatu kolejnej kadencji i znalazł schronienie w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Tu nie mógł Matyszkowicza przytulić. Filozof i autor „Znaku” zahaczył się więc jako korpoludek – pracownik marketingu w polskiej odnodze niemieckiego giganta ubezpieczeniowego Allianz.

– Tyle że ognia czapką nie nakryjesz – mówi krakowski kolega. – Kilka lat nie minęło i Mateusz już pisał, organizował, wymyślał.

Wpierw objął posadę redaktora, wydawcy inter-



Matyszkowicz:

*„Przewidywalność to nasz ból
– rzeczywistość medialna ułożyła się
w sposób oczywisty:
wiemy, co powie X i co powie Y.
My chcielibyśmy zaskakiwać”*

netowego i autora w drukowanym przez charytatywną Fundację Świętego Mikołaja (biskupa Miry, nie gwiazdora) roczniku filozoficznym „Teologia Polityczna”. Redakcja była (i jest) czymś więcej niż tylko newsroomem. To chrześcijańskie pismo wpatrzone w starożytnych filozofów, z zacięciem mesjanistycznym, sławiące polski republikanizm jako kontynuację rzymskiego – a także konserwatywny think tank. W „Teologii” publikowali m.in. Jadwiga Staniszkis, Agnieszka Kołakowska, o. Jacek Salij, Jarosław Gowin oraz prof. Tomasz Węclawski (zanim stracił wiarę i stał się Tomaszem Polakiem). Niespełna 30-letni Matyszkowicz zaczął się obracać w towarzystwie prawicowych sław: poznał Piotra Semkę, Piotra Zarembę, Ludwika Dorna, Roberta Mazurka, Jana Wróbla, Rafała Ziemkiewicza. Porzucił Allianz, by dyskutować, komentować, redagować i coraz więcej pisać: w roku 2010 wydał wybór felietonów z „Teologii” pt. „Śmierć rycerza na uniwersytecie”. Tylną okładkę 155-stronicowej książki zdobi rekomendacja prof. Legutki – teraz już europosła: „Mateusz Matyszkowicz patrzy na Polskę i współczesne społeczeństwo oczami człowieka, którego uformowała klasyczna filozofia”.

Sam autor jako ideowego ojca we wstępie wymienia... nie – nie Legutkę, ale zmarłego rok wcześniej Macieja Rybińskiego, w PRL emigracyjnego dysydenta, potem publicystę „Rzeczpospolitej” i „Gazety Polskiej”. Pierwsze słowa książki: „Ś.P. Maciej Rybiński stworzył cykl felietonów pt. Jestem więc piszę. Pisanie jest lepsze od gadania (...) ma w sobie coś z rycerstwa, bo (...) odsłaniamy twarz. I zamiast czuć się za przeciwnikiem od tyłu, uderzamy wprost, od frontu”.

W kogo uderza frontalnie Matyszkowicz w trzech pierwszych latach Platformy, gdy jego ulubiony poeta Jarosław Marek Rymkiewicz formułuje pojęcie Polski jako obudzonego przez Kaczyńskiego żubra, zaś Donald Tusk ideę polityki ciepłej wody w kranie?

Po pierwsze, w tych, którzy podważają tradycyjne hierarchie: „Jeżeli nie można powiedzieć, że coś jest lepsze, lub gorsze [wszystko] traci sens. Nasza wolność pozostaje hasłem na sztandarze”. Postpolityka Platformy to „barwne piórka kryjące niemoc, brak decyzji, pozorne wybory”.

Po drugie, Mateusz wytyka tych, którym „francuskie rajtuzy miłsze są od kontusza”: „Kategorie postępowości i reformizmu [stały się] głównymi kryteriami, za pomocą których ocenia się [dziś] wartość danego pisarza. Dlatego w szkołach omawia się [Stanisława] Staszica, a pomija [pisarza konfederacji barskiej] Michała Wielhorskiego. Sarmata [stał się] tym Innym, wampirem, który (...) pokazuje ciemniejszą część naszej psychiki. Chcielibyśmy się go pozbyć, jak brudzącej nasze francuskie lakierki polnej gliny, ale nie możemy”. Dlaczego? Bo jesteśmy krwią z krwi panów szlachty i im prędzej to sobie uświadomimy, tym szybciej odzyskamy psychiczną równowagę.

Żeby jednak nie było tak prosto, w wywiadzie dla „Press” Matyszkowicz powie coś pozornie przeciwnego: „Po szlachetczyźnie odziedziczyliśmy pogardę dla tych, którzy zarabiają mniej i którzy niekoniecznie obejrzą najmodniejszy (...) spektakl. Misją [inteligencji winna być] walka z tym genem postszlacheckiej pogardy”.

W kolejnym felietonie z „Śmierci...” pt. „Instrukcja posługiwania się inteligentem” odchodzi od chłodnych filozoficznych ocen. Wielkomiński inteligent-leming, którego zaobserwował w Warszawie, leci bowiem na „puder, światło i kolorową scenografię” z telewizji. Wpatruje się w celebrytów: „aktora, piosenkarkę, lub trenera sumo”. „Nie pyta: Dlaczego?, bo świat bez takich pytań jest szczęśliwszy i znacznie bardziej przyjemny”. „Niech głównym pytaniem stanie się: Do czego? Do czego ta śrubka służy?”.

Matyszkowicz: „Klasyczną szkołę opuszczali ludzie niepokorni, którzy mieli co odrzucać. Z obecnej wychodzą potulne misie. Są pokornymi sługami frazesów uczonych od kołyski”

Taka wiedza lemingom wystarcza.

Aż trudno uwierzyć, że za parę lat autor napisze odezwę „Do Braci Lemingów” (i to z dużej litery), oferując im swoją miłość. W „Śmierci...” piętnuje błahość, pływaczność i laicyzację życia publicznego. „Dechrystianizacja jest manipulacją”. Dlaczego? Ponieważ w Polsce „proces ten postrzega się jako zjawisko bezosobowe”, „wypadkową różnych społecznych [zmian], które nie mają strategów i generałów”. Zjawisk się „nie ocenia tylko przyjmując do wiadomości”, więc ludzie naiwnie wierzą, że laicyzacja „zachodzi”. Tymczasem dechrystianizacja jest „czystą ideologią, [a] stoi za nią wyraźny i agresywny zestaw antychrześcijańskich uprzedzeń”. Lewacy i wykształciuchy odrzucają religię „nie w imię prawdy, ale nowoczesności”. Trzeba zatem zadać pytanie: „Jaka musi być ta nowoczesność, że z chrześcijaństwem jej nie po drodze?”. Przecież „jeśli chodzi o ekonomię, wpływ chrześcijaństwa jest pozytywny (...). Dyscyplina moralna (...) sprzyja efektywności gospodarki”, a dobroczynność wyrównuje różnice społeczne.

W roku 2008 młodzi konserwatywni intelektualiści pojechali do Gdyni wziąć udział w debacie o przyszłości krajowej prawicy. Zapostulowali, by wzorem lewej strony rozpocząć – mówiąc językiem lidera rewolucyjnej zachodnio-niemieckiej młodzieży lat 60. Rudiego Dutschke – marsz przez instytucje. Ten proces, początkowo powolny, przyspieszy po wyborczym zwycięstwie „dobrej zmiany”. W „odzyskanej” TVP Pałka dostanie posadę prowadzącego polityczny program „Cztery strony”, a później stanowisko zastępcy dyrektora Jedynki. I pociągnie Mateusza na Woronicza.

Na razie mamy jednak rok 2012. Autorka „Rzeczpospolitej” Agnieszka Rybak po raz pierwszy zalicza Matyszkowicza, Pałkę oraz dwóch kolejnych urodzonych w 1981 r. konserwatystów – Tomasza Kwaśnickiego, właściciela portalu Kresy.pl, i Pawła Rojka, szefa kwartalnika „Pressje” – do najbardziej opiniotwórczych młodych pravicowców. Nazywa ich „dziećmi Solidarności”.

„To oni organizują pole do działania dla jeszcze młodszych od siebie: studentów czy świeżo upieczonych absolwentów, których konserwatyzm manifestuje się udziałem w Marszu Niepodległości, flagą wywieszoną w święto państwowe, czasem krzyżkiem lub medalikiem na szyi, staranniejszym niż zwykle niedzielnym strojem. Mają swoje specjalizacje. Rebelya.pl i Fronda.pl są od walki cywilizacyjnej, »Teologia Polityczna« specjalizuje się w teorii rządzenia, krakowskie »Pressje« prowadzą działalność ekspercką i programy dla studentów”.

Matyszkowicz robi jeszcze coś: powołuje ze znajomymi Hipster Prawicę – nieformalną i w założeniu anarchizującą grupę młodych konserwatystów, dla której nazwę wymyśla 28-letni wówczas Dawid Wildstein. Prócz niego i Mateusza w gronie prawych hipsterów znajdują się Piotr Pałka oraz Wojciech Mucha i Samuel Pereira – koledzy Wildsteina juniora z „Gazety Polskiej Codziennie”.

– Chcemy odczarować prawicę, by nie była toporna, by nie ukrywała poglądów i się ich nie wstydziła – deklarują założy-

Platformy szybko owocuje setkami followersów – dziś nieco zapomniany fanpage ma ich wciąż 11 tysięcy.

Rok 2012 był momentem, kiedy pojechaliśmy, że ludzie chcą się z nami identyfikować – mówi w rozmowie z Czupryn Matyszkowicz. – Hipsterskich fanpage’ów było dużo, ale bez mocy tożsamościowej. Ludzie wchodzili na nie dla beki. Hipster Prawicy udało się tę granicę przekroczyć. Pokazaliśmy, że bycie pravicowcem w Polsce nie równa się obciachowi.

„Prawak” może być młodym, pięknym, trzydziestoletnim z warszawskiego Zbawixa, które to miejsce Mateusz z Dawidem Wildsteinem wybrali na punkt spotkań „z powodów ironicznych”, a dokładnie z racji stojącej tam plastikowej tęczy – obiektu nienawiści „łysych pał z manifestacji ONR-u”.

– My tęczę odbieraliśmy zgodnie z symboliką chrześcijańską, która była wcześniej niż ruch LGBT – mówił Czupryn Matyszkowicz. – Dla nas to symbol nadziei, przymierza Boga z ludem. Nie zgadzaliśmy się, aby ją nam odbierać. Fajne było napięcie między tęczę a stojącym przy placu kościołem. Tym, co nowe i co tradycyjne. To bardzo republikańskie, a przez to bardzo polskie. Zdarzały się na „Placyku” dyskusje z ludźmi o innych poglądach i często słyszeliśmy: „ja się z wami nie zgadzam, ale działacie fajnie”.

Jednym z tych, którzy przyszli podyskutować, był w 2013 roku reporter „Dużego Formatu” Grzegorz Szymanik. Usłyszał od Matyszkowicza, że należy: „zachowywać się jak bohater romansu rycerskiego, a nie jak Lenin. Pić dobrą kawę i czytać Ewangelię, klasyków filozofii, dobrą prozę”. Czyli Leopolda Tyrmanda, Andrzeja Bobkowskiego, Józefa Mackiewicza. „Słuchać muzyki Henry’ego Purcella albo ostrego rocka”.

– Nasi koledzy, hipsterzy lewicowi, nie są naszymi wrogami. Jeżeli zależy nam na walce, to z tymi, co wyżej w hierarchii. Z kolegą lemingiem możemy napić się pepsa.

bocie sięga prawie 30 procent i trzykrotnie przebijają statystyki całej populacji. Lemingi przyjechały do wielkiego miasta spełnić swój sen [a] spotkały rozczarowanie. Ścieżki awansu zablokowane przez pokolenie, które karierę zrobiło w latach 90. Oferty zarabiania na umowach śmieciowych. Pieniądze wypłacane nieregularnie...”

Kolega z Krakowa: – Matyszkowicz z Pereirą pisali o sobie. Wszyscy wiedzieli, że „Gazeta Polska” lubi zalegać z pensjami. Redakcja „Teologii” też nie była miejscem, gdzie człowiek się mógł dorobić. A piwko na Zbawixie po dziesięć. Do tego Mateusz miał dzieci.

Puenta odezwę mogła w tamtym czasie zaskoczyć: „Jakkolwiek patetycznie by nie zabrzmiało – leming to dla chrześcijanina brat, o którego starać się trzeba i warto. Platforma pasożytuje na lemingu i go oszukuje. (...) Przy naszym kawiarnianym stoliku jest dla was dużo miejsca. Kochamy cię, lemingu. Jesteś naszym bratem!”.

W roku 2013 ekipa z Matyszkowiczem, Pereirą i młodym Wildsteinem na czele przejęła kwartalnik „Frona”. Dołączyli do nich Tomasz Kwaśnicki (Kresy.pl) z żoną Martą (doktorantką Uniwersytetu Papieskiego i nagradzaną pisarką) oraz Jakub Moroz (TV Republika, „Pressje”).

„Jastrzębie prawicy” – napisał Jan Fusiecki w branżowym magazynie „Press”: „Młodzi publicyści jeszcze bardziej pravicowi niż Ziemiakiewicz, Semka, Zaremba (...) bez bagażu doświadczeń PRL; wykorzystujący wszelkie nowe kanały komunikacji. Chcą przejąć od 50-latków cały biznes zaangażowanego politycznie, pravicowego dziennikarstwa”.

Tomasz Terlikowski, dotychczasowy naczelny kwartalnika (czterdziestolatek), faktycznie oświadczył na Facebooku: „Czas się pożegnać i oddać stery młodszemu pokoleniu”. Łukasz Warzecha, publicysta sprzeczącego się często z zespołem „GPC” środowiska braci Karnowskich i tygodnika „wSieci” (dziś „Sieci”), napisał półzartem o „żydowsko-pisowskim przejęciu” periodyku.

– To nie było przejęcie wrogie – bronił się Matyszkowicz w „Press”. I zadeklarował, że pod jego przewodnictwem „Frona” nadal będzie „pismem chrześcijańskim, ale w żywej interakcji ze współczesną kulturą”. Wzorem ma być „Brulion” – słynny kontrkulturowy żurnal literacki wydawany w latach 90. przez Roberta Tekielego (obecnie felietonistę „Sieci”). To z „Brulionu” młodzi inteligenci dowiadywali się w czasach prezydentury Lecha Wałęsy, czym jest Era Wodnika, cyberpunk, body-art albo kamp.

Matyszkowicz w rozmowie z „Polską Times”: – Będzie czasem ironicznie, pastiszowo, czasem poważnie, lecz nie do końca przewidywalnie. Bo przewidywalność to nasz ból – rzeczywistość medialna ułożyła się w sposób oczywisty: wiemy, co powie X i co powie Y. My chcielibyśmy zaskakiwać.

Pierwszy numer zaskoczył zmianą tytułu na „Frona Lux” (nie od luksusu, tylko od światła po łacinie) i okładką z Leopoldem Tyrmandem opalającym się z gumowym krokodylem i plażową piłką na tle kościoła Najświętszego Zbawiciela pod płonącą tęczę (instalacja na placu paliła się w sumie siedem razy).

– Tyrmand to nasz kolega z redakcji – żartował wówczas Matyszkowicz. – Człowiek, który potrafił pokazać przywiązanie do tradycyjnych wartości eleganckim stylem, a jednocześnie nie unikał konfrontacji z rzeczywistością. Tyrmand, do którego chcemy powracać, to ten z ostatnich lat w USA, gdy pisał głęboko katolickie eseje, a wciąż był tym samym Tyrmandem.

Pierwszy wstępniak Matyszkowicza: „Wierzę, że jeśli sięgniecie po tom z Tyrmandem w slipkach (...) to jesteście dziwni, nieco dzicy, nieokiełznani, ale w głębi duszy dobrzy z Was ludzkie. Czego od Was chcemy? Żebyście chodzili do kościoła, płodzili dzieci, ginęli w powstaniach i czyta-

ciele w rozmowie z Anitą Czupryn z gazety „Polska Times”. – My dobrze wyglądamy, bawimy się jak normalni młodzi i chcemy to pokazywać. Bo dotychczas prawica kojarzyła się ze starszymi, brzydko ubranymi. Tymczasem pravicowcy nie muszą być łysymi pałami z manifestacji ONR-u.

Sam Matyszkowicz nosi w tamtym czasie wąsy i zaczątek obecnej długiej brody, modny kaszkiet, luźne portki plus koszulki z anarchistyczno-punkowymi hasłami. Facebook nie jest jeszcze passé, więc hipsterzy zakładają tam fanpage. W ramach pierwszej akcji społecznej chętni fotografują się z pravicową literaturą w ręce: książka, gazeta, tygodnik. Przez Ilonę Klejnowską – studentkę uczelni Rydzka występującą wcześniej na billboardach jako jeden z „aniołków PiS” – Matyszkowicz i spółka pozyskują zdjęcie Kaczyńskiego czytającego „GPC”. Potem już idzie łatwo: z gazetą Tomasza Sakiewicza albo tygodnikiem „Uważam Rze” fotografują się politycy, stołeczni aktywiści prawicy i znajomi znajomych. Ktoś wkłada zmontowane zdjęcie Kasi Tuska, córki premiera, jak czyta „Polską” do góry nogami. Darcie lacha z rządzącej

– Ten wątek zaczął się u Mateusza pojawiać, gdy osiadł w Warszawie i wziął kredyt na dom, gdzieś podobno pod lasem – mówi stary kolega. – Wątek, że szanujemy Tomka Sakiewicza czy Pawła Lisickiego [naczelnego „Do Rzeczy”], ale czas już najwyższy, by się posunęli.

Kwestia pożegnania z siwymi tuzami prawicy przewija się też w liście „Do Braci Lemingów”, który Matyszkowicz z Pereirą, Muchą, młodym Wildsteinem i Pałką opublikowali na łamach „Teologii” w kwietniu 2013.

Zaczęli przewidywalnie: leming, czyli typowy wyborca Platformy i lewicy, „jest biedny i wykorzystywany. Ma być obyczajowo wyzwolony, a pragnie rodziny. Czyta Lisa i ogląda Olejnik. A potem na odwrót. Jest zakompleksiony i dlatego bardzo przywiązuje się do zewnętrznych oznak statusu społecznego. Posługuje się zatem ajfonem i cieszy kredytem we frankach. Musi być przecież od czegoś zależny, więc [uzależnia się] od bankiera.

Został przez wszystkich oszukany. W grupie, w której ma być najwięcej lemingów, czyli wśród młodych w Polsce, bezro-

li dobrą literaturę. A przy tym pozostali tymi, których stworzył Bóg w nieogarnionej wyobraźni swojej”.

Moi rozmówcy, którzy regularnie czytali „Fronde” Terlikowskiego i „Fronde Lux” Matyszkowicza, mówią zgodnie, że druga była ciekawsza: „Dawała prawicowym tużom, co nie czytają książek innych niż historyczne, nie chodzą do galerii innych niż handlowe i hoduszą brzuchy”. „Łączyła wysokie z niskim, teksty o Bayer Full z tekstami o wallenrodyzmie”. „Pytali, dlaczego prawica straciła reżysera teatralnego Klatę, pisali o niemieckim futbolu, arabskich uchodźcach, o seksie, o serialach...”. „Tam się naprawdę działo”.

– Mateusz zrobił z „Frondy” zupełnie nowe pismo – ocenia Terlikowski. – Mniej „poświęcone”, bardziej anarchistyczne, szalone.

Naczelnny, który podpisywał się w stopce „FLux” jako „katechon” [biblijna siła powstrzymująca nadejście Antychrysta i Apokalipsy], pracował intensywnie: szefowanie kwartalnikowi łączył z prowadzeniem kulturalnych programów w Radiu Wnet i TV Republika. Z powodu szczupłości kadr w tej drugiej redakcji często montował swoją „Literaturę na trzeźwo” własnoręcznie – nabyte umiejętności techniczne przydadzą mu się potem w telewizji publicznej. Nikt mu kitu nie wciśnie, że „się nie da”.

– W „Literaturze...” Mateusz nie dobierał książek i rozmówców wedle swych sympatii, tylko promował rzeczy ewidentnie dobre – wspomina Terlikowski.

Z jednej strony rozmawiał ze swym ukończonym poetą Rymkiewiczem, z drugiej – z reżyserem frywolnych komedii, zdeklarowanym ateistą i współpracownikiem „Wyborczej” Andrzejem Saramonowiczem. Do tego działał jako animator w warszawskiej Cafe Niespodzianka, gdzie organizował polityczne dyskusje i poetyckie słamy. Przy kawie i ciastach domowej roboty swoje książki promował tu prof. Andrzej Zybertowicz. Dawid Wildstein opowiadał o przemilczanej wojnie Kurdów. Pisarz i satyryk Marcin Wolski – o europejskim dżihadzie. Prezentowano filmy o współczesnych prześladowaniach chrześcijan i o mongolskich nomadach. Przychodzili również ci z sercami po lewej: Jakub Majmurek z „Krytyki Politycznej” dyskutował z Tomaszem Stawiszyskim z „Newsweeka” o politycznej wymowie „Gwiazdnych wojen”.

Przy okazji w kawiarni zawiązała się kolejna skupiona wokół Matyszkowicza grupa – Rewizor. Zgromadziła trzydziesto-, czterdziestoletnich publicystów i aktywi-

stów, którzy określili się mianem anarcho-konserwatystów. „Chcemy odbijać dla konserwy nowe obszary” – pisał Mateusz na facebookowej stronie Niespodzianki.

W ostatnich latach rządów Platformy pisał dla portali Rebelya, Fronda, Niezależna (internetowa odnoga „Gazety Polskiej”) i dla tygodnika „Sieci”. Występował na antenie Radia RDC i w Programie III. Zagarniał rzeczywistość szeroko: od najbardziej bieżącej polityki po strategię dla polskiej kultury. Wybrałem dwa przykłady.

Artykuł z pisma Karnowskich, „Wysoka kultura, mości panowie!” (2015): „W redagowanej przeze mnie Frondzie Lux wskazywaliśmy, że słabością polskiego konserwatyzmu jest brak zainteresowania kultu-

zentują] poglądy polityczne”. Przykład: „wyrok w procesie, jaki Alicja Tysiąc wytoczyła ks. Markowi Gancarczykowi [z] »Gościa Niedzielnego« (...)”. Sąd skazał księdza na 30 tys. zł zadośćuczynienia (...). Ład medialny w Polsce był budowany na wmawianiu wszystkim, że o sile i słabości poszczególnych tytułów (...) winien decydować rynek. Okazało się, że (...) o tym, co można pisać, decydują sądy”.

Matyszkowiczowi nikt jednak pisać nie zabraniał. Opatrzył wstępem polskie wydanie monografii Erica Voegelina o Arystotelesie. Wydał książkę wywiad z reżyserem Antonim Liberą („Przewodnik po teatrze”). Cytały z jego tekstów rozposzechniały serwisy Niedziela.pl, Gosc.pl i wPolityce.pl, witryny „Najwyższego Czasu!”, „Polonia Christiania” i Salon24.

Zankiety dla portalu Histmag.org:

W jakiej epoce i miejscu chciałby żyć? W średniowieczu, w Paryżu, jako bakałarz na uniwersytecie.

Mistrzem opowiadania o historii jest... Święty Jan Ewangelista.

Ulubiony pisarz? Ernst Jünger.

Życiowe motto? Jak pisał św. Augustyn: „Kochaj i rób, co chcesz”

ra (...). Szukaliśmy sposobów na ożywienie przez sięganie do kampu [albo] disco polo, tej prawdziwej muzyki ludowej (...) ostoju zdroworoządkowego konserwatyzmu (...). [Lecz] Polska zmagająca się z poważniejszym problemem, niż zastygłe środowiska elit. To zdziwienie, splaszanie [i] ogromny kryzys kultury wysokiej (...).

Śmiano się z ludzkiej średniowieczności, że na wieki zapomnieli Arystotelesa i greki, a przecież właśnie tego jesteśmy świadkami tu i teraz. (...) Piękne są fajwerki i wielkie rekonstrukcje, ale tym, co może najlepiej wyrazić naszą dojrzałość narodową, jest literatura, opera, teatr, malarstwo, rzeźba. Jeśli chcemy silnej tożsamości polskiej, sprawmy, by wyrażała się ona w kulturze wysokiej”.

Na drugą nóżkę artykuł z Niezależnej, „Bolszewicy w togach” (2013): „Sąd odbiera dzieci [rodzicom] z Krakowa. Komornik bezprawnie konfiskuje [traktor] niewinnemu obywatelowi (...). Nie ma praktycznie dnia, by nie dochodziły nas wieści o skandalach z udziałem sędziów (...). Sądy działają nie tylko w sposób opieszale, ale [pre-

pl. Ja wracam do felietonów zebranych w „Śmierci rycerza...”, w których analizuję polską edukację.

„Tradycyjny podział na ucznia i nauczyciela został uznany za relikty dawnych, niedobrych czasów. Od teraz (...) człowiek ma opowiadać sam o sobie i sam wartościować. Klasyką szkołę opuszczali ludzie niepokorni, którzy mieli co odrzucać. Z obecnej wychodzą potulne misie [które] są pokornymi sługami frazesów uczonych od kołyski. Nowy totalitaryzm jest gorszy, bo dawny zmuszał do przyjęcia swoich prawd pozornie i tylko w deklaracjach [a] nowy zabrał się rzeczywiście za sumienia i dusze. (...) Nie można wychowywać tak, jak nakazuje religia i tradycja, wszystko musi być poddane duchowej pustce i zobojętnieniu przy jednoczesnym strachu, że jakieś nieostrożne słowo, niecenzuralna opinia (...) może na nas ściągnąć gromy autoritetów...”.

Dlatego Matyszkowicz nie posyła dzieci do szkoły. Wychowują się „w ramach edukacji domowej”. To kosztuje, ale tak być musi, ponieważ „liberałowie i socja-

liści [zafundowali] dzieciom szkoły, które zamiast uczyć socjalizują pod dyktando obowiązujących ideologii”. W Szwecji doszło do tego, że nauczanie domowe „podlega likwidacji, aby dzieci nie były zależne od religii (...) rodziców”. W ten sposób demokraci przyznali rację totalistom: „to państwo jest najlepszym regulatorem stosunków międzyludzkich”. Oraz szowinistom, bo uznali, że „istnieją grupy społeczne, które nie mają uprawnień do tego, by przekazywać dzieciom religię i nakazy”.

– Oboje z żoną stwierdziliśmy, że skoro wychowujemy własne dzieci i jesteśmy za nie odpowiedzialni, to częścią powołania jest bycie nauczycielem – mówił w wywiadzie dla serwisu Solidarni2010.pl.

Pod koniec lata 2015, gdy sondaże nie pozostawiały wątpliwości co do końca rządów PO-PSL, Matyszkowicz napisał we wstępie otwierającym numer „FLux” (na okładce Rymkiewicz z punkowym irokezem): „Od wakacji mamy nowego prezydenta. Późną jesienią zmieni się w Polsce rząd. Uważamy, że zmiana nie może dotyczyć wyłącznie spraw zagraicznych, finansów i gazu. Najważniejsza zmiana musi dotyczyć kultury. Czy prawica jest na to gotowa? Złe się stanie, jeśli kultura będzie oznaczać dla nowego rządu wyłącznie politykę historyczną. Jeszcze gorzej, jeśli – wzorem lewicy – prawica uzna kulturę za jedno z narzędzi polityki. Powinno być na odwrót. To polityka jest wtórna względem kultury, wyrasta z niej i tam powinna szukać źródeł. W osiemdziesiąte urodziny poety [Rymkiewicza] zrobmy mu prezent i postawmy kulturę przed polityką”.

– Trzeba uważać, czego się pragnie, bo marzenia mogą się spełniać – mówi krakowski kolega. – Mateusz doradzał PiS-owi, jaką robić kulturę... i proszę. Dostał do prowadzenia TVP Kultura. Taki jesteś mądry – zrób sam!

Prof. Hartman: – PiS zaczął go postrzegać jako młodego, ale już wybitnego intelektualistę. Kaczyński jest bardzo rad, że tacy ludzie się garną pod sztandar. Zepsuli skromnego, pobożnego chłopaka, który mógł zostać porządnym filozofem, a został pracownikiem frontu ideowego.

Fotel dyrektora kanału kulturalnego zaproponował osobiście prezes Jacek Kurski.

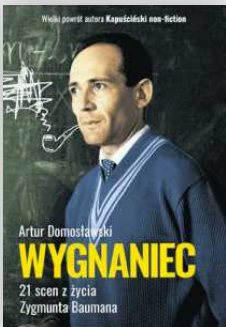
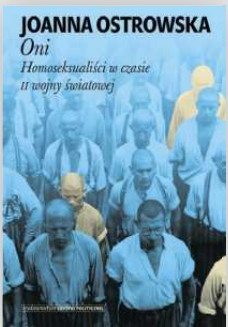
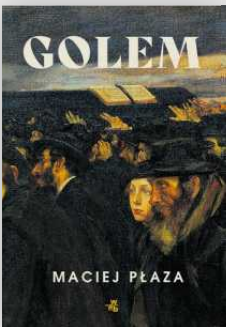
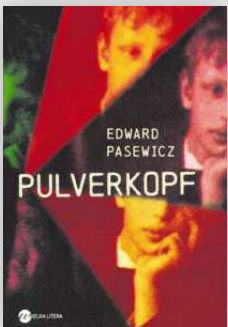
Kolega: – Oni się zaprzyjaźnili, co dla mnie jest nieco dziwne. „Kura”, amoralny bulterier nowej władzy, dla którego pozycja i muzyka to Jacek Kaczmarek, i Mateusz, współczesny hrabia Roland, co czyta

Nike
Gazeta Wyborcza & Fundacja Agory
Nagroda Literacka

PLEBISCYT NIKE CZYTELNIKÓW

Zagłosuj na książkę

Wyborcza.pl/nike



Na Wasze głosy i recenzje czekamy
do niedzieli 25 września

Do zdobycia voucher
na wycieczkę o wartości 5 tys. zł

Wergiliusza w oryginale. Może ich połączył szacunek dla disco polo?

Swoim zastępcą w TVP Kultura Matyszkowicz uczynił Jakuba Moroza, młodszego o cztery lata współpracownika z „FLux”.

Kolega: – Mateuszowi pomógł Palka, Mateusz pomógł Morozowi i tak się to kręci. Oni rzeczywiście chcą przeprowadzić zmianę pokoleniową. Idę o zakład, że jako nowy prezes telewizji porobi liczne roszady.

Gdy piszę ten tekst – już je robi. Na początek wymienił dyrektora TVP 3, potem dyrektora do spraw korporacyjnych, dyrektora od technologii, wicedyrektorkę od marketingu itd.

– Rycerz wyciągnął z pochwy miotłę – śmieje się krakowski znajomy.

Obejmując szefostwo anteny kulturalnej, Matyszkowicz udzielił mnóstwa wywiadów. Wypełnił także ankietę „Historia po mojemu” w portalu Histmag.org. W jakiej epoce i miejscu chciałby żyć? W średniowieczu, w Paryżu, jako bakałarz na uniwersytecie. Z czego jest dumny? Z papieża Polaka, Jana III Sobieskiego i Fryderyka Chopina. Mistrzem opowiadania o historii jest... Święty Jan Ewangelista. Ulubiony pisarz? Ernst Jünger. Jakimi postaciami historycznymi najbardziej gardzi? Marszałkiem [Adamem] Ponińskim. Życiowe motto? Jak pisał św. Augustyn: „Kochaj i rób, co chcesz”.

Z wywiadu dla „Rzeczpospolitej”:

• „[TVP Kultura] pokaże się widzom jako stacja skierowana do tych, którzy chodzą własnymi ścieżkami i jak koty nie słuchają rozkazów”. • „Jestem filozofem, wiem, że wszyscy kształtujemy się w dialogu. Im częściej jesteśmy zmuszeni do konfrontacji, tym dojrzała jest nasza postawa [dlatego] nie będę się pozbywał ludzi o odmiennych poglądach. Uważam, że dobrze mieć wokół rozmaite – także sprzeczne – racje”.

Z rozmowy z Wirtualną Polską: • „Jestem przedstawicielem pokolenia, które nie godzi się na formułę mediów tożsamościowych skierowanych do osób o sformatowanych poglądach”. • „Na pewno nie chcę promować kultury, która nie denerwuje”.

Dziennikarz Wirtualnej pyta: „Czyli będzie to najbardziej hipsterska telewizja w Polsce?”. Mateusz odpowiada: „Hipsterstwo jest już démodé. Wkrótce będę wyrzucał za drzwi każdego, kto użyje przy mnie słowa »hipster«”.

Miotły Matyszkowicz już wtedy nie pożałował. Z TVP Kultura musieli się pożegnać Katarzyna Malinowska (przez dekadę szefowa redakcji filmowej), Wojciech Diduszko, Agata Makohin, Tomasz Kolankiewicz, Robert Kamyk... Ostatecznie redakcję filmową rozwiązano po tym, gdy na antenie poszedł (nie jest całkiem jasne: przez niedopatrzenie czy w celu prezentacji „rozmaitych, także sprzecznych, racji”) film Martina Scorsese „Ostatnie kuszenie Chrystusa”. Leszek Sosnowski, założyciel oficyny Biały Kruk (późniejszego wydawcy podręcznika „HiT”) i zarazem redaktor ultrakonserwatywnego miesięcznika „Wiara, Patriotyzm, Sztuka”, ogłosił wówczas, że w redakcji kulturalnej TVP „realizuje się program ateizacji polskiego społeczeństwa, w szczególności zaś zohydzenia życia i postaci Zbawiciela”. I zapytał: „czego można spodziewać się po młodym, który studiował w cieniu niejakiego prof. Jana Hartmana?”.

Matyszkowicz, który dostał po emisji filmu listy z protestami (w jednym ktoś zapowiadał, że go „ukrzyżują”), położył uszy po sobie. Jak pisała dziennikarka kulturalna „Wyborczej” Anna S. Dębowska: „poprosił o wykasowanie i niewkładanie do ramówki niewygodnych tytułów”. I jeszcze zwolnił sekretarza redakcji Marzenę Adamczyk, do czego przyczyniła się powtórkowa emisja innego niewygodnego filmu – dokumentu „Ukrzyżowanie. Święty skandal” Olivie-

ra Besse’a, gdzie francuski reżyser pokazał przykłady współczesnej artystycznej dekonstrukcji Męki Pańskiej.

– Gdybym zobaczył ten film przed emisją, nie wpuściłbym go na wizję – przyznał dyrektor anteny w rozmowie z „Wyborczą”. Z ramówki TVP Kultura wyleciały: „Ida” Pawła Pawlikowskiego (ostatecznie pokazana w późniejszym terminie), „W imię...” Małgorzaty Szumowskiej i „Pokłosie” Władysława Pasikowskiego. Pojawili się natomiast specjaliści od religii i historii myśli religijnej: Piotr Kijewski, wcześniej wydawca TV Republika, i Michalina Wal z „Fron dy Lux”. Tak się skończyło „chodzenie własnymi ścieżkami” i „kształtowanie w dialogu”.

– Mogło być jednak gorzej – ocenił w „Press” Wojciech Krzyżaniak (wTelewizji.pl). – TVP Kultura pod wodzą Matyszkowicza nie zmieniła się zbyt dramatycznie.

W czerwcu 2017 Mateusz został dyrektorem TVP 1 i już półtora miesiąca później przywrócił na antenę Teatr Telewizji. Pierwszym spektaklem był „Złodziej w sutannie” – opowieść o autentycznej i brawurowej akcji uwolnienia z PRL-owskiego „aresztu” kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w 1972 roku.

– Mocodawcy na pewno byli zadowoleni – śmieje się krakowski kolega.

W lipcu dziennikarz „Gazety Prawnej” zapytał Matyszkowicza, jak – będąc intelektualistą – zapatruje się na toporną propagandę „Wiadomości” TVP.

– Odpowiedzialność za ten program ponosi dyrektor Telewizyjnej Agencji Informacyjnej – odparł szef Jedynki. – Ja o godzinie 19.30 po prostu otwieram antenę dla TAI.

z Woronicza mówi, że władza odmieniła nie tylko jego ubiór.

– Zrobił się arogancki – wyznał „Pres-sowi” (anonimowo) jeden z nich. – Uwierzył w swoją boskość. Raz na dekadę pojawia się w telewizji ktoś, kto ma szczególne poczucie misji. Wierzy w mandat do dokonania rewolucji lub kontrrewolucji. Tacy byli „pampersi” w latach 90. [chodzi m.in. o Jana Pospieszalskiego, Piotra Semkę, Grzegorza Górnego z „Fron dy”]. Mateusz uwierzył, że jest kolejnym wcieleniem tego typu ludzi. Poczucie misji przekłada się u niego na autokratyczny styl. Odpieprzył mu.

Poza tym sporo przytł.

Stał się pisowcem i karierowiczem. Niebezpiecznym, bo bardziej inteligentnym niż reszta – ocenia prof. Hart-



• Rok 2013, „hipster prawica” na warszawskim pl. Zbawiciela, od lewej: Wojciech Mucha, Mateusz Matyszkowicz, Samuel Pereira

FOT. AGATA GRZYBOWSKA/
AGENCJA
WYBORCZA.PL

Były hipster dostał gabinet z dwiema sekretarkami i samochód z kierowcą. Od tego momentu pojawia się w pracy wyłącznie pod krawatem. „Zrobił się arogancki. Uwierzył w swoją boskość. Poczucie misji przekłada się u niego na autokratyczny styl. Odpieprzył mu”

Rozczarowywał brak szerokiej dyskusji na antenie, ale kanał mógł stać się tubą propagandową PiS, a jednak się nią nie stał.

Juliusz Braun, były poseł Unii Wolności, do lipca członek Rady Mediów Narodowych: – Matyszkowicz chciał przyciągnąć środowiska intelektualne, z którymi PiS ma problem. Robić telewizję bardziej pravicową niż wcześniej, ale też otwartą na nowoczesne nurty. Szczególnego efektu to nie przyniosło. Widownia nie urosła. Choć i tak bardziej się wypadało pokazać w TVP Kultura niż w pozostałych kanałach Telewizji Polskiej.

Po namyśle dodał: – To, co robią „Wiadomości”, odzwierciedla uczucia bardzo wielu Polaków.

W listopadzie wicepremier i minister kultury Piotr Gliński powołał Mateusza do głównej rady mającego realny wpływ na krajowe kino Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. W lutym 2018 filozof został przewodniczącym zespołu ds. dobrego imienia i historii Polski przy prezesie Kurskim. W kwietniu był już wśród członków jury Nagrody Literackiej Biblioteki Narodowej (im. Marka Nowakowskiego). W „odzy-skanej” radiowej Trójce uruchomił audycję „Chuligan literacki”, kontynuację „Literatury na trzeźwo” z TV Republika. W marcu 2019 został wicedyrektorem ds. repertuaru biura programowego telewizji, po czym po raz pierwszy przyszedł do pracy w garniturze.

– Wskoczył na falę, już wtedy ktoś mu obiecał wejście do zarządu – mówi krakowski kolega. – Ostatecznie jednak wzięli Piotra Palkę. Mateusz musiał czekać jeszcze cztery tygodnie.

Palka nie dogadał się z Kurskim, zwolnił hotel po 15 dniach. 25 kwietnia 2019 Rada Mediów Narodowych pod wodzą Krzysztofa Czabańskiego, publicysty „Rzeczpospolitej”, „Niedzieli” i „Sieci”, powołała do zarządu Matyszkowicza. Były hipster dostał gabinet z dwiema sekretarkami i samochód z kierowcą. Od tego momentu pojawia się w pracy wyłącznie pod krawatem. Część współpracowników

man. Rozmawiamy kilka dni po nominacji Matyszkowicza na szefa TVP. – Sądzę, że jego misją będzie uczynić telewizję publiczną choć trochę mniej obciachową. Kaczyński ma chyba świadomość, że Kurski zrobił z tej anteny coś groteskowego. Mateusz popychadłem na pewno nie będzie – to nie ta osobowość. Sądzę, że pod nim telewizja spuści trochę z tego ostrego pisowskiego tonu. Sam do mnie zadzwonił, już po nominacji; powiedział, że będzie otwierał ekran również dla ludzi z lewej.

W swym stałym felietonie na łamach „Polityki” profesor złożył byłemu studentowi coś w rodzaju życzeń:

„To Twoje pięć minut. Rób to, co nakazuje przyzwoitość, nawet jeśli miałbyś za miesiąc wylecieć z roboty. Może zresztą przyszedł już czas, by z takich posad jak prezesura TVP czym prędzej się ewakuować. Inne wszak zaczynają wiać wiatry”. ●

* Biuro europosta Legutki grzecznie odmówiło moim prośbom o kontakt z profesorem

Born in the USA

Czy bieda ma kolor

Bogaci biali i bogaci czarni mieszkają w tych samych dzielnicach, posyłają dzieci do tych samych szkół, grają w golfa na tych samych polach. Pęknięcie Ameryki bierze się z mamony, nie z rasy.

Maciej Jarkowiec



Pionierskim dokumentem, w którym pojawia się kwestia reparacji za niewolnictwo w Stanach Zjednoczonych, jest testament George’a Washingtona. W dniu śmierci w 1799 r. pierwszy prezydent był właścicielem 317 zniewolonych ludzi. Za życia nie zdołał się na to, aby ich uwolnić. Dopiero w testamencie zapisał im wolność. Niektórym – starszym i schorowanym – polecił przyznać dożywotnie pensje.

Pomysł odszkodowań dla byłych niewolników pojawiały się na zwycięskiej Północy po wojnie domowej. Czarnym przyznawano też grunty rolne. Szybko zostały jednak rozkradzione przez nowystary rasistowski reżim Południa, a sen o wolności zmienił się w stulecie przemocy i segregacji.

Debate o reparacjach umilkła na dekady. Została ożywiona po zwycięstwach emancypacyjnych z lat 60. Władza jednak nie traktowała takich żądań serio. Nkechi Taifa, prawniczka, która w latach 80. stworzyła koalicję organizacji do walki o reparacje, wspomina, że w gabinetach Kapitolu śmiano się z niej albo wywracano oczami. Nie odpuszczała – w 1989 r. powstał projekt ustawy o stworzeniu komisji, która zajęłaby się sprawą. Do dziś nie został poddany pod głosowanie.

Kilkanaście lat temu w skeczach słynnego czarnego komika Dave’a Chapelle’a Afroamerykanie za dolary z reparacji doprowadzali do niedoborów w sklepach z alkoholem, skupowali złoto (na zęby), diamenty (na łańcuchy) i windowali ceny kurczaka.

Dziś reparacje już nikogo nie bawią. W 2020 r. były jednym z ważniejszych tematów w prawyborczej kampanii Demokratów. Joe Biden zapowiadał, że nie oglądając się na Kongres, sam powoła komisję. Na razie tego nie zrobił, ale debata wrze.

Przeciwnicy twierdzą, że żadna komisja nie zdoła przeliczyć krzywd na dolary i sprawiedliwie rozdzielić pieniędzy między rodziny potomków niewolników. Ponadto: dlaczego dzisiejsze społeczeństwo ma płacić za zbrodnie sprzed stuleci? Przecież Ameryka to w większości potomkowie imigrantów, którzy do-

z 2014 r., którym ponownie rozgrzał debatę o reparacjach, pokazał strukturę czarnej biedy. Bierze się ona nie tylko ze stuleci zniewolenia i przemocy, ale także z dekad systemowego traktowania czarnych jako ludzi drugiej kategorii. Mimo formalnej wolności i emancypacji w praktyce wykluczeni byli z dostępu do kredytów mieszkaniowych czy rolnych, do przyzwoitej edukacji, do ochrony prawnej.

Coates mówi więc to, co Obama, ale dochodzi do przeciwnego wniosku: reparacje są konieczne. Żeby je wyliczyć, muszą powstać instytucje, które podsumują krzywdy. Dzięki instytucjom kraj przysięga naukę, przed którą dziś się wzbrania. Dopiero wtedy będzie gotowy podjąć wysiłek, aby rozwiązać systemowe problemy, które są powodem gorszej pozycji czarnych w społeczeństwie.

Pieniądze nie są więc najważniejsze. Chodzi o nową narodową rozmowę. „Może w jej trakcie odkryjemy, że państwo ni-

Adolph Reed, profesor emeritus z Uniwersytetu Pensylwanii, który na własnej skórze poznał okrucieństwo ery segregacji na Południu, uważa, że segregacja trwa, ale jej podłoże jest klasowe, nie rasowe. Bogaci biali i bogaci czarni mieszkają w tych samych dzielnicach, posyłają dzieci do tych samych szkół, grają w golfa na tych samych polach i jadają w tych samych restauracjach. Biedni nie mają tam wstępu. Pęknięcie Ameryki bierze się z mamony, nie z rasy. Rasa jest oszustwem, reparacje tylko utwierdzą w nim społeczeństwo.

Reed ukuł termin „redukcjonizmu rasowego”, który oznacza stawianie czynnika rasowego jako najważniejszego w analizie problemów społecznych. Uważa, że nic bardziej nie szkodzi dziś czarnym.

Owszem, bieda czarnych jest inna niż białych. Reed przypomina jednak, że w pierwszych latach po wojnie domowej na Południu najbiedniejsi biali i dopiero co wyzwoleni czarni tworzyli koalicje wyborcze, które usuwały z urzędów bogaczy, właścicieli ziemskich. Elita poczuła się zagrożona. Ideologia segregacji wykwitła z jej strachu. Biali z tak zwanych dolów społecznych i czarni zostali rozdzieleni: jednym powiedziano, że są lepsi, drugich wieszano na drzewach. Żeby zjednoczyć kraj, który wbrew swej nazwie nigdy w swych dziejach nie był zjednoczony, trzeba najpierw zreperować tamtą przyjaźń.

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka”,
Maciej Jarkowiec, Agora, 2021



Przeciwnicy reparacji: Dlaczego dzisiejsze społeczeństwo ma płacić za zbrodnie sprzed stuleci? Przecież Ameryka to w większości potomkowie imigrantów, którzy docierali tutaj już po zniesieniu niewolnictwa

cierali tutaj już po zniesieniu niewolnictwa. Wreszcie: co stanie się po wypłacie reparacji? Czy to będzie oznaczało koniec roszczeń, ostateczne zadośćuczynienie, nieodwołalne pojednanie? Ten ostatni argument – lecz z odwróconym wektorem – podnosił Obama. Reparacje – uważał – pozwolą białej większości stwierdzić, że wszystkie sprawy zostały załatwione. Zwolnią ją z odpowiedzialności za biedę i nierówności.

„Czarna bieda jest czymś innym niż biała” – zauważył prezydent Lyndon Johnson. Dla zwolenników reparacji ten fakt – który ponad pół wieku po Johnsonie pozostaje w mocy – jest jednym z argumentów za ich przyznaniem. Pisarz Ta-Nehisi Coates w głośnym esej dla „The Atlantic”

gdy nie będzie w stanie zadośćuczynić Afroamerykanom. Ale przy okazji czegoś się o sobie dowiemy. To nas chyba prze-raża”.

Argumentacja Coatesa prześlepia kluczową przeszkodę: kraj jest tak podzielony, że nie ma zdolności przyswojenia jednej wspólnej lekcji. W wymarzonej przez pisarza narodowej rozmowie jedna strona usłyszałaby coś całkiem odmiennego niż druga. Kwestia reparacji jeszcze bardziej polaryzuje skłócone społeczeństwo. Widać to doskonale w sondażach: prawie 80 proc. czarnych chce reparacji, prawie 70 proc. białych się sprzeciwia. Reparacje, zgodnie z nazwą, mają naprawić położenie poszkodowanych. Czy można to osiągnąć, pogłębiając konflikt?



BILL GATES PRZEDSTAWIA PLAN, jak zapobiec pandemii w przyszłości

Jak uniknąć kolejnej pandemii, która zabije miliony ludzi i zniszczy światową gospodarkę? Czy możemy mieć nadzieję, że nam się to uda? Bill Gates wierzy, że odpowiedź brzmi "tak". W jasny i przekonujący sposób przedstawia, czego świat powinien się nauczyć dzięki pandemii COVID-19

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY

FOT. MICHAŁ RYNIĄK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Otwarcie przekopu na Mierzei Wiślanej

PŁYTKA KONIECZNOŚĆ
HISTORYCZNA

Poszukiwano
„odważnego kapitana”,
który jakimś cudem przedrze się
przez płyciznę przekopu.
Skapitulował nawet PiS

Ziemowit Szczerek

W dniu próbnego przepłynięcia przekopu na Mierzei Wiślanej (zwanego w okolicy po prostu przekopem albo – jak na wystawie zorganizowanej przez IPN w Elblągu – „historyczną koniecznością”) przez statek wielozadaniowy „Zodiak II” zebrał się całkiem pokaźny tłumek kibiców. Rejestracje zaparkowanych samochodów były z Pomorskiego, Warmińsko-Mazurskiego, ale i innych, dalszych części Polski: niby sezon już się kończy, ale jeszcze nad Bałtykiem i Zalewem Wiślanym jakieś wakacyjne niedobitki pozostają. No i zjeżdżają jeszcze autokary wożące seniorów na wczasy.

– Gorąca atmosfera na świecie jak przed wojną – rechocze pan Grzegorz, ciągnąc razem ze mną na punkt widokowy nad przekopem, przyjechał na śląskich rejestracjach autem z naklejką, że „Niemiec płakał, jak sprzedawał” – to żeśmy z małżonką liczyli, że wrzesień też będzie taki gorący. Piękny jak w trzydziestym dziewiątym. Bo w końcu do tego ma nawiązywać ta data otwarcia, nie? 17 września.

No tak, do tego. Dlatego otwarcie kanału ustalono na tę właśnie datę, mimo że historycznie konieczne przedsięwzięcie w ogóle nie jest skończone: przekop, owszem, przekopano, ale co z tego, jeśli ledwo się tam da nawrócić i popłynąć z powrotem, nie wspominając o popłynięciu dalej, do Elbląga. Bo taki był cel przekopania przekopu – ożywić handel, turystykę na Zalewie Wiślanym, a nie, żeby ten przekop wyłącznie wykopać. Bieda jednak w tym, że do owego 17 września 2022 nie udało się pogłębić dna Zalewu tak, by mogło nim przepłynąć cokolwiek o zanurzeniu większym nieco ponad półtora metra. A czekać dłużej z otwarciem nie można. Przecież wybory idą i diabli wiedzą,

co po nich będzie. I cóż: powstał problem, bo podczas otwarcia przekopu z Trójmiasta do Elbląga symbolicznie i triumfalnie miała dopłynąć barka pełna węgla. Ale nawet niewielka barka, taka na 400 ton, potrzebuje 1,9 metra głębokości. A dwa razy większa – już 2,5 metra.

Najpierw więc – ku rozbawieniu znacznej części śledzących wiadomości obywateli – zaczęto poszukiwać „odważnego kapitana”, który zmierzy się z nieubłaganą logiką matematycznych wyliczeń i jakimś cudem przedrze się przez płyciznę, lecz w obliczu smutnych faktów w końcu skapitulował nawet PiS, a ten przecież lubi pokazywać, że „co się nie da, jak się da”: prawo, jeśli przeszkadza, zawsze można jakoś obejść, a inne sprawy docisnąć łokciem. Ale tu się nie udało niczego docisnąć: nawet gdyby się jakiś wystarczająco szalony/odważny kapitan znalazł, to z wielkim prawdopodobieństwem osiadłby na mieliźnie i tyle by było z symbolicznego dostarczenia węgla w symbolicznej ilości podczas symbolicznego rejsu. Uznano więc, że statek wielozadaniowy „Zodiak II” przejdzie tylko przez sam przekop, po czym wróci do portu macierzystego. Bez węgla, choć nadal symbolicznie.

No, a teraz, podczas rejsu próbnego, pogoda się powoli zaczynała poprawiać i serca rosły. Nawet słońce wychodziło momentami zza chmur i, można i tak to ująć, grało refleksami na wodach przekopu, przez który powoli sunął („prześluzowywał się” – jak szeptali w napięciu zgromadzeni) słynny „Zodiak II”.

– Co to takie wąskie to koryto wodne – narzekała jakaś starsza pani, opierając się o barierkę. – Ja myślałam, że to będzie szerokie, a nie takie wąskie. Ten statek tędy nie przepłynie.

– To tylko wygląda na wąskie – odpowiedział towarzyszący jej starszy pan. – Jest wystarczające i obliczone. Jak nie przepłynie: przepłynie. Przepłynie i dalej popłynie.

– No właśnie nie popłynie – sprostował jego sąsiad filmujący przejście „Zodiaka” telefonem. – Właśnie się zastanawiam, czy

cofnie na silniku, czy będzie zakręcał na Zalewie.

– Co pan mówi, jak to dalej nie popłynie? Co pan, jakiś niechętny Polsce?

ŁOPATA KACZYŃSKIEGO

Cała ta inwestycja, w końcu wykonana (choć na razie jeszcze trochę sobie a muzom), od początku budziła skrajne emocje.

I to jeszcze przed 2018 rokiem, kiedy to w piasek Mierzei Wiślanej symboliczne łopaty wbili Jarosław Kaczyński razem z ministrem gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Markiem Gróbarczykiem i ówczesnym kandydatem PiS na prezydenta Elbląga Jerzym Wilkiem. I kiedy we trzech za instalowali tam symboliczny słupek geodezyjny, po czym elegancko, choć mało fachowo utrzymanymi łopatami ubili piasek wokół słupka. Łopaty te, notabene, nie były pierwszymi pisowskimi łopatami wbijanymi w piach Mierzei Wiślanej w intencji przekopu i „historycznej konieczności”: już w 2011 roku wbijali takową Anna Fotyga i poseł PiS Leonard Krasulski. A konieczność przekopania Mierzei, żeby uniezależnić się od należącego do Rosji przejścia wodnego Cieśniną Pilawską, zgłaszano właściwie co wybory, po czym o niej zapomniano.

Aż do tej pory. Przekop – cokolwiek by mówić – w końcu powstał, i to mimo gromkich protestów ekologów. Stowarzyszenie Eko-Unia, na przykład, złożyło już w 2019 roku skargę do Komisji Europejskiej na rozpoczęcie realizacji inwestycji, która nie posiada „wymaganych zgód środowiskowych”. Skargę motywowano pominięciem „znaczącego, negatywnego oddziaływania planowanej inwestycji na obszary Natura 2000 i Mierzeja Wiślana” i uzasadniano „negatywnymi opiniami ornitologów i biologów morskich mówiących o wpływie [przekopu] na ptaki oraz ssaki bałtyckie”. Ekologowie twierdzą, że budowa kanału na Mierzei zakłóci naturalną dynamikę nieodległego ujścia Wisły, która na Żuławach wije się

i kręci, uchodząc do Zatoki Gdańskiej, zmieniając co jakiś czas układ lokalnych wysp i mielizn, na których zimują morskie ptaki. Że ograniczy migrację zwierząt lądowych i przez zmętnienie wody w wyniku ciągłej konieczności pogłębiania toru wodnego zakłóci funkcjonowanie zbiorników wodnych, które ważne są dla rozrodu śledzi, sandaczy itd.

Są i męczennicy sprawy: na przykład krytyka przekopu przez Danutę Makowską, szefową Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Gdańsku, kosztowała ją utratę stanowiska. Zwolniono Makowską w try mig: już dwa tygodnie po tym, jak wydała negatywną opinię na temat przekopu, a w raporcie jej następcy, Radosława Iwińskiego, zastrzeżeń już nie było. Da się pokonać im-pozybilizm? Da się.

ESTOWIE WRACAJĄ

Część negatywnych skutków ekologicznych ma odwrócić sztuczna wyspa powstająca na Zalewie Wiślanym z gruntu wykopanego podczas powstawania przekopu: mają na niej osiedlać się ptaki, planuje się obsadzić ją roślinnością. Wyspa nosi – roboczą na razie – nazwę Wyspy Estyjskiej, na cześć Estów, jak w starożytnych i późniejszych źródłach nazywano bałtyckojęzycznych Prusów zamieszkujących te tereny, dopóki nie przejął ich zakon krzyżacki, który pogańskich Prusów wyciął, wygnał bądź zgermanizował. To w tych okolicach właśnie, nie daleko Elbląga, istniała we wczesnym średniowieczu osada handlowa, która musiała się współczesnym handlarzom i podróżnikom jawić końcem znanego Europy świata – Truso, otoczona przez mokradła, bory, trzęsawiska i niepewne wody, z której na zachód i północ slano niewolników, skóry i – last but not least – bursztyn. Bursztyn zresztą slano tędy również na południe, bursztynowym szlakiem: Wisłą mniej więcej do ujścia Brdy i miejsca, w którym Wisła skręca ostro na wschód, a następnie, przez Wielkopolskę, Dolny Śląsk i Kotlinę Kłodzką – na

południe Europy: przez Panonię do Wene-cji. Na wschód od Truso nie słano nic: tam ciągnęła się już tajemnicza Wielka Puszcza, przez późniejszych niemieckojęzycznych kolonistów zwana Grosse Wildnis, a za nią – niezbyt zbadane pruskie i słowiańskie dzie-dziny, o których opowiadano potworne baj-ki, jak ta, na przykład, o ludzie Neurów za-mieniającym się nocami w wilki.

W czasach świetności Truso można było w te okolice wpłynąć bezpośrednio z bałtyc-kiej Zatoki Gdańskiej, ale muł naniesiony przez Wisłę zamienił całą okolicę w grzęza-wisko, które coraz trudniej było pokonać, a i ujęcie rzeki przesunęło się coraz bar-dziej na zachód, w stronę Gdańska, pozo-stawiając Zalew Wiślany coraz słabiej po-łączony drogą wodną z głównymi nurtami i akwenami. Pod koniec średniowiecza natomiast powstała w północno-wschod-niej części Mierzei Wiślanej Cieśnina Piław-ska: stworzyły ją wyjątkowo silne bałtyc-kie sztormy, które przerwały w tym punk-cie wąski piaszkowy nasyp. Z biegiem cza-su umacniano też wyrwę i pogłębiano, i od tej pory do Zalewu okręty wpływały wła-snie tędy. Czy to do Elbląga (po rozbiorach Polski niemieckiego Elbingu), czy to do Kró-lewca (Königsbergu). Gdy jednak w wyniku II wojny światowej Königsberg stał się Kali-ningradem, Elbing – znów Elblągiem, a gra-nica polsko-radziecka, a później polsko-ro-syjska, wytyczona została pośrodku Zalewu Wiślanego – Cieśnina Piławska pozostała po stronie zarządzanej przez Moskwę, a nie Warszawę. I zrobił się kłopot, bo Rosjanie – gdy było to dla nich wygodne – od czasu do czasu robili polskim jednostkom proble-my. Cywilne jachty w czasach radzieckich nie pływały zupełnie (z wyjątkiem legendar-nego już pionierskiego rejsu jachtu „Misia II” w 1990 roku), później było raz lepiej – raz gorzej. Pojawiły się plany przekopu: odrzu-cone przez rząd PO, powróciły w czasach rządów PiS.

Aż w końcu zostały zrealizowane.

Z BOSMANA DRUGIEGO SORTU NIE ZROBIĄ

Nie wszyscy jednak uważają, że rzeczywi-tość na Zalewie jest tak piękna i jaśniejąca, jak malują ją rządzący.

Na samej prawie granicy rosyjskiej, na porcie w Nowej Pasłęce, siedzi, na przykład, bosman Ryszard Doda, człowiek o głosie hu-czącym, słownictwie zawieszonym, postawie znacznej i znaczeniu wokół całego Zalewu – sporym. Człowiek, który, gdy chce, może namieszać, władza czy nie władza, umiejący mobilizować ludzi wokół podejmowanych przez siebie spraw. Ryszard Doda to osoba, cóż, ciekawa: były żołnierz polskich sił spe-cjalnych, weteran Legii Cudzoziemskiej wal-czący w Afryce, biznesmen i lokalny dzia-lacz. No i żeglarz na Zalewie, zwycięzca re-gat i typ, który nie da sobie oczu mydlić. Czy popiera pomysł przekopu? Ogólnie popiera. Ale rzecz polega na tym, mówi, że wszystko się tu robi na rympał, nie po kolei i ogólnie bez sensu. Od ogółu – samego bezsensowne-go otwarcia przekopu bez toru wodnego, do szczegółu – bajzlu w poszczególnych por-tach na Zalewie i braku społecznych konsul-tacji podejmowanych przez władze przed-sięwzięć.

Bosman Ryszard Doda chciał najpierw popłynąć, razem z innymi żeglarzami i ry-bakami, na otwarcie przekopu oficjalnie: nie po to, żeby protestować przeciwko PiS-owi, choć za PiS-em nie jest, tylko po to, że-by się spotkać i pogadać, żeby władza wie-działa, jakie są prawdziwe problemy ludzi tu, nad Zalewem. Jeśliby go dopuścili do ofi-cjeli – mówi – dobrze. Jeśli nie – też dobrze, uczciliby otwarcie przekopu sami dla siebie, i z powrotem, tyle!

– Ale – mówi Doda – dostaliśmy odpo-wiedź odmowną, że nas sobie na tym otwar-ciu nie życzą. No to jak to jest – przekop jest dla ludzi czy dla władzy? Ja się mam czuć we własnym kraju, kurwa, jak drugi sort?

Umawiamy się w porcie przy samej ro-syjskiej granicy, w Nowej Pasłęce. Doda wy-

chodzi z samochodu na nabrzeżu i kończy rozmowę przez telefon.

– Ja się nie będę pierdolił! – wrzeszczy. – Popłynę! Ty przy każdej władzy się do-brze umiesz ustawić, jak nie ta, to tamta, a ja mam dość! Popłynę, kurwa, na to otwarcie, do samego, kurwa, Błaszczaka się dobiję!

– Kto to? – zapytałem. – Jakiś lokalny działacz polityczny?

– Biznesmen – ucina Doda. – Nie bę-dę mówił kto, bo ja tu mieszkam, ale jak się ma tyle co on, to już wystarczy tylko z poli-tykami dobrze żyć, a nie wchodzić w poli-tykę. I ten dobrze żyje, a ja, kurwa, walczę od lat o pogłębienie u mnie wejścia do por-tu, bo nie tylko żeglarze, ale i rybacy muszą się przez płyciznę przedzierać, dobrze mó-wię, Janek?

Rybak Janek, który stoi obok, na nabrze-żu, kiwa głową.

– Rybacy – mówi Doda – muszą przela-dowywać ulów z kutrów na łodzie jeszcze przed wejściem do portu, bo kutry do por-tu nie mają jak wejść! Pieniądze to są, ale nie na to, co potrzeba, bo władza ludzi nie słu-cha! I dlatego my – mówi – chcieliśmy na to otwarcie podpłynąć, może nawet z banerem „dziękujemy”, he, he, byłoby i święto naro-dowe, i wszystko okej, i szansa, żeby się do-wiedzieli, co nas boli. No bo są problemy! Tu trzeba jak najszybciej pogłębić! Tutaj, kur-wa, zaraz jest obok granica i posterunek graniczny, od tej boi 600 metrów. Pogranicz-nicy mają trzy szybkie motorówki, w razie gdyby ktoś granicę przekroczył, a nie ma-ją jak pływać, bo mielizny. Albo most zwo-dzony, w wyniku naszych starań, postawi-li w końcu nad kanałem, ale żeby ktoś wpłynął do nas do portu – most trzeba podnieść, musi więc przyjechać operator mostu, to trwa. Łódki muszą czekać. A tu nie ma gdzie przycumować. I cały Zalew jest pełen takich rzeczy. W Tolkmicku zrobiono nowy port, ale jakiś genialny inżynier tak zaprojekto-wał wejście, że przy wiatrach północnych fa-la się rozbija jak kaskada: rozwała pomosty, łodzie. Wszystko dlatego, że wejście jest lej-kowate, prosiliśmy, żeby zwęzić – kamień w wodę. W Urzędzie Morskim ludzie pra-

skim. Dziś morskim portem nie jest: Pol-ska, jak wiadomo, tradycje żeglarskie ma, ale nie żeby się tak od razu na morze całko-wicie otwierać. W czasie wojny Braniewo było zbombardowane przez armię radziec-ką. To stąd właśnie przez lód zamarznięte-go Zalewu Wiślanego setki tysięcy niemiec-kich cywili z Prus Wschodnich, pod radziec-kim bombardowaniem, próbowało przedo-stać się na Mierzęę Wiślaną, a stamtąd – do Gdańska bądź Piławy. Pod bombami albo ciężarem ludzi wiozących furami swój do-bytek pękał lód – i płycizny Zalewu, na któ-re narzeka dziś bosman – ataman Doda, peł-ne są trupów uciekinierów i resztek ich do-bytku. Samo Braniewo też było zniszczone: starego miasta nie odbudowało, tu i ówdzie pozostało raptem parę kamienic. Dziś zna-ne jest z tego, że do lokalnych supermarke-tów przyjeżdżali na zakupy Rosjanie z obwo-du kaliningradzkiego, co zostało uwiecznio-ne zresztą w piosence kaliningradzkiego ze-społu Parowoz, której refren brzmi „Zdrow-stwuj, Lidl, zdrowstwuj, Biedronka”. Lokalne sklepy miały obroty jak nigdzie indziej. Przy-jeżdżali Rosjanie, ale już nie przyjeżdżają: wojna i zamknięta granica. Na parkingach przed Biedronką ani jednego samochodu na rosyjskich blachach, a dawniej aż się roilo od cyferek 39 na rejestracjach (numery obwo-du kaliningradzkiego) i małych rosyjskich flag pod nimi. Pod Lidlem – tylko dwa rosyj-skie auta. Na jednego z Rosjan trafiam, gdy wyladowuję zawartość wózka do bagażnika. Zagaduję, jak mu się udało wyjechać. „Pra-cuję tu” – mówi. Drugi jest w złym humorze. Na wszelki wypadek udaje Niemca i przy au-tomatycznej kasie pyta z ciężkim rosyjskim akcentem, jak wybrać język niemiecki (a do-stępne są polski, niemiecki, angielski i ukra-iński). Gadać nie chce. Pod przejściem granicznym w Grzechotkach pusto jak nigdy, a jeszcze kilka lat temu stało tu, jak śpiewał Parowoz – „mnóstwo aut na granicy”, które po kilka godzin czekały na odprawę.

Elbląg, z jego zniszczoną podczas woj-ny właściwie do poziomu gruntu i odbudo-waną zupełnie na nowo starówką („nów-ką – Starówką”, jak można przeczytać na re-

– Co to takie wąskie to koryto wodne – narzekała jakaś starsza pani, opierając się o barierkę.

– Ja myślałam, że to będzie szerokie, a nie takie wąskie.

Ten statek tędy nie przeplynie

cują zza biurka, nie robią wywiadu środo-wiskowego, nie interesują się. Z kolei zrobili nam tu nabrzeże – bez światła. Kostka bru-kowa jest elegancka, ale zaraz trzeba ją bę-dzie zrywać, żeby kable położyć elektrycz-ne, bo przecież po ciemku tu się zabić moż-na. I takich rzeczy jest mnóstwo. I co, niech przypłyną przez ten przekop żeglarze, a tu nic nieprzygotowane.

– I chcieliście się poskarżyć władzy, tylko wam odmówiono?

– Jak jakimś półludziom! Ale my się po-każemy. Ja mam tutaj na Zalewie poważa-nie – mówi Ryszard Doda – co chwila ktoś dzwoni, że płynie ze mną. I popłynął! Popłyniemy w kilkadziesiąt jednostek, zobaczą nas, choć nie chcą.

DO SWIDANIA, LIDL

Braniewo, leżące parę kilometrów od Pasłę-ki, w niemieckich czasach było portem mor-

ne kamienice, jak w podręczniku do archi-tektonicznych perwersji można zobaczyć, jak zmieniano się wyobrażanie o zabudo-wie hanzeatyckiego miasta w latach 80., 90. i na początku XXI wieku. I już samo to, trze-ba przyznać, jest w Elblągu fascynujące. Przy kamienicach – kebaby, bary sushi, tu i tam – hotel. W miejsce dawnego rosyjskiego sły-chać ukraiński (albo rosyjski z ukraińskim akcentem). Przy nabrzeżu wystawa IPN o „historycznej konieczności” przekopu. Ale elblążan przekonywać do przekopu nie trze-ba: tu mało kto zdaje się mieć wątpliwości, że w długim terminie Elbląg – jako miasto – może na nim tylko zyskać. Żeby tylko tor wodny wytyczyli, bo teraz, z tym otwarciem, to wiadomo: falstart. No ale nowe możliwo-ści to zawsze nowe możliwości. A czy inwe-stycja, tak czysto biznesowo, się zwróci? To inna sprawa.

– A co oni tu będą tymi barkami wozić? – Pyta jakiś dżentelmen spotkany pomię-dzy ipeenowskimi tablicami. – Meble, co się tu produkuje? To i tak taniej na ciężarówkę i w godzinę autostradą do Gdańska, niż ład-ować po kilka razy z jednego statku na dru-gi.

Również ci eksperci, którzy sceptycznie nastawieni są do pomysłu przekopu, zwraca-ją uwagę, że w Polsce nie ma wystarczają-cej ilości odpowiednich statków, które mo-głyby pływać do Elbląga. A pieniądze, które wydano na przekop, mają się, według nich, nie zwrócić jeszcze bardzo długo. Ekolodzy alarmują o szkodach, prawnicy – o tym, że cały właściwie proces wykonywania prze-kopu dokonał się drogą faktów dokonanych: w chwili, gdy łagodnie uśmiecnięty Ka-czyński wbijał w piasek Mierzei słynną sym-boliczną pierwszą łopatę, nie było jeszcze wcale stosownych zezwoleń na budowę.

RUSKICH NIE WIDAĆ

Rząd, z kolei, kontratakuje: rzecznik praso-wy ministra koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn na rządowych stronach in-formuje o rosyjskiej kampanii propagando-wej i dezinformacyjnej wymierzonej w prze-kop, która poruszać ma takie właśnie tema-ty, jak „katastrofa ekologiczna”, „brak po-trzeby takiej inwestycji w Polsce” czy jej „zbyt duży koszt”.

Rosja w temacie przekopu powraca co chwila. PiS twierdzi, że dzięki nowemu przejściu wodnemu Moskwa straci „ele-ment nacisku na Polskę”, jakim była ko-nieczność przepływania przez należącą do niej Cieśninę Piławską. Przeciwnicy prze-kopu – że przekop jest i tak za wąski, żeby z rosyjskim przejściem konkurować, a po-za tym i tak nie ma tutaj takiego przemy-słu ani biznesu, by był potrzebny. Zwolenni-cy twierdzą, że rzeczonego biznesu i prze-mysłu nie ma właśnie dlatego, że do tej po-ry nie było możliwości szybkiego wyjścia na Zatokę Gdańską, a liczyć na bezproblemową współpracę z Rosją było zawsze trudno. I że rolę państwa jest te możliwości dla bizne-su i przemysłu tworzyć. Na Mierzei Wiśla-nej – w Krynicy Morskiej – obawiano się, że przekop odetnie miasto od lądu i że mieszk-ańcy Krynicy, jak się tu czasem ujmuje, „zostaną na mierzei sami z Rosją”. Raczej tak źle jednak nie powinno być: nad słuza-mi przerzucono dwa zwodzone mosty: przy sprawnej administracji będzie można kie-rować ruchem tak, że zawsze będzie moż-na którymś przejechać. Zresztą Rosja jest tu straszakiem, ale i perwersyjną atrakcją. Wy-starczy wybrać się do przygranicznych la-sów: kręci się po nich sporo turystów z nie-co tajemniczymi i zaafelowanymi minami, pytających jeden drugiego: panie, do tej gra-nicy to tą ścieżką? Czy jak? Wojsko stoi? Da się dojść? A Ruskich widać?

– Nie widać Ruskich – opowiadał mi za-smucony turysta z Oświęcimia, który w tym celu jechał 15 kilometrów pod samą granicę ścieżką rowerową. – Poruszał się niby czło-wiek, zmęczył porządnie, to dla zdrowia do-bre, ale trochę jakby jednak bez sensu. Jutro jadę w drugą stronę, na ten przekop! Choć słyszałem, że jakiś wąski. ●

• **Przed bazyliką Świętego Patryka aktywiści pro-choice z grupy Nowy Jork na rzecz Praw Aborcyjnych skonfrontowali się z członkami grupy Świadek Życia, którzy regularnie nękają pacjentki pobliskiej Planned Parenthood. Nowy Jork, 7 maja 2022. FOT. EAST NEWS**

Ozy naprawdę uważacie, że kobieta, która rozmyślnie zabija własne dziecko aborcją, nigdy nie jest winna przed Bogiem i nigdy nie powinna ponieść żadnych prawnych konsekwencji?

To pytanie padło w czerwcu 2022 roku na posiedzeniu komitetu ds. etyki i wolności religijnej Southern Baptist Convention (SBC, Południowej Konwencji Baptystycznej), drugiego największego chrześcijańskiego wyznania w USA. Zadał je, czytając z telefonu, brunet w turkusowej koszulce polo: Brian Gunter, pastor z Livingston w Luizjanie.

Gunter należy do tzw. abolicjonistów, coraz głośniejszej grupy radykalnych przeciwników przerwania ciąży. Ich celem jest całkowity zakaz aborcji bez żadnych wyjątków, nawet zagrożenia życia ciężarnej, połączony z karaniem kobiet – z karą śmierci włącznie.

Pastor Tom Ascol, założyciel Founders Ministries, odłamu południowych baptystów dążącego do powrotu do tzw. korzeni („naszym głównym problemem jest utrata lęku przed Bogiem”). Uważa, że kobiety przerywające ciążę są jak osoby wynajmujące płatnego zabójcę i powinny odpowiadać jak za współudział w morderstwie.

T. Russell Hunter, współzałożyciel Free the States Action Fund i Abolish Human Abortion, autor antyaborcyjnych grafik. Krytykuje amerykańskie Kościoły za apatię i bycie „bezpiecznymi miejscami” dla aborcji.

James Silberman, szef komunikacji organizacji Free the States Action Fund. Zwalcza inkrementalizm – stopniowe działanie – ruchu antyaborcyjnego. „Wezwanie do pokuty ZAWSZE dotyczy natychmiastowej pokuty. Prorocy nigdy nie wzywali do niesprawiedliwych i bluźnierczych reform, tylko nieśli wysoko bezkompromisowy sztandar nakazany im przez Boga”.

Bradley Pierce, prawnik konstytucyjny, dyrektor fundacji Abolish Abortion, ojciec dziesięcorga dzieci. Przekonuje, że skoro już mamy prawa, które zabraniają zabójstwa, trzeba po prostu usunąć z nich „aborcyjny wyjątek”.

Pastor Jeff Durbin, założyciel End Abortion Now. 44 lata, broda jak lopata, wytatuowane ręce. Ojciec pięciorga, dziadek czwórki („polecam wczesne małżeństwo”) i posiadacz pięciu czarnych pasów. Zanim zajął się ratowaniem embrionów, był kaskaderem, m.in. w „Wojowniczych Żółwiach Ninja” na MTV. Zwalnianie kobiet z odpowiedzialności za przerywanie ciąży, uważa, „to dosłownie herezja”, sprzeczna z biblijną ortodoksją i historią chrześcijaństwa.



WIELKI POWRÓT MŁOTA

Wszyscy są biali, mają od 27 do 65 lat i mieszkają w tzw. Pasie Biblijnym. Czytają „Opowieść podręcznej” Margaret Atwood nie jako ostrzeżenie, ale inspirację

Katarzyna Wężyk

Wszyscy są biali, mają od 27 do 65 lat i mieszkają w tzw. Pasie Biblijnym. Swoje poglądy głoszą z ambon, w sążnistych artykułach na stronach swoich organizacji i w mediach społecznościowych. Można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że czytają „Opowieść podręcznej” Margaret Atwood nie jako ostrzeżenie, ale inspirację. I zaczynają być problemem także dla antyaborcyjnego mainstreamu, bo idą pod prąd dotychczasowej ewolucji ruchu anti-choice.

Powstały na przełomie lat 70. i 80. amerykański ruch antyaborcyjny początkowo był negatywnym feministycznym: przeważająco męski, otwarcie religijny i niekryjący patriarchalnych tęsknot. Emancypację kobiet, prawa mniejszości, sekularyzację i aborcję uważał za egzystencjalne zagrożenie dla Ameryki. Członkowie Operation Rescue – jej hasło brzmiało: „jeśli wierzysz, że aborcja jest morderstwem, działaj, jakby była morderstwem” – blokowali placówki, wyzywali lekarzy,

próbowali odciągać kobiety, które przyszły na zabieg. Najbardziej radykalne odłamy ruchu podkładały bomby w klinikach i zabijały lekarzy – George Tiller został zastrzelony przed kościołem, Barnett Slepian we własnym domu.

Ekstremizm odstraszał jednak umiarkowanych, a liczba aborcji bynajmniej nie malała – w 1990 roku osiągnęła rekordowe 1,6 miliona – dlatego w kolejnych dekadach ruch anti-choice przeszedł radykalny lifting. Z pierwszych szeregów zniknęli biali mężczyźni w średnim wieku, biblijne cytaty i jawny szowinizm. Ich miejsce zajęły działaczki: te z odchowaną gromadką dzieci, przekonujące, że można mieć wszystko – rodzinę, karierę i misję – wystarczy tylko trochę się postarać, i te młodsze, tzw. feministki pro-life, które konserwatywny program ubierają w progresywny język praw człowieka. Religię w ich retoryce zastąpiła nauka, duszę – DNA, a slut-shaming i straszenie piekłem – przekonywanie, że kobieta jest drugą ofiarą „przemysłu

aborcyjnego”. Postawili też na daleko posunięty pragmatyzm: skoro federalnego prawa do aborcji bronili do czerwca 2022 wyrok w sprawie Roe vs. Wade, zajęli się ograniczaniem dostępu do zabiegów w republikańskich stanach. Taktyką salami: przez uchwalanie praw, które utrudniały bądź wręcz uniemożliwiały, zwłaszcza osobom z grup ubogich i marginalizowanych, przerwanie ciąży. Każda nowa przeszkoda – zmniejszanie liczby klinik, okresy oczekiwania między badaniem a zabiegiem, konieczność płacenia za aborcję z własnej kieszeni, skracanie czasu, w którym aborcja jest legalna – sprawiała, że coraz więcej kobiet zostało zmuszonych do donoszenia niechcianej ciąży. I wreszcie, prawie pół wieku po legalizującym aborcję wyroku w sprawie Roe vs. Wade, ich strategia przyniosła sukces: w czerwcu zdominowany przez konserwatystów Sąd Najwyższy przywrócił stan prawny z 1973 roku, czyli oddał decydowanie o legalności aborcji na szczebel stanowy.

Aktywiści anti-choice nie zdążyli nawet jednak dopić szampiana, gdy zostali zaatakowani z prawej strony. Dla radykałów wyrok w sprawie Dobbs vs. Jackson Women’s Health Organization jest boiem... pro-choice – przepraszam, „kolejnym przejawem tyranii i niegodziwości” – bo nie eliminuje aborcji natychmiast i całkowicie. A mainstream grzeszy, godząc się na taki kompromis.

Według organizacji Free the States aborcyjny abolicjonizm – „potrzeba reformacji metod chrześcijańskiej walki z aborcją” – pojawił się w 2011 roku. Nazwę pożyczył od XIX-wiecznych przeciwników niewolnictwa. Oni również, argumentują abolicjoniści, uważani byli wówczas za niebezpiecznych ekstremistów i także napędzała ich niezachwiana wiara nie tylko w słusność Sprawy, ale i chrześcijańskiego Boga. A to im, a nie ówczesnemu mainstreamowi – albo proniewolnicemu, albo obojętnemu – historia przyznała rację. „Podążając śladami dawnych ruchów abolicjonistycznych, dążymy do zakończenia jednego z największych ludzkich nie-szczęść i moralnych niegodziwości”, deklaruje strona internetowa Abolish Human Abortion. „Próbujemy po prostu odpowiedzieć na pytanie: jak wygląda chrześcijaństwo w kulturze, która praktykuje ofiary z dzieci? I wprowadzić naszą odpowiedź w czyn”.

Chrześcijaństwo owo jest bezkompromisowe: domaga się natychmiastowego i całkowitego zakazu przerywania ciąży. „Żadnych wyjątków pozwalających na mordowanie dzieci ze względu na okoliczności, w jakich zostały poczęte. Żadnych wyjątków pozwalających na mordowanie dzieci, bo są chore. W ogóle żadnych wyjątków. Jeśli aborcja jest morderstwem, a wszyscy wiemy, że jest, musi być zniesiona całkowicie”, deklaruje Free the States. Cięża poza-maciczna? Kobieta będzie miała wybór między śmiercią a więzieniem. Zmuszanie rodaczek do rodzenia pod groźbą kary, z najsu-

rowszą włącznie, także w sytuacji zagrożenia życia i zdrowia abolicjoniści wywodzą z przykazania miłości. „Jeśli kochasz bliźniego swego jak siebie samego, czy będziesz stał biernie, gdy jest on legalnie rozczłonkowany?”.

Mainstreamowi przeciwnicy aborcji – lub, w nomenklaturze abolicjonistów, „przemysł pro-life” – z demonstacyjną świeckością, miękłkım przekazem i metodą małych kroków, są dla nich niewiele lepsi od liberalów. Według Free the States wręcz sam Bóg potępia ruch pro-life. Ze złem bowiem się nie negocjuje, zło się wypala ogniem i żelazem. Jest tylko „tak, tak; nie, nie”, gorący lub zimny, czarne albo białe, nie istnieje letnie, szare ani „to zależy”. Ktoś może to nazwać fanatyzmem, trudno – oni nazywają to praktykowaniem chrześcijaństwa. „Nie można być świeckim abolicjonistą”, ucina Abolish Human Abortion. „Nie szukamy płaszczyzny porozumienia, głosimy Ewangelię. Krwią baranka i naszym świadectwem zwyciężamy mrok. Nie czekamy na apokalipsę ani nie prowadzimy pesymistycznych szkoleń, podczas gdy świat schodzi na psy. Idziemy na wojnę!”.

Podobnie krytyczni są wobec Kościółów, które skapitulowały przed „kulturą śmierci”. „Gdzie jest potępienie rozpustnych i leniwych? Gdzie wezwanie do pokuty i praktykowania prawdziwej religii? Ciska bijąca z naszych ambon jest tak ogłuszająca, że mogłaby rozbić każdy witraż, przewrócić każdą ławkę i obudzić każdego zmarłego”.

Abolicjoniści nie uznają istnienia światopoglądowego pluralizmu: oni są depozytariuszami jedynej Prawdy, której reszta ma się podporządkować. Ich celem, mówią to wprost, jest totalna transformacja „niegodzwej kultury i społeczeństwa” w duchu prawdziwie chrześcijańskim. Zwycięstwo w wojnie o serca, dusze i umysły. „Abolicjoniści przyjmują śmiałą postawę w obliczu zła i całkowicie odrzucają powszechnie akcep-

moc ma państwo, więc należy wybierać takich reprezentantów, którzy go dobrze wykorzystają, zamiast robić to na własną rękę – ale media piszą o ich powiązaniach z ultraprawicowymi bojówkami. Według magazynu „Prism” ich korzeni i ideologicznych inspiracji należy szukać we wspomnianej Operation Rescue, której liderzy uważali przemoc wobec personelu klinik aborcyjnych za usprawiedliwioną. Abolicjoniści nawołują też do obywatelskiego nieposłuszeństwa na poziomie stanowym: jeśli federalne prawa nie odzwierciedlają boskiego porządku, uważają, prawodawcy stanowi mogą, wręcz muszą, się przeciwko nim zbuntować.

Abolicjoniści do niedawna uważani byli za ultraprawicowy margines, ale w konserwatywnych stanach, takich jak Teksas, Oklahoma czy Luizjana, rosną w siłę.

W 2021 roku na posiedzeniu Southern Baptist Convention zaproponowali rezolucję zawierającą zapis, że „morderstwo nienarodzonego dziecka jest zbrodnią przeciwko ludzkości i musi być odpowiednio karane przez prawo”. Dokument apelował też o „natychmiastową abolicję aborcji bez kompromisów i wyjątków” i deklarował, że SBC „nie przyjmie stopniowego podejścia do zakończenia aborcji”. Rezolucja przeszła, ale poprawiona o akceptację metody małych kroków. Dla abolicjonistów było to oczywiście nie do przyjęcia. Rok później autor wspomnianej rezolucji, pastor Tom Ascol, był jednym z dwóch głównych kandydatów na przewodniczącą Southern Baptist Convention; przegrał, ale był blisko.

Także przy tworzeniu prawa pomysły radykałów spotykają się z oporem bardziej umiarkowanych antyaborcjonistów. Kiedy w marcu 2022 republikanie z Luizjany zaproponowali projekt ustawy, który zakładał karanie kobiet za przerywanie własnej ciąży tak samo jak za mor-

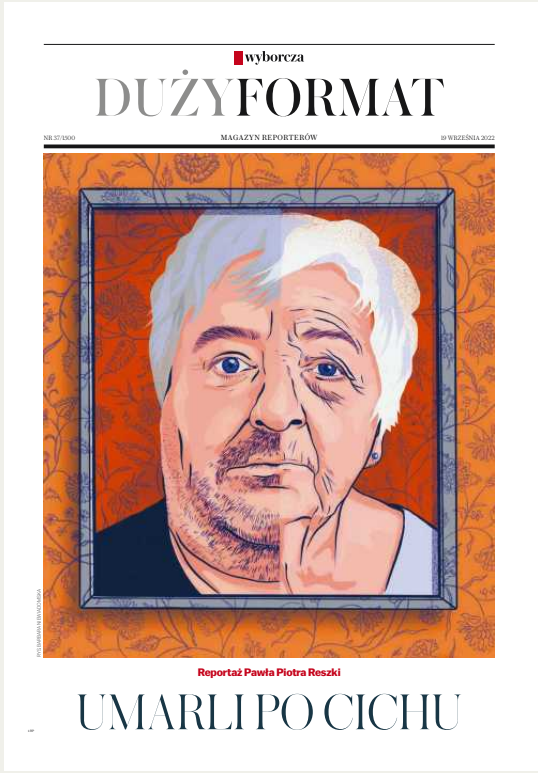
stanowisko wobec innych proliferów są często problematyczne”.

Mainstreamowcy zapewniają więc, że choć koniec aborcji jest oczywiście celem ostatecznym, to dochodzenie do niego stopniowo jest po prostu skuteczniejsze: lepiej dziś uratować pięć żyć niż żadnego, upierając się przy ratowaniu 500. Odżegnują się też od bardzo niepopularnego (tylko 13 procent Amerykanów jest za) całkowitego zakazu aborcji, dopuszczając zabieg przynajmniej w sytuacji zagrożenia życia ciężarnej. Wreszcie zapewniają, że nie zamierzają karać kobiet za przerywanie własnej ciąży (zupełnie przypadkiem takie kary popiera tylko 14 procent mieszkańców USA).

Najbardziej istotną różnicą między radykałami a pragmatykami jest właśnie ich stosunek do kobiet. Mainstream anti-choice, przynajmniej oficjalnie, skłania się ku XIX-wiecznej wizji kobiecości jako płci słabej, emocjonalnej, chwiejnej, łatwo ulegającej wpływom, niezdolnej do podejmowania świadomych i racjonalnych decyzji. W tej narracji kobiety tak naprawdę w każdym momencie życia pragną być matkami, a do aborcji zostają zmuszone: przez partnerów, rodziców, kulturę wmawiającą im, że kariera i samorealizacja jest ważniejsza od macierzyństwa, wreszcie przez „przemysł aborcyjny”. Nie mają świadomości, że aborcja to „zabijanie istot ludzkich”. Są ofiarami, bo zabieg pozostawi w ich psychice rany, które nie zagoją się nigdy. Dlatego należy je chronić, przed złym światem i nimi samymi, odbierając prawo do tzw. wyboru, który, jak już ustaliliśmy, wcale nie jest ich wyborem.

Abolicjoniści cofają się dalej, tak do końca XV wieku, czasów pierwszego wydania „Młota na czarownice”. Jego autorzy, zgodnie z duchem epoki, uważali kobiety za istoty próżne, krnąbrne, perfidne i kłamliwe: „wrogów przyjaźni, nieuchronne kary, zło konieczne”. Nieodrodne, poza

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



1 UMARLI RAZEM.

Sąsiedzi
nic nie słyszeli.

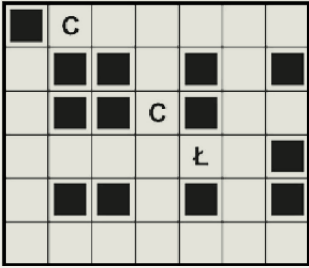
Reportaż

Pawła Piotra Reszki

2 POLSKA TEORIA MIŁOŚCI.

Dlaczego nasi
rodzice udają
zdrowych?

3 jolka



Krzyżówka
co tydzień
w Dużym Formacie

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34176926

Kobiety przerywające ciążę są jak osoby wynajmujące płatnego zabójcę i powinny odpowiadać jak za współudział w morderstwie

TOM ASCOL
pastor

towane, ignorowane lub dozwolone niesprawiedliwości. Staramy się doprowadzić do zderzenia absolutów: Ewangelii Chrystusa i doczesnej mądrości człowieka”. Ta druga bowiem wynika wyłącznie z pychy, a pycha, jak wiemy z „Adwokata diabła”, to ulubiony grzech Szatana.

A jeśli ktoś jest innej wiary albo i bez wiary, i chciałby żyć w państwie, w którym cudze przekonania religijne nie determinują jej reprodukcyjnych wyborów – to nie problem abolicjonistów. „Jesteśm przekonan, że aborcja jest kwestią Ewangelii, a nie tylko kwestią polityczną. Jest to z natury kwestia religijna, bo całe życie jest religią”, czytamy na stronie End Abortion Now. Co prawda Biblia wprost o aborcji nie wspomina, ale mówi, że człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga, no i o ratowaniu prowadzonych na rzeź. Kliniki aborcyjne są dla abolicjonistów takimi rzeźniami, a przerywanie ciąży to dla nich „ofiara z dzieci”, którą trzeba natychmiast zakończyć.

Abolicjoniści zapewniają, że do „zwycięstwa Jezusa” i zakończenia „rzezi niewiniątek” będą dążyć metodami pokojowymi – monopol na prze-

derstwo, największe amerykańskie organizacje antyaborcyjne, a także katoliccy biskupi i południowi baptyści wystosowali list otwarty z protestem przeciw. „Jednoznacznie oświadczamy, że nie popieramy żadnych środków zmierzających do kryminalizacji lub karania kobiet i stanowczo sprzeciwiamy się włączeniu takich kar do ustawodawstwa”, napisali. Luizjański projekt został wycofany, a abolicjoniści oskarżyli „przemysł pro-life” o zdradę i oportunizm – według Ascola obawiali się, że tak zdecydowane opowiedzenie się „za życiem” zaszkodzi ich finansowaniu.

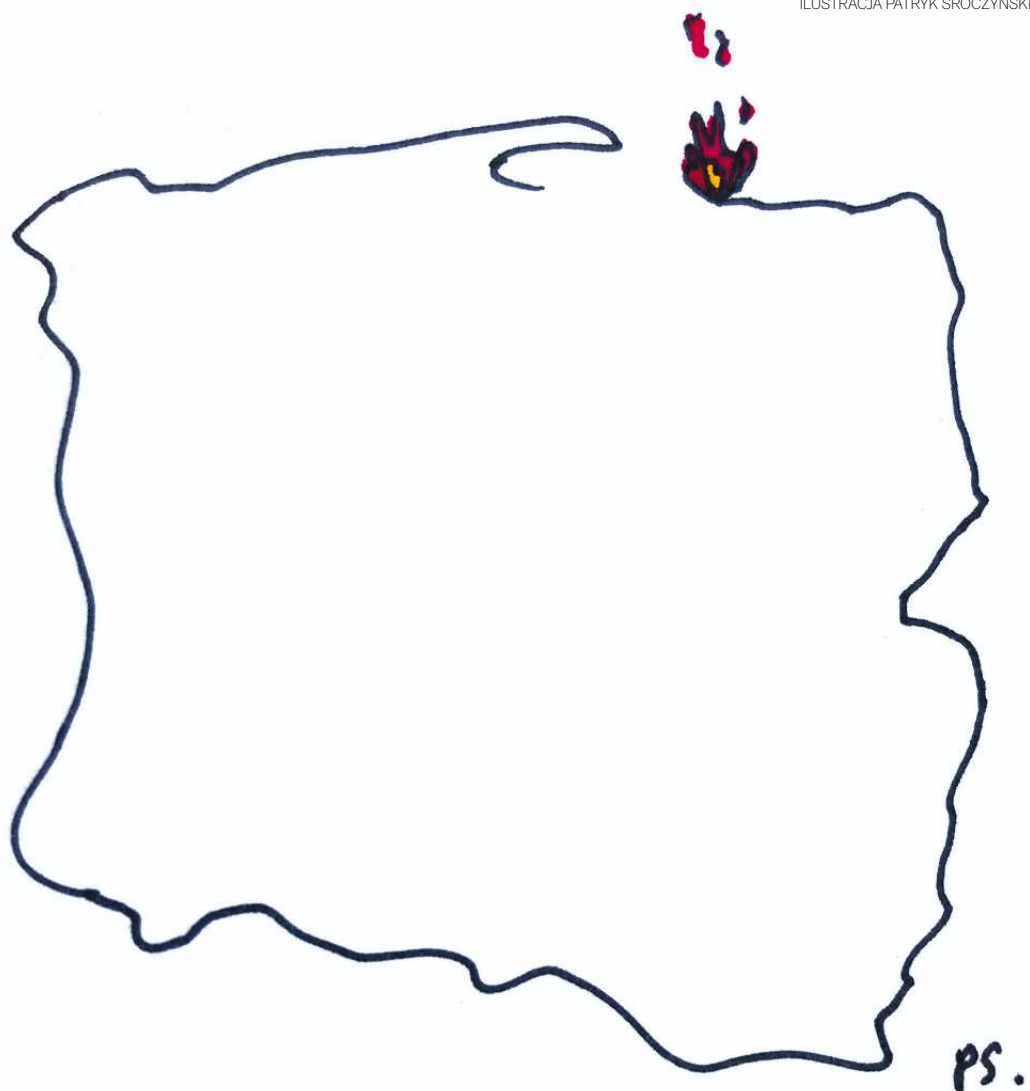
Antyaborcyjny mainstream, i ten religijny, i świecki, od żądań ekstremistów się odcina, ale ostrożnie. Nie chce zrazić ani konserwatystów, którzy placą (datki na działalność organizacji) i wymagają (wierności idei), ani umiarkowanych, których zbyt radykalizm mógłby wystraszyć, a nawet skłonić do popierania prawa do przerywania ciąży. Cytując aktywistę Scotta Klusendorfa, „doceniam pa-sję abolicjonistów. Każdy prawdziwy prolifer byłby zachwycony, gdyby aborcja została zdelegalizowana. Niestety, ich metody, filozofia i wrogie

nielicznymi wyjątkami, córki Ewy należało trzymać krótko – nadzorować i karać – bowiem nie tylko same grzeszyły, ale i do grzechu ciągnęły mężczyzn. A już najgorsze były te, które cechowała ambicja, niewierność i żądza: te na bank były czarownicami.

Panowie z End Abortion Now czy Free the States wydają się mieć o kobietach, zwłaszcza tych, które „mordują swoje dzieci”, podobne zdanie. Przerywające ciążę nie są ofiarami, uważają. Dokładnie wiedzą, co robią – dokonują autonomicznego moralnego wyboru, mają świadomość, że popełniają grzech, więc powinny ponieść konsekwencje. „Ustawy abolicjonistyczne nie kryminalizują kobiet. Kryminalizują czyn. Kobiety są tak samo zdolne do złych czynów, jak mężczyźni. A jeśli je popełnią, powinny być ukarane. Zwalnianie ich z odpowiedzialności mówi dużo o naszym stosunku do kobiet”, podsumował Sam Riley z Free the States.

Paradoksalnie więc to fundamentaliści są mniej protekcyjni i przyznają kobietom więcej sprawczości. Po to, by móc je za wybór niezgodny z ich przekonaniem bezwzględnie ukarać. ●

Rosję trzeba odciąć od tlenu

CZY PIŚ
ZDOŁA
WYPRAĆ
POLAKOM
MÓZGI

ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

Kaczyński będzie chciał
Polskę podpalićZ GEN. PIOTREM PYTLEM*,
BYŁYM SZEFEM SŁUŻBY KONTRWYWIADU
WOJSKOWEGO, ROZMAWIA **DONATA
SUBBOTKO**

CZĘŚĆ DRUGA

Na nagraniach w Sowa & Przyjaciele Morawiecki mówił, że najlepszym sposobem, żeby ludzie się przyzwyczaili do gorszej sytuacji, zawsze była wojna.

– Niesamowite. Czy Morawiecki nie był świadomym elementem scenariusza rosyjskiego już wtedy?

Sprawia wrażenie, jakby wiedział, czego oczekują Rosjanie i jak należy w danej sytuacji zareagować, np. jedzie do małej miejscowości i krzyczy, że Putin to morderca. Słowa nie mają znaczenia, zwłaszcza w przypadku takich osób jak Morawiecki. Analizować należy czyny i działania.

Putin nie chce, żeby dla Polaków stało się jasne, że to wszystko, co robi PiS – spotkania z proputinowcami, rozwalanie państwa według wzorców rosyjskich, niszczenie UE, transformacja w kierunku autorytaryzmu – jest po jego myśli. Do ostatniej chwili, zanim nie wpadniemy wszyscy w łapy Rosji, Polska ma odgrywać rolę rusofoba chodzącego na sznurku Bidena i ma być nieprzyjazna dla samych Rosjan. Im więcej u nas agresywnej retoryki wobec Rosji, tym większa możliwość przekonania Rosjan, że Unia zachowuje się wobec nich agresywnie. Dlaczego? Bo jesteśmy z Rosją w bliskim sąsiedztwie i jesteśmy emanacją Unii. Mile widziane są napady na cmentarze, obławianie pomników itd.

Po napaści Rosji na Ukrainę było i obławianie ambasadora Rosji czerwoną farbą, i wielki wywiad Karnowskich z nim w tygodniku „Sieci”.

– Karnowscy nie odważyliby się zrobić takiego wywiadu, gdyby nie polecenie polityczne. Bez zgody Kaczyńskiego dostaliby po uszach. Są opłacani, to symbioza. Putin najechał Ukrainę, a oni stali się tubą kremlowską.

Ale najpierw był wywiad z ambasadorem Rosji na YouTube przeprowadzony przez geopolityka i naukowca Leszka Sykulskiego. Dlaczego Sykulski robi taki wywiad? Bo Sykulski jeździ do Aleksandra Dugina i opowiada o nim z szacunkiem, o teoriach Władimira Lefewra, o Władimie Cymburskim i różnych osobach, które tworzyły zręby rosyjskiej strategii wojсковej. To piewca potęgi intelektualno-organizacyjnej Rosji – no i był w komisji Macierewicza.

Tak? Andrzej Duda go niedawno odznaczył.

– Sykulski był w komisji weryfikacyjnej przy likwidacji WSi. Potem zajął się Rosją i został, obok Jacka Bartosiaka, naszym czołowym geopolitykiem. Od tych panów słyszymy, że nie mamy co liczyć na NATO i Stany. Ale przecież nie ma koncepcji bezpieczeństwa militarnego, która abstrahuje od sojuszy politycznych. W Rosji geopolityka jest rodzajem religii, kremlowski sposób myślenia o tym, co ma nastąpić, zawsze się łączy z retoryką upadku Zachodu, Unii.

W sytuacji wojennej agencji wpływu bywają zmuszeni do działań bardziej odkrytych, bo jest parcie na wytwarzanie oddziaływań w wojnie informacyjnej. Zachowania pana Sykulskiego wpisują się w ten model. PiS otworzył drzwi też wielu organizacjom typu Instytut Spraw Obywatelskich Rafała Górskiego – to antyszczepionkowcy, śmierzdzą Rosją na kilometr. Czy trupa aktorska Olszańskiego. No i to złoty okres Ordo Iuris.

Po wybuchu wojny Paweł Jabłoński z Ordo Iuris, wiceminister spraw zagranicznych, zgodził się na transport paliwa jądrowego z Rosji przez Polskę na Węgry.

– O Ordo Iuris nie słyszałem, dopóki nie objawili się w Polsce. Nagle się okazało, że są w stanie wprowadzać swoich ludzi do rządu, że mogą uczestniczyć w procesie osób, które rzekomo znieważyły nauczycielkę akademicką. Trudno określić, czym się zajmują. Ochroną osób dręczonych przez pogan? Czy wejściem w politykę i oddziaływaniem na nią. Na działania długofalowe Rosjanie wybierają często instytucje typu harcerstwo czy organizacje religijne,

także Kościół. Nawiasem: harcerza Dworczyka wypromował Macierewicz.

20 lat temu Michał Dworczyk był skazany na 1,5 roku więzienia, Macierewicz uratował go przed aresztem.

– No tak, potem Dworczyk ze środowiskiem Morawieckiego brał udział w akcji z krzyżem smoleńskim na Krakowskim Przedmieściu i nakręcał tworzenie mitu smoleńskiego.

Dlaczego Rosjanie wybierają instytucje? Bo one mają strukturę, czyli można z poziomu kogoś kierującego ich częścią czy całością tworzyć zręby kadrowe, które niekoniecznie będą świadome, że działają z kimś, kto pracuje dla obcego wywiadu. Poprzez instytucje tworzą się grupy zaufania ludzi związanych przez sentymenty i korzyści. Co ważne, instytucje mają możliwość dialogu z instytucjami państwowymi i mogą ewoluować. Nam pięknie ewoluje Ordo Iuris, które się wpierdziela w coraz to nowe rejony życia społecznego i politycznego. Gdybyśmy mieli działający kontrwywiad, to Ordo Iuris zajmowałby się troskliwie.

O Andrzeja Poczobuta też nasze MSZ jakoś specjalnie nie walczy.

– Bo jest kojarzony ze stroną demokratyczną. Jest jeszcze obywatel polski, pan Marian Radzejewski, którego parę lat temu Rosjanie zatrzymali przy próbie nabycia, jak podało FSB, dokumentacji do systemu rakiet S-300. Dostał 14 lat łagru i, jak mówi jego żona, polskie władze wypięły się na niego. Dlaczego więc mieliby coś robić w sprawie Andrzeja Poczobuta. Przypomnę, że kiedy w 2009 r. zaginął polski geolog, potem zabity przez talibów, dla naszych władz, dla gen. Janusza Noska i nas wszystkich w służbach było jasne, że to priorytet, trzeba robić, co można. Czy PiS przejmuje się takimi dramataми? Nie. Mogliby Poczobutowi pomóc – ale czy chcą?

Z Białorusinami PiS utrzymuje kontakty. Stąd np. na początku września ub. roku na Forum Ekonomiczne w Karpaczu przyjechał białoruski agent KGB Juryj Waskrasiński. Służby nie mogły przeoczyć jego obecności. Facet został wpuszczony za zgodą naszych władz. Sam mówił w krótkim wywiadzie dla Bielsatu, że rozma-

wiał z polskimi oficjelami – i tu mu wierzę. Zresztą niedawno widziano go w Warszawie. Służby białoruskie, zintegrowane z rosyjskimi, to może dla PiS też droga porozumienia się z Putinem, bo w Polsce najgorzej jest być złapanym za rękę z Rosjaninem.

ODWRACANIE NARRACJI
ROSJANIE LUBIĄ
NAJBARDZIEJ

Momentem, w którym polski rząd zachował się zgodnie z linią Rosji, był kryzys uchodźczy na granicy polsko-białoruskiej, wprowadzenie stanu wyjątkowego. Chcieli mieć pozory wojny.

Trzeba to wytłumaczyć.

– Kryzys uchodźczy oceniam w kategoriach bratniej pomocy dla PiS. Nigdy nie słyszałem o operacji „Śluz”. W marcu 2021 r. spotkał się Putin z Łukaszenką w Soczi, robili sobie dużo zdjęć, a przekaz był taki, że nastąpi zbliżenie między Białorusią i Rosją na kierunkach strategicznych, i z powodu zagrożenia z Zachodu ich służby specjalne się integrują.

Kryzys uchodźczy i szmuglowanie ludzi zaczęło się latem 2021 r. Początkowo polski rząd działał tak, jakby chciał, żeby było coraz więcej uchodźców. Nie było prób znalezienia rozwiązań z Unią. Według mnie pisowcy hodowali ten kryzys, a potem zrobili z tego wojnę, na której nikomu z funkcjonariuszy polskich ani białoruskich nic się nie stało, natomiast umierali ludzie o innym kolorze skóry, umierały dzieci pozostawione na bagnach. Niezwykła konsekwencja PiS w działaniu, nieludzka.

Ale po co?

– Pozory wojny dały PiS przewagę nad opozycją i możliwość kształtowania postaw całego narodu. Wróg u bram, sprawy przerzucamy tam nasze jednostki i dla podwyższenia wagi sytuacji wprowadzamy stan wyjątkowy na terenie kilku województw. Teatr. Duża część uchodźców i tak przechodziła granicę, są na to dowody. Gdyby naprawdę chcieli ich zatrzymać, to wystarczyło – przeliczyłem to – ustawić żołnierzy WOT w systemie trzymianowym co 200, niech będzie co 400 metrów

dwie osoby i dać im odpowiedni środek łączności. Nie telefony komórkowe, jak teraz – co wzbogaciło bazę rosyjską o nowe dane i może im się kiedyś przydać, nie daj Boże.

To wyglądało na ustawkę, a media podbiły dramaturgię. Oglądaliśmy spektakularne działania na wyznaczonych odcinkach. Jakby obie strony się dogadały, gdzie mają się okładać. Każdy, kto mówił o nieudolności rządu, był wyzywany od rosyjskiej agentury. Wprowadzano to, co Rosjanie lubią najbardziej – odwracanie narracji. To nie my, to oni są agenturą. Oni chcą zdradzić państwo polskie. A Kaczyński krzyczał, jak kiedyś Gierek, że działają ośrodki dywersyjne. W propagandzie rosyjskiej wszystko, co chce być autonomiczne, jest kierowane z Zachodu. PiS też chce nam zaorać NGO-sy, odcina im finansowanie – znowu wzorce rosyjskie.

Odwracanie narracji stosują na co dzień. Tusk to putinista i chce wprowadzić państwo totalitarne.

– Rosyjska strategia. Nie robią tego Amerykanie. Kultura zachodnia polega na rozumowym podejściu do rzeczywistości – nie mówimy rzeczy, które są jej pełnym odwróceniem, żeby się nie ośmieszyć. PiS nie ma takich ograniczeń. Morawiecki nie ma zdjęcia z Putinem, Tusk ma – to im wystarczy, żeby ogłupiać ludzi. A naszym ograniczeniem jest zastanawianie się, czy PiS jest partią prorosyjską, czy nie – a jest. Na tyle, na ile można być prorosyjskim w warunkach polskich, nie będąc marginesem typu Zmiana, trupa Olszańskiego czy inny plankton.

Rosjanie mają zdolność – może to spadek po czasach carskich, gdy część Rosjan żyła w ciemnocie – negocjowania rzeczy oczywistych. I to w sposób, który by nam nie przyszedł do głowy. PiS stosuje te metody na co dzień. Plus działania wyprzedzające. Jeśli my, PiS, spodziewamy się ataku, np. ktoś będzie mówił, że jesteście złodziejami, to oskarżamy go o kradzież.

Pana pisowskie media od lat oskarżają o niewyjaśnione kontakty ze służbami rosyjskimi w latach 90., kiedy pracował pan w UOP.

– Zaczęli grać temat w 2013 r., kiedy zostałem szefem SKW. Gdybym wtedy dał się sprowokować do wypowiedzi publicznej – ja albo moi przełożeni, którzy znali przebieg mojej służby – byłaby to wygrana Rosji.

To nie jest sprawa zszarganego honoru oficera, ale odkrycia pewnych spraw. I to jest niezwykle, że oni do tego dążyli. Niektóre osoby z pisowskich mediów musiały mieć świadomość, czego dotyczą. Dlatego uważam, że to środowisko od dawna było spenetrowane przez rosyjskie służby. Świączkowski, szef ABW za pierwszych rządów PiS, i kluczowe osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo miały doskonałą orientację co do mojej służby. Nigdy nie miałem niewyjaśnionych czy nielegalnych kontaktów z oficerami rosyjskich służb. Gdyby faktycznie były tego typu informacje, to czy PiS by tego nie wyciągnął? Formułując takie zarzuty, działali stricte w interesie Rosji.

Bo?

– Ujawnienie – do czego prowokowali mnie politycy PiS w oficjalnych wystąpieniach – tematu moich relacji ze służbami rosyjskimi to byłaby demaskacja. Uzyskali by twarde dowody na wrogie działania ze strony Polski – karane prawem rosyjskim. Teraz już można pewne rzeczy ujawnić i chętnie o tym opowiem. Potrzebuję na to zgody szefa ABW. Ale jestem przekonany, że szef ABW się nie zgodzi.

Dlaczego?

– Byłoby to sprzeczne z interesem PiS – chyba że chcą ze mnie zrobić bohatera. Działalem we wrogim środowisku. Nie mogę powiedzieć, gdzie to było i kiedy, ale trwało długo. I jestem z tego dumny.

Nie przyszło mi do głowy nigdy w życiu, które było nietypowe – i wymarzone – że to, co robiłem profesjonalnie i skutecznie, z dużą korzyścią dla Polski, ktoś obróci przeciwko mnie. Może się do tego posunąć tylko zdrajca ojczyzny. Jeszcze raz podkreślam: po agresji na Ukrainę kwestia dbania o stosunki między Polską a Rosją upada i mogę wszystko publicznie opowiedzieć, jeśli szef ABW się zgodzi.

Przysłał mi pan dziwne maile sprzed roku. Dostaje pan groźby?

– Rozsyłano je po naszym poprzednim wywiadzie „Rosjanie nas penetrują”. Nie mówiłem o tym wcześniej, bo uważałem, że trzeba to rozegrać operacyjnie. I nie czuję się zagrożony.

Kilka osób poinformowało mnie, że otrzymały różne wersje wiadomości mailowej – że Rosjanie mają szpiegów wśród Polaków, że GRU może likwidować swoich oponentów, przemysłcie swoje życie, wy, samobójcy itp. One były rzekomo ode mnie. Pisane składnią rosyjską. Odezwał się do mnie wysoki rangą oficer naszych służb cybernetycznych, zapytał, czy złożę zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa. Od innego kolegi dowiedziałem się, że zlokalizowali miejsce, skąd te maile były wysyłane.

I?

– Z jednostki organizacyjnej podległej ministrowi obrony narodowej.

A ta składnia rosyjska to specjalnie?

– Nie wiem, za mało danych. Potem od naszych służb dostałem informację – w którą nie uwierzyłem – że to jakiś student.

Maile były wysyłane cztery tygodnie po naszym wywiadzie – dla mnie ten czas jest kryteryjny z punktu widzenia procesów decyzyjnych służb w Rosji. Może była to kwestia koordynacji z Białorusinami albo polskimi aktywami. Zakładam, że albo przejęto kontrolę nad komputerem MON, albo jedna z naszych służb, pewnie SKW, zrobiła mi

PiS dał swobodę organizacjom, które rozsiewają informacje przeciw Ukraińcom. Jakby chcieli utrzymać ten potencjał

taką operację, a inna służba to wychwyciła, ale zanim się zorientowali, że to aktywność naszej służby, to zdążyli się do mnie odezwać, i trzeba było to jakoś zamknąć. Życzliwe telefony od kolegów ze służb, którzy robią teraz kariery, też mam – żebym się tak nie wychylał, zostanę z tym wszystkim sam, to się dla mnie źle skończy, a że stanowisko prokuratury się zaostrzy, to chyba jasne itp. No ale przecież nie można inaczej.

Jak zdrowie?

– Podstawa to nie pokazywać swoich miękkich miejsc. Tak jak nie nosi się obrączki, kiedy się idzie do bandytów. Długo trenowałem karate i inne sporty – gdy ktoś mnie mocniej trafił, to udawałem, że wszystko OK, po co ma drugi raz strzelić w to samo miejsce. To dobre nawyki. Czasem chcę sam siebie zagryźć jak wściekły pies, bo nie mogę zagryźć tych, których chciałbym. Takimi jesteśmy małpami. Ale jeszcze ćwiczę, pomimo choroby, już nawet nie będę mówił, jakimi się katuję ciężarami, bo to słabe.

A niech pan powie, co panu zależy.

– W przysiadach ze sztangą dochodzę do 90 kg, czasem do stówki. Na klatę – jakieś 110. Robię też trening na worku, walka z cieniem, mobilnościowe... Potem się czuję zrypany, ale zdrowszy. Bo mam trochę pertur-

bacji. Córunia się przejmuję. Dokąd mieszkała z nami, zawsze pytała, co przyniosł listonosz, bo ciągle coś przychodzi z prokuratury. Moja żona Dorota mówi, że musimy to przetrwać. Wrażliwa, ale silna. Jak patrzę na nią, to myślę: kurde, damy radę. Trzeba trzymać fason przed samym sobą, ale za to też się płaci. Poczucie, że musimy walczyć z takim PiS, wielu kolegów dzisiaj spala i kosztuje. Bo sytuacja jest dramatyczna.

Nawet jeśli PiS przegra wybory, to ciągle ma dla Rosji nieprawdopodobny potencjał – destrukcyjny. Trudno uwierzyć, żeby dali komukolwiek spokojnie rządzić. Jakakolwiek partia opozycyjna wygra wybory i zacznie rozliczać PiS, uruchomią narrację, że są szykanowani. Pamięta pani Beatę Kempę, która została przez kogoś obrażona i płakała? Eteryzna dziewczyna. Mówię o nich wszystkich „PiS”, bo Ziobro to też trochę PiS. Nie wierzę, że Kaczyński ma z nim problem, że Ziobro by odszedł itd. Gdzie by odszedł?

RADYKAŁOWIE U WŁADZY Z POMOCĄ ROSYJSKĄ

Udawanki?

– Układanki. Tyle lat minęło, a my ciągle polemizujemy, czy PiS działa na rzecz Rosji albo czy Kaczyński nie może sobie z Ziobrą dać rady. Nabieramy się na takie plewy, że się w głowie nie mieści. Gdyby PiS miał przegrać, to czeka nas tutaj wspomagany przez Rosję wielki zamęt. Próba destabilizacji państwa.

Już mamy chaos, państwo nie działa.

– Nie mówię o chaosie. Kaczyński będzie chciał Polskę podpalić. Chociażby żeby siebie uchronić. Będzie chciał wykorzystać niezadowolenie z sytuacji ekonomicznej tych, których sobie wyhodowali. Chodzi mi o zupełny rozpad funkcjonalności i kontrowania sytuacji w kraju przez instytucje państwa. Jeśli tyle nas podsłuchują, to mo-

je, jest próbą oszukania otoczenia co do tego, kim jest. To nie ten Ziobro, który był mimożą i łatwo było go wprowadzić w rozdrażnienie. Co go buduje, nie wiem. Wiedza o grzechach formacji Kaczyńskiego pochodząca z prokuratury i gaszonych tam śledztw? A może coś potężniejszego. Wiele poświęci, żeby zaistnieć na wielką skalę. Kierunek jego poglądów jest tam, gdzie Rosji: stosunek do LGBT, Unii, zaostrowania kar itd. I jest delikatnie traktowany w Poulfnej – a, jak wiemy, można by mu narobić kłopotów. Dlatego jego pewność siebie to dla mnie zagadka.

Nawet po przegranej PiS będzie chciał utrzymać wpływ na polską rzeczywistość – to tutaj rozgrywa się pole ścisłej konfrontacji. Nie będzie hamulców. A opozycja stosuje metody wyłącznie cywilizowane, przewidziane prawem, oddziałuje też informacyjnie, tłumaczy, ale daje cherlawy odpór atakom PiS.

Za słaby?

– Jeśli jest atak PiS na parlamentarystę, dlaczego zasadą nie jest uruchamianie pozwów i kierowanie tego na drogę prawną. Trzeba się domagać egzekwowania prawa, odszkodowania. To by działało także na pisowskich pismaków, którym się wydaje, że mogą nam narobić na głowę. Jak się takiego pana zaprosi do sądu, to rura mięknie. Mnie pomówił gość z „Gazety Polskiej”, Stankowski bodajże, że podsłuchiwałem, będąc w SKW – i ma sprawę. Nie jestem w stanie wszystkich zaspokoić, bo powinienem to zrobić z TVP za to, jak mnie spoiniewierali 6 grudnia 2017 r., kiedy mnie zatrzymała Żandarmeria Wojskowa podległa Macierewiczowi. Byłyby za to pewnie wielkie pieniądze, ale płaciliby podatnicy, uderzenia punktowe są lepsze.

PiS-owcy postrzegają opozycję jako grupę, która może by ich rozliczała, ale jak się ją przycisnie, to PiS sobie poradzi. Jest w tym aspekt pozytywny – na opozycji są ludzie, którzy w tych dzikich czasach zachowują cywilizowaną postawę. Ale rozliczenie musi być skrupulatne, restrykcyjne, chociaż to robota na lata. Jeśli opozycja pójdzie na miękki wariant, nastąpi całkowita erozja norm społecznych i prawnych. Staniemy się państwem zdemoralizowanym.

Nie wierzy pan, że narobią PiS problemów?

– Nie wierzę, że komukolwiek z PiS zostaną odebrane pieniądze – wyciągali je w taki sposób, żeby mogli je zachować, nie ładowali walizek sztabami złota. Jeśli będą zarzuty, to o niegospodarność, a przejrzystość zamówień publicznych to rzecz oceniana. Ale bez rozliczenia nie mamy szans na stworzenie normalnego państwa demokratycznego, jak określa konstytucja. Nasze państwo trzeba będzie zbudować od początku.

Jak PiS dogada się z Rosją czy Węgrami, obniżą ceny węgla, ropy, gazu, dadzą 1000 plus i – jeśli nie wyjdzie milion ludzi na ulice – to nie trzeba będzie niczego budować.

– Tak, Węgrzy mają tańsze surowce, bo od Rosjan. Chodzę na całe dni do lasu, raz słyszę piłę, jest drwal i zrywkarz, znam ich. Pytam, gdzie ci ludzie, co mają zbierać chrust. A którzyś: „Chopie, dobrobyt jest, ludzie dostaną forszę na węgiel i będzie super”.

ŁUK Z KLONU, CIĘCIWA FLAMANDZKA

Po co pan chodzi na całe dni do lasu?

– Czyszczyć las z drzewa zalegającego po pracach leśników i zużywam na własne potrzeby. Pracuję ciężko fizycznie w trudno dostępnym terenie, nie da się stamtąd drzewa przetransportować, sam je noszę. Jak wchodzę do lasu, to obiecuję sobie, że nie na dłużej niż trzy godziny, a jestem do zmierzchu. Mój pradziadek ze strony mat-

ki był drwalem, więc to może geny, podobno jestem jego sobowtórem. Zginął od uderzenia pioruna, i może mnie też pierdolnie. Człowiek się odpręża, wywala złe emocje. Lubię robić w drzewie.

Co pan robi?

– Większość rzeczy nie ma charakteru użytkowego, ale np. robię niezłe łuki. Z jesionu, klonu, wzmacniane włóknem szklanym. Dla siebie i kolegów. Ręcznie. Jeden łuk to dwa tygodnie pracy. Można nim polować, ale ja do tarczy strzelam, widzi pani, jaki mam ogród. Na zajęciach z survivalu uczą robienia łuku, żeby mieć broń w lesie, ale już lepiej jeść chrabąszcze i ślimaki, bo jakby ktoś chciał zrobić łuk, żeby zapolować, toby padł ze zmęczenia. Profilowanie, nadawanie kształtu, wykańczanie – to wymaga koncentracji, jeden błąd i wszystko szlag trafia. Pokażę pani. To np. łuk klonowy, tu jest tzw. półka, a tutaj muszę jeszcze na końcówkach dać ozdobne zakończenia, szukam sztucznego bursztynu. Robię takie flatbowy, tu szerokie, a tu wąskie, każda część ma odpowiednią szerokość, długość, zaokrąglenie, każdy sęczonek, który się zdarzy, trzeba odpowiednio potraktować. Lubię klon, bo ma mało sęczków. No i co?

Piękny.

– Ma refleksy, czyli końcówki wygięte w przeciwną stronę. Do tego cięciwa flamandzka, bo dobrze się ją skręca. Strzały też robię. Ważone, z odpowiednim spinem, czyli stopniem ugięcia dostosowanym do siły łuku.

Jakby się pan na wojnę szykował.

– Na wojnę to mam inne rzeczy. O, to jest PM-63 zwany „ścierwem”. Jako dziecko lubiłem „Tytusa, Romka i A'Tomka”, Tytus dostaje właśnie taki pistolet maszynowy. Zaprojektował go Piotr Wilniewicz, ten, który projektował Visa. A łuk – co to za broń? Trzeba trochę zapomnieć o celu, kontrolować ciało, palce, ramiona. Dlatego kusza wyparła łuk, bo strzelać z kuszy to jak z karabinu. Strzelanie z łuku to sztuka. Ale jak się trafi, to masakra – nie przestrzelił pani worka z piaskiem pociskiem karabinowym, a strzała z łuku przejdzie. A tak niewinnie wygląda.

Po 30 latach służby i pracy gdzieś za granicą „na linii”, o czym pan nie opowiada, będzie pan resztę życia strzelał w ogrodzie z łuku?

– Przede wszystkim piszę analizy, ludzie z zagranicy dalekiej się interesują. A o starzych sprawach nie opowiadał, bo ich urok polega też na tym, że zostaną w ukryciu. Jak figury chińskiej armii terakotowej – wyciągnięte z ziemi traciły kolory pod wpływem światła. Niech to zostanie w ziemi, chociaż parę spraw można by wykopać i oczyścić z brudu.

Jak się już mieszka na wsi, to można strzelać z łuku albo bujać się w hamaku. Ale czy to moje ulubione miejsce? Jestem przyzwyczajony do pracy, wędrówki, adrenaliny. Fajnie mi tu żyć, ale może jestem na spokój za młody. Kiedyś aktywność zawodowa to była służba, z której człowiek był dumny, ale też rodzaj sportowej rywalizacji. Dziś zastąpiło ją coś, czego się nie spodziewałem – jak to powiedzieć? – troska o nasze państwo.

Niektórzy chcą się napchać jedzeniem, inni nakraść, a jeszcze inni, jak ja, coś udowodnić. Ja nigdy nie odpuszczałem, bo ojciec mnie gnoił i walczyłem o to, żeby mieć do siebie szacunek. Jak ojciec umarł na COVID, po trzech tygodniach pod respiratorem, osamotniony, to się nie rozplakałem. Był nieobecny w moim życiu. Gdy byłem dzieckiem, jeździł za granicę po galeriach, do Padwy, Mediolanu, Petersburga, Drezna. Siedział w pracowni i malował. I pracował w Ośrodku Informacji i Propagandy Huty im. Lenina. Nie należał do partii, należał do „Solidarności”, ale robił projekty ku chwale socjalizmu. Był uczciwym człowiekiem, ale mnie nie traktował dobrze. Za to mój młodszy brat został, jak on, artystą malarzem.

Przez tatę tak się panu życie ułożyło?

– Ale czy to się nadaje do wywiadu? Ojciec systematycznie mnie poniżał. Ja go odrzuciłem, bo czulem, że inaczej to mnie rozwali. Sport mnie utwardził. Zazdrościłem kolegom, których tatusiowie wracali pijani, byli fajni dla swoich synów, chciałem, żeby mój pil, żeby był taki wyluzowany, a nie na wiecznym wkurwie.

Ku chwale socjalizmu co robił?

– Korzystał z systemu. Miał mieszkanie w Hucie i niezłe zarobki. Pamiętam np. scenografię na obchody rewolucji październikowej w Hucie, był Krawczyk i Żanna Biczewska, portrety na pochody pierwszomajowe, takie pięć na pięć metrów. Nie potępiąłem go. Dopiero w liceum zacząłem być mocno anty – jak dostałem manto od ZOMO i leżałem parę dni, tak mnie spalowali.

Za co?

– Chodziło się na demonstracje, rzucaliśmy kamieniami. Raz oddział ośmiu panów ZOMO szukał niedobitków i znaleźli mnie. Jeden doskoczył, wycelował z bliska takim PM-em z magazynkiem lukowym. Parzę – magazynek lata, czyli bał się go podpiąć, żeby nie padł strzał – i się zaśmiałem. Dowłokłem się do domu, ale nogi, uda miałem czarne, spuchnięte, plecy czarne, wylewy, głowa obita – i to był mój pierwszy kontakt z tamtą władzą. Lekarka mówiła, żeby zrobić obdukcję, bo jak się komuna skończy, to takie osoby będą premiowane. Matka się nie zgodziła, bo nie chcemy problemów.

WŁADZA DOJEŹDŹA NAS PROCESAMI

Dzisiaj ludzie mówią: przestańcie gadać o tej Rosji, PiS nam robi tylko nowy PRL. – Tylko że Marine Le Pen nie ma nic wspólnego z PRL, ale wiele z Putinem. A to tylko fragment polityki PiS w takt „Kalin-ki”. Kaczyński ma PRL-owskie sentymenty i środowisko wokół niego może to wykorzystuje w prowadzeniu ku Moskwie. No

Sprawę rzekomego zgonu handlarza respiratorów objęli ścisłą kontrolą ludzie z Kościoła katolickiego

ale czy Kaczyńskiemu nie śmierdzi rosyjska propaganda? Czy może nie zauważać rosyjskiego oddziaływania? Ani tego, że nieuchronne wpadniemy w objęcia Putina, kiedy się w końcu od tej Unii wyzwolimy? Mógłby to przekreślić jednym słowem. Ale nie. Dlaczego?

Dlaczego?

– Może wpływ Orbána na niego jest tak wielki. Ale to tym gorzej, bo Polska może być elementem gry Orbána z Rosją. Przez te ostatnie siedem lat my i Rosja nie robimy sobie krzywdy, nie wzywamy na dywanik attaché wojskowego Rosji, wzywamy tych z krajów zachodnich. Nie chcemy reparacji z Rosji, tylko z Niemiec. Zgoda Kaczyńskiego na uczestniczenie Polski w korowodach z przywódcami partii proputinowskich, rozmowy o elektrowni atomowej w Kaliningradzie, sprzedaż Lotosu i inne działania, o których mówiliśmy, wskazują na to, że tutaj wręcz podaje się Putinowi rękę. Ciekawa jest sprawa z tłumaczem.

Którym? Jeden to związany z Rosją Michał Gólkowski, który tłumaczył wystąpienie Bidena w Polsce i którego

Kamiński zabrał do Ukrainy. Drugi to oskarżony o szpiegostwo Mateusz Piskorski, tłumaczył rozmowę Agaty Dudy z uchodźcami ukraińskimi.

– Piskorski to typowe zagranie służb rosyjskich ośmieszające prezydenta – naróbmy na wycieraczkę i poprośmy o papier. Face-ta uznawanego za rosyjskiego agenta ustawiono nawet do zdjęcia z prezydentową. On nie dostał się tam przypadkowo. I nie dlatego, że jego żona jest związana z PiS. Ochrona dostaje informacje na temat osób, które będą w pobliżu pani prezydentowej, bo ktoś może mieć np. nóż. Każdy jest sprawdzamy we wszystkich powszechnie niedostępnych kartotekach.

To kto go przepuścił?

– Nie wiem. Ale to wymagało zaawansowanych zabiegów. Jak ja bym to zrobił na miejscu obcej służby, nie powiem. Dla mnie to celowa kompromitacja władz polskich. Pokazali, że można pani prezydentowej strzelić w łeb, jeśli się będzie chciało. Równie dobrze Rosjanie mogli tam postawić Kubę Rozpruwacza. Proszę sobie wyobrazić, że Secret Service dopuszcza do żony amerykańskiego prezydenta agenta rosyjskiego wywiadu albo dżihadystę – czy to możliwe?

A ten tłumacz Kamińskiego?

– Jest powiązany z KTK [Kuzbaska Kompania Paliwowa]. Biorąc pod uwagę jego związki z Rosją i proputinowskie wypowiedzi, służby rosyjskie nie odmówiłyby sobie podejścia do takiej osoby. Dlaczego Kamiński zabrał go do Ukrainy, nie wiem. Jeżeli jego prorosyjskie deklaracje były znane wcześniej, to znaczy, że funkcjonuje taki mechanizm jak kiedyś w przypadku Banasia, tzn. służby nie tykają spraw związanych z wysoko postawionymi politykami PiS. Kamiński nie życzy sobie ingerencji – i wara od chłopaka. Nic, tylko podsuwać takie osoby. Jezu, gdybym był oficerem rosyjskiego wywiadu, to jak bym chciał pracować w takim kraju jak Polska, praktycznie pozbawionym kontrwywiadu. Na takie

Second team, jak ich określił, operuje intensywnie, fachowo.

Skąd ta druga grupa?

– Nie powiedział. Myślę, że mogą to być za niepokojeni sojusznicy z NATO bądź Rosjanie z Serbami. Chcą zdobyć informacje o tym, czy nasze służby sfingowały śmierć handlarza. Bo to wyjdzie.

To co tam się dzieje w służbach?

– Oprócz maskowania się, że są niby antyrosyjscy, przez siedem lat nie byli w stanie wziąć za pysk żadnych ważnych rosyjskich agentów, nie ma żadnych zarzutów karanych. SKW została właściwie rozmontowana. To też ciekawe, po czyjej decyzji polskie służby zostały odsunięte od kontrolowania PiS i są ślepe na to, że PiS przyjął zaproszenie od Rosji i sytuuje nas poza Unią. Kto na górze odpowiadał za decyzję o demontażu kontrwywiadu wojskowego, który ma wiele zadań związanych z bezpieczeństwem teleinformatycznym. Kto rozbroił ABW do tego stopnia, że afera Dworczyka jest możliwa.

Pewnie pan wie kto.

– Wiem tyle, ile zdołam zobaczyć na szachownicy. Ale jeśli się zna reguły, to się dostrzeże coś poza rozrzuconymi pionkami. Władza dojeżdża procesami wszystkich nas ze służb, którzy odeszli, a wcześniej odnosili sukcesy na kierunku rosyjskim. Może chcą nas uziemić. Stosują sztuczki. Np. w jednej ze spraw podważyli wiarygodność dowodów, a w innej uznali je za obciążające. Albo przychodzi informacja o zamknięciu śledztwa przeciwko mnie, ale jestem wzywany i przesłuchany co do okoliczności ściśle związanych z tą sprawą jako świadek, a potem prokurator nadrzędny anuluje zamknięcie sprawy. Chcą ukreślić na mnie bat.

Wielu kolegów, którzy odeszli ze służb przez PiS, jest mocno pod butem. Dostajemy coraz to nowe zarzuty, od siedmiu lat jeździmy na sprawy po całej Polsce – i trwa transfer dokumentacji niejawnej do prokuratury. Tracę pewność, że to sprawa tylko polityczna. Przecież oni wiedzą, że nie zamkną mi ust, nie zastraszą. Może działania prokuratury mają podwójne dno.

Wspomniał pan, że służby rosyjskie zbierają informacje o tym, co robiliście, i że nie może pan o tym mówić.

– Nie mogę. Mogę powiedzieć, że byliśmy skoncentrowani na ściganiu rosyjskiego wywiadu i ryzykowaliśmy. Wielokrotnie.

Pan i koledzy macie sprawy w wielu różnych prokuraturach. Ktoś by tym sterował?

– Dlatego mówilem o interesach, które PiS sobie wymarzył. Jeśli chce się zrozumieć przeciwnika, należy myśleć o jego motywacjach. Uważam, że Rosjanie wykorzystują śledztwa byłych oficerów służb do pozyskiwania informacji dotyczących kierunków zainteresowań polskich służb specjalnych. I to może pani napisać.

Aż dziwne, że tak się uczepili mnie i paru osób działających na kierunku rosyjskim i że zajmują się szczególnym rodzajem spraw. Wszyscy w służbach zdają sobie z tego sprawę – więc to chyba też sygnał dla dzisiejszych kontrwywiadców, że jeśli jest się dobrym na kierunku rosyjskim, to można się sparzyć. Bo tam ciągle są tacy, którzy myślą jak ja.

Po wybuchu wojny wydalone z ambasad rosyjskiej 45 osób.

– Decyzja polityczna. Zawsze można tak zrobić, jeśli jest potrzeba. Na pewno część tych osób zajmowała się działaniami wywiadowczymi na terenie Polski pod przykryciem dyplomatycznym. Z drugiej strony, to zależy od filozofii, ja np. wołałbym mieć ich tutaj. Zobaczyć, co teraz robią. Kontrwywiad nie może truchtać krok za ruchami przeciwnika, tylko powinien być agresywny i dawać przeciwnikowi pole rozkręcenia się. Bo mnie nie interesują dy-

plomaci, którzy wiadomo, co robią. Mnie interesuje, z kim rozmawiają. W czasie wojny lamie się reguły.

Zasada działania agenta jest taka: żeby ci głowy nie obcięli, musisz być niższy, niż jesteś w rzeczywistości. Najlepszy rosyjski agent wpływu to taki, który nie ma żadnych widocznych związków z Rosją.

Po czym poznać agenta?

– Nie odpowiem. Wypracowaliśmy metody, które pozwoliły na identyfikację takich osób, i to dzisiaj element pracy kolegów, którzy zostali w służbach. Mam nadzieję, że nie zapomnieli, od czego są. Wysiłek polega na tym, żeby przy okazji spraw, które się kończyły sukcesem, wychodzić poza uzyskane informacje i budować syntezę: jakie to gatunki zwierza, jak się zachowują i jak je łapać. My, Polacy, byliśmy w tym dobrzy.

MASKI OPADAJĄ

Rosjanie werbują na ideologię, pieniądze, haki?

– No tak, ale przecież nie zdefiniuje się wszystkich niuansów przechodzenia na drugą stronę. Motywacja może być klasyczna, czyli ego, poczucie wyjątkowości. Tacy ludzie sami dają cynk, bywają nadmiernie zadowoleni ze swoich działań. Druga rzecz to pomoc rosyjska w osiągnięciu pozycji politycznej. Zrobisz dla nas to i to, a my ci damy takie wsparcie, że staniesz się ważny. Jesteś w dołku – wyciągnie-my cię z dołka. Agentura to zawsze rodzaj transakcji, ale szantaże, haki – też. No i finanse, trzymanie kogoś na głodzie. Chcesz być ustawiony – możesz być. Idą za tym relacje biznesowe z podmiotami rosyjskimi, korzystne transakcje też w podmiotach zachodnich, zgody, koncesje, promocje itd. Chciwość jest siłą napędową cywilizacji, ale może stać się przyczyną jej zagłady. I na tym poprzestańmy. Chcemy pokazać ludziom pewną prawdę, bo to istotne z punktu widzenia państwa, ale musimy zachować balans, żeby nie zaszkodzić naszym służbom, jakkolwiek są rozbite. Przecież jest jakaś przyszłość poza tą pisowską.

Obserwuję okiem nieuzbrojonym – z pozycji osoby, która ma dostęp do głównie otwartych źródeł informacji, jeśli chodzi o Polskę – ludzi, których nazwisk nie wymienię, a którzy działają aktywnie na rzecz Rosji i wychodzą poza kamuflaż. W czasie wojny maski opadają. Taki agent, który działa w przestrzeni publicznej, musi teraz wspomagać narrację rosyjską.

A te nazwiska, których pan nie wymieni, to które?

– Nie chcę wskazywać ręką na każdą zwierzynę, żeby jej nie płoszyć. Oskarżenie publiczne to nie jest metoda walki z agentami obcych państw. Są ludzie, którzy już systematycznie i otwarcie mówią rzeczy zbieżne z rosyjską propagandą. Moje wątpliwości wzbudzają pojedyncze osoby związane ze środowiskiem medialnym skupionym wokół MON i spraw obronności czy niektóre postaci środowiska geopolitycznego.

Geopolityka jest elementem barbaryzacji relacji międzynarodowych, co nie służy Europie. Kaczyńskiego, który – jak to robią w Rosji – wyśmiewał osoby transpłciowe, dziennikarz Michał Kolanko próbował wypruć z winy, bo liczy się skuteczność. Barbarzyński sposób uprawiania polityki to według niego coś normalnego. Otóż to nie jest normalne. Rosjanom, co wynika choćby z publikacji akademii wojskowych, bliska jest idea azjatyckiego prowadzenia działań militarnych, sztuka wojenna Sun Tzu, gdzie jest dużo o pokonywaniu przeciwnika podstępem. Rosjanie mordują ludność cywilną, gwałcą, rozkoszują się krwawym oblędem – ich najciemniejsze popędy, atawizmy są wykorzystywane, żeby zastraszać Ukraińców. Cel uświęca środki.

Słyszac, że coś jest OK, bo opłaca się politykowi, myślę, jak ta Rosja już w nas jest. Nie przez wojnę, tylko przez taką metodę uprawiania polityki, barbaryzację – a to

nie jest po naszymu. Czy Rosja, która się na tym opiera, zawojowała świat? Nie. Kaczyński nie może się wyśmiewać z osób transpłciowych, bo mu się opłaca. Nasza siła, siła świata Zachodu, opiera się na wartościach. W naszej kulturze nawet w wojsku każdy ciura jest zaopatrzony w rodzaj etosu rycerskiego, że trzeba chronić słabszych itd. Szlachetność jest silniejsza niż ta rzekoma skuteczność, bo jest oparta nie na koncepcji niszczenia, tylko budowania – i dlatego to Zachód jest przyszłościowy, a Rosja nie. PiS właśnie dlatego przegra, że jest taki rosyjski.

A Rosja wygra czy przegra?

– Moim zdaniem Rosja jest bliska upadku, co mówię od lat, patrząc na służby i armię. Rosjanie nie są potworami, jak się ich opisuje. To kwestia dwójmyślenia. Wiedzą, co mają mówić i jak się poruszać, żeby przeżyć. Wiedzą, że ich życie mogłoby być inne, co było widać w czasie protestów za Nawalnym. Rosyjskie służby boją się np. odłączenia obwodu kalininingradzkiego od Rosji. Dla nas to niezatapialny krążownik zakotwiczony przy naszej granicy, przeznaczony do militarnego uderzenia na Polskę, Europę. Tam są ważne obiekty wywiadowcze, jednostki, które biorą udział w wojnie psychologicznej, co dopełnia obrazu wojskowej atmosfery. Ale to obraz nie do końca prawdziwy, ruchy separatystyczne w Kaliningradzie występują, tyle że my o tym nie wiemy. Przyjeżdżali do nas Rosjanie z obwodu kalininingradzkiego, robili zakupy i to wystarczyło, żeby Rosjanie uznali to za zagrożenie, bojąc się o Kaliningrad.

Akurat PiS parę lat temu wstrzymał ten mały handel graniczny.

– Nam by się opłacało tam zajrzeć teraz. Rosję należy odciąć od Europy w sensie gospodarczym i kulturalnym. Żadnych kontaktów i ograniczenia wizowe z wyjątkiem wiz dla opozycjonistów. Izolacja przyspieszy rozwój wypadków. Oczywiście, że to ryzyko, ale bardziej ryzykowne jest odpuszczenie Putinowi. Miedwiediew odwiedził dwa ośrodki fizyki nuklearnej i powiedział, że Rosja ma odpowiedź na „zagrożenia” z Zachodu. Rosjanie mogą np. użyć bomb walizkowych, głowic o niskiej mocy, do zburzenia mostu czy wysadzenia budynku. Utrzymywaliby, że to wybuch konwencjonalny, ale amerykańscy specjaliści odnotowaliby małą eksplozję nuklearną. Byłoby to eskalacyjne użycie broni atomowej. Dlatego trzeba ich odciąć od tlenu i dać działać procesom wewnętrznym, bo bez Zachodu Rosja nie przetrwa.

Rozmowy Macrona i Scholza z Putinem to zmiękczenie, modelowanie przyszłości w kierunku dealu: nie skreślamy cię, możesz dalej rządzić, może powstrzymamy sankcje. Co by świadczyło o tym, że Unia słabnie i chce interesów z Rosją. Na to będzie liczył PiS. Niestety. Bo to dla nas fatalne rozwiązanie, które daje Putinowi pole do dalszych działań.

Śmierć córki Aleksandra Dugina coś w Rosji zmienia?

– Zdjęcia samochodu i zwłok, a także obrażenia Darii Dugin świadczą, że był to ładunek umieszczony wewnątrz samochodu pod siedzeniem kierowcy. Jeśli celem miał być Dugin, to ktoś, kto by zobaczył jego córkę, nie uruchomiłby ładunku – zwykle musi być potwierdzenie celu. Wersja, że stoją za tym Ukraińcy, wydaje się najmniej prawdopodobna. FSB albo GRU? Nie wierzę w taką autonomię tych służb, że ktoś chciał Putinowi zagrozić, przestraszyć oligarchów i doprowadzić do zakończenia wojny. Analitycy zachodni są innego zdania – że może to początek zrywu wewnętrznego. Dla mnie podejrzanym jest sam Dugin. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale mówimy o Rosji.

Co by mu to dało?

– To były satanista, faszysta, fan książek o magii Aleistera Crowleya. Cwaniak, który dociera do Rosjan z mistyczną ideą odbudowy rosyjskiego imperium euroazja-

tyckiego. I teraz jego dzieło życiowe może się dopełnić, wszystko zależy od przejścia Ukrainy. Ale Dugin nie uczestniczy w tym tak, jak by chciał, nie ma dostępu do Putina. Tragiczna śmierć córki, o którą łatwo obwinić Ukraińców, może być zdarzeniem symbolicznym. On ponosi największą ofiarę i staje się postacią pierwszoplanową – to mi do Dugina pasuje.

Paweł Lisicki, naczelny „Do Rzeczy” – który zresztą publikował wywiady z Duginem – uważa, że Rosja napadła na Ukrainę, bo USA ją dozbrajały, i Ukraina musi w końcu pójść na kompromis

PiS dojeżdża procesami wszystkich nas ze służb, którzy odnosili sukcesy na kierunku rosyjskim

z Rosją. Co wtedy z Polską?

– Po wybuchu wojny „Do Rzeczy” puściło kuriozalny tekst o tym, że Putin wysłał wojska do Ukrainy w odpowiedzi na prośbę przywódców republik donieckiej i ługańskiej. A przed wojną oswajało nas z „konservatyzmem” Putina. Coraz swobodniej działają u nas osoby, które reprezentują idee rosyjskie. W PiS chyba serio myślą, że będą rządzić 200 lat, i budują nowego Polaka, biernego, niewykształconego, powołnego władzy, z ograniczającymi potrzeby zahamowaniami.

Przewiduję, że nastąpi jednak separacja Rosji, a Putin, tocząc wojnę, będzie musiał pokazywać sukcesy. Wzrośnie aktywność agentury, szczególnie agentów wpływu. Będzie więcej takich akcji jak Poufna Rozmowa.

Jeśli PiS zdoła wypruć Polakom mózgi – a już teraz zmieniają nas w wory, które interesuje tylko napelnianie brzucha – to Rosjanom będzie łatwiej wejść z szerokim oddziaływaniem. To może się stać jeszcze za naszego życia. Pięć lat temu było nie do pomyślenia, że polscy politycy mogą się tak zachowywać wobec Rosji. Niestety, złych informacji jest tak dużo, że czyścimy głowy z bagażu. Kto pamięta o masie afer PiS? Większości ludzi to się nie układa w żaden ciąg zdarzeń – a przecież one tworzą całość.

Druga rzecz, którą robi Rosja: w krajach Europy Wschodniej będą lokowani ludzie Kremla, którzy funkcjonują na terytorium USA, nastąpi przesunięcie kadrowe. Nie mówię o oficerach wywiadu, ale przyjadą tu ich aktywa agenturalne. Myślmy, że jak koleś ma certyfikat ze Stanów, bo siedział tam w jakimś think tanku, to jest OK – a to czasem pranie agentury w nurtach rzeki Hudson czy Potomak.

Trzecia rzecz, najgorsza: spodziewam się zamachów terrorystycznych na terenie Europy. FSB ma agenturę uplasowaną też w islamskich organizacjach terrorystycznych. Mogą robić zamachy pod obcą flagą. Teraz nie mieści nam się to w głowie, ale wcześniej czy później Rosjanie to uruchomią. Wojny – Syria, Ukraina – zmieniają kulturę organizacyjną w służbach. Putinowi się spodobało, że z GRU zrobili się mordercy. Po Ukrainie ci goście będą gotowi wykonywać bardzo ryzykowne zadania za granicą. Bo są służby, które siedzą po ambasadach, czasem wyjdą na raut i robią kompilacje z internetu. A są takie, które uczestniczą w operacjach kinetycznych, jak te w Izraelu. W Ukrainie wszystko jest skąpane we krwi, rosyjski wywiad prowadzi brutalne przesłuchania – to będzie zbieranina bandytów. Jeżdżą tam zresztą moi koledzy, ale nie będziemy o tym mó-

wić. PiS nie chce zmienić przepisów i może im postawić zarzuty za służbę w ukraińskim wojsku.

Dziwne, że PiS nie chce abolicji dla Polaków walczących w Ukrainie. Senat przyjął projekt ustawy, ale marszałek Witek to blokuje.

– Chłopaki się martwią, że kiedyś ktoś ich za to chwyci. Jakoś nie ufają PiS.

W litanii przewin PiS jest też to, że dał swobodę organizacjom silnie antyukraińskim, np. Obóz Wielkiej Polski – jaka tam jest nienawiść. Są też grupy antyszczepionkowców, które rozsiewają informacje

przeciw Ukraińcom. PiS z tym nic nie robi – jakby chcieli utrzymać ten potencjał.

Duda ściska się z Zelenskim, ale dla Morawieckiego czy Kaczyńskiego to nic nie znaczy. Moim zdaniem PiS uruchomi niezadowolone z bytności Ukraińców tutaj – żeby to oni byli winni naszej biedy. Bo zabierają miejsca pracy, bo kolejki, bo kryzys.

Nie widzę, żeby jakąś strategię miał tu prezydent Duda, on robi wrażenie kogoś, kto dobrze się bawi. Przypomnę, że ani prezydent, ani premier nie zareagowali, kiedy w grudniu 2021 r. Rosjanie postawili ultimatum państwu NATO z żądaniem resetu naszych ustawień obronnych do 1997 r. Wtedy uznałem, że będzie wojna, bo Rosjanie się z tego nie wycofają.

Jestem optymistą, ale w głębi duszy się boję, że to pójdzie w złym kierunku. Dawniej nigdy tak nie myślałem. Poszliśmy do służb, żeby służyć krajowi, ale nie było czegoś takiego, żeby się bać, co tu się stanie. Dużo Biden zmienił, ale on jest stary. Boję się, że znowu historia zatoczy koło, znowu tu będą autorytaryzmy, aż rozbije się to o jakieś wojny. Ja już nie będę żył, ale przyszłe pokolenia znowu dojdą do konstatacji, że aby dobrze żyć, trzeba układać się z innymi w sposób cywilizowany. Że nie wolno wierzyć fałszywym prorokom, którzy twierdzą, że mają coś do zaoferowania, ale mają tylko coś do zabrania. Bo co nam daje PiS? Jak długo można Polskę okradać? Kiedyś w końcu ta kura czy świnka, której się upuszcza krew, po prostu umrze. Co wtedy? Rosja. ●



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Gen. Piotr Pytel

• ur. w 1967 r., absolwent psychologii na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1994-99 pełnił służbę w Urzędzie Ochrony Państwa. W 1998 r. ukończył z wyróżnieniem kurs oficerski UOP. W latach 1999-2003 pracował w Generalnym Inspektoracie Celnym. Od roku 2003 do 2008 służył w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a potem w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, której w latach 2014-15 był szefem. Po przejściu władzy przez PiS w 2015 r. odszedł ze służby. Odznaczony m.in. Brązowym Krzyżem Zasługi i brązowym medalem „Za Zasługi dla Obronności Kraju”

N A S Z A E U R O P A

80 lat Wernera Herzoga

KAŻDY DLA
SIEBIE, A BÓG
PRZECIWKO
WSZYSTKIMŻałuję tylko jednego: że Mick Jagger
wyjechał z planu „Fitzcarraldo”.

FOT. JEAN-LOUIS ATLAN/GETTY IMAGES

Hanns-Georg Rodek, Martin Scholz

WELT

Na potrzeby swojego najsłynniejszego filmu (czyli nagrodzonego w Cannes „Fitzcarraldo”; na zdjęciu Herzog na jego planie) kazał wciągnąć parowiec na górę w środku Amazonii – co do dziś pozostaje symbolem odwagi, z jaką podchodzi do swoich projektów. Filmowiec i poszukiwacz przygód Werner Herzog 5 września skończył 80 lat, w ciągu których nakręcił ponad 80 filmów, fabularnych i dokumentalnych, często o ludziach w ekstremalnych sytuacjach. Od owładniętych szaleństwem konkwistadorów po obrońcę praw zwierząt zjedzonego przez niedźwiedzie grizzly. W Niemczech urodzony w Bawarii twórca długo uważany był za modelowego dziwaka kina autorskiego. W USA jest jednak czczony zarówno jako reżyser, jak i aktor, ze swoim charakterystycznym akcentem pojawia się i w „Gwiezdnym wojnach”, i w „The Simpsons”.

W swoich wydanych właśnie wspomnieniach „Jeder für sich und Gott gegen alle” (Każdy dla siebie, a Bóg przeciwko wszystkim) pisze o licznych przekroczeniach granic w swoim życiu, w którym nie brakowało momentów – jak przyznaje – „absurdalnych i zwyczajnie głupich”. Podobnie jak w swoich wcześniejszych książkach udowodnia, że jest świetnym opowiadaczem nie tylko na ekranie. Dziś mieszka w Los Angeles, pośród regałów ze starannie posegregowanymi książkami. Wszystko tam wydaje się bardzo uporządkowane. Ale to wrażenie jest zwodnicze.

...

Wygląda pan na zmęczonego...

– Dziękuję. Spałem na zewnątrz.

Dlaczego?

– Bo moja żona ma COVID.

To duży dom, nie dałoby się wyseparować dwóch części?

– Jasne, ale byłoby to trudniejsze. A tak wystarczyłby moskitiera i ogród.

W swojej nowej książce cytuje pan zdanie matki o panu: „On wie. Widzi. Rozumie. Ale nie potrafi wyjaśnić”. Czy ta książka jest próbą wyjaśnienia, co właściwie panem kieruje?

– Nie przypisywałbym jej takiego znaczenia. Po prostu siadłem i napisałem ją za jednym zamachem. Zasadniczo jej tekst był we mnie. Chodzi nie tylko o szczegóły biograficzne, ale też o język, nazwijmy to literaturą. Poglądy mam mocno zakotwiczone w sobie, więc łatwo mi je formułować. Ponadto ja zawsze byłem kimś, kto pisał, w zasadzie cały czas.

„Świat otwiera się przed tymi, którzy przez niego idą” – pisze pan w innym fragmencie, a także: „Moje filmy zawsze były robione na piechotę”. Wędrowka jednak, w dosłownym sensie, nigdy nie była dla pana celem samym w sobie. Czym dokładnie jest – inspiracją, ofiarą, pielgrzymką?

– Słowa o „filmach na piechotę” trzeba oczywiście rozumieć jako metaforę. Natomiast jeśli chodzi o chodzenie: ważne rzeczy w życiu osiągałem, idąc. Wiem, że w przeciwnym razie zgnuśniałbym, bo jestem leniwy jak każdy.

Wspomina pan, że pisarz Bruce Chatwin był jedynym znanym panu twórcą, który podzielał tę pasję do wędrowania. Oraz że ze wszystkich posiadanych przez pana rzeczy materialnych to właśnie stary plecak Chatwina jest najcenniejszy. Dlaczego?

– Plecak zawsze stoi tutaj, dwa metry obok mnie... Okoliczności, w jakich otrzymałem go w prezencie od Bruce’a, były niezwykle. Był już umierający, ale bardzo chciał zobaczyć film, który właśnie skończyłem, o koczowniczym ludzie z południowej Sahary. Ciągłe odpływał w nieświadomość, a kiedy się budził, mówił: „Dalej, dalej, puszczaj!”, a potem oglądał kolejne dziesięć minut. W gorączkowym delirium krzychał: „Muszę być znów w drodze!”. A potem: „Mój plecak jest za ciężki”. Powiedziałem mu: „Mogę go dla ciebie ponieść. Jestem silny i szybko chodzę”. Wtedy nagle jakby uświadomił sobie, że umiera, i po-

wiedział: „OK, teraz ty musisz nieść plecak”. Obaj mieliśmy wynikające z doświadczenia przekonanie, że świat i jego najgłębsze sensy otwierają się przed tymi, którzy przemierzają go na piechotę. I chodziło nam nie o jednodniowe wycieczki turystyczne, ale o faktyczne przebywanie w trybie na piechotę, bez względu na dystans do przemierzenia.

Wiemy o dwóch pana wielkich marszach: szlakiem z Monachium do Paryża, co ślubował pan, jeśli ciężko chora historyk filmu, pana podziwiana przyjaciółka Lotte Eisner, wyzdrowieje, oraz – jeszcze na długo przed zjednoczeniem – marsz dookoła Niemiec.

– Ówczesny kanclerz Willy Brandt ogłosił wówczas przynajmniej czasowe zamknięcie kwestii jedności Niemiec, podobnie zresztą jak pisarze tacy jak Günter Grass. I powiedziałem sobie: „To błąd, bo chodzi o sprawę donioślejszą, wykraczającą poza codzienną politykę”. Pewnie dopiero, gdy upadł mur, stało się to widoczne i namacalne, jak głęboko zakotwiczona była wzajemna tęsknota w podzielonym narodzie niemieckim. Mówię to bez cienia skłonności do nacjonalizmu. Nie uważam się nawet za Niemca tak bardzo jak za Bawarczyka.

Jaki był plan?

– Prosty: obejść zarówno Republikę Federalną, jak i NRD, spinając je symboliczną klamrą. Nie mogłem tego jednak dokończyć, bo zachorowałem, idąc granicą z Danią, i na tydzień wylądowałem w szpitalu. Nigdy później nie podjąłem tej drogi. Zresztą wiem, że w NRD by mi na to nie pozwolili, bo nie wolno było wtedy chodzić sobie wzdłuż Bałtyku. Zbyt wielu uchodźców z komunistycznego raję wiosłowało w gumowych pontonach w kierunku Szwecji. Ale o tym dowiedziałam się dopiero później.

Biorąc pod uwagę ciągle napięcie, społeczne i polityczne, które istnieje nadal między wschodnią a zachodnią częścią Niemiec, czy uważa pan, że taki projekt warto by powtórzyć?

– Nie, to zupełnie naturalne, że istnieją różnice regionalne. Nie uważam tego za niepokojące. Podobnie jak tego, że jako Bawarczyk żywię pewien sceptycyzm wobec Nie-

miec jako całości. Przy czym oczywiście zdaję sobie dobrze sprawę z tego, że powojenne doświadczenia Niemców wschodnich przez kilka pokoleń były zupełnie inne. To, że tamtejsi ludzie niosą to ze sobą w bagażu, jest zrozumiałe.

Inne uderzające zdanie w pana książce brzmi: „Prawda nie musi się zgadzać z faktami”. Od lat prowadzimy niekończące się debaty o tym, czym jest prawda, głównie polityczne. Pan, jak się zdaje, widzi to nieco bardziej filozoficznie.

– Pytanie, czym jest prawda, jest fundamentalne dla cywilizacji, dziś ma również wymiar doraźnie polityczny. Ale skoro mowa o politycznych fake newsach, to mamy z nimi do czynienia, odkąd istnieje pismo. Egipski faraon kazał uczcić w reliefach swoje wielkie zwycięstwo nad Hetytami – tymczasem wiemy skądinąd, że doszło do bitwy, ale nie miała ona zwycięzcy. A po gwałtownej śmierci cesarza Nerona w północnej Grecji i Azji Mniejszej pojawiło się naraz kilku fałszywych Neronów, wierzone tam, że cesarz sfingował samobójstwo, więc samozwańcy pozwalali się jakiś czas czcić i karmić. No, ale ostatecznie wszyscy zostali powieszani lub spaleni.

Czyli istnieje jakaś prawda poza tym, co widać i da się sprawdzić?

– Jestem człowiekiem kina i literatury, jasne, że uważam, iż powinniśmy patrzeć uważnie, nie poprzestawać na dostępnych faktach. Bo fakty generują normy, ale niekoniecznie prawdę. W przeciwnym razie książka telefoniczna na Manhattanie ze swoimi czterema milionami wpisów byłaby księgą wszystkich ksiąg, ponieważ każdy wpis jest w niej poprawny. Ale to nas w żaden sposób nie oświeca. Nie daje nam wglądu w rzeczywistość. Nie wiemy, dlaczego pan John Smith, jeden z 400 Johnów Smithów, co noc płacze w swojej poduszce. Mammy zaledwie jego adres i numer telefonu.

Jest takie piękne zdanie André Gide’a: „Zmieniam fakty w taki sposób, że bardziej przypominają prawdę niż rzeczywistość”. Nie da się tego ująć lepiej. Weźmy „Pietę” Michała Anioła, najwspanialszą ze wszystkich rzeźb. Oblicze Jezusa ukazuje 33-letniego umęczonego człowieka. Ale jeśli spojrzeć

NASZA EUROPA

na twarz matki, widzimy dziewczynę w wieku 15 lat. Czy Michał Anioł próbował wciśnąć nam fake news? Nie, chciał dać głębszy wgląd w naturę Jezusa i naturę Marii poprzez stosowną modyfikację faktów. Dokładnie to samo robię w swoich filmach. Nawet jeśli moje kino się zmieniło w ostatnich dekadach. Na szczęście. Dawne cinéma-vérité nie ma już żadnego znaczenia. To była odpowiedź kontrkultury lat 60. na wojnę w Wietnamie.

Nie wzdragał się pan nigdy przed różnego rodzaju przekroczeniami, stanami wyjątkowymi.

– Bo osobisty przykład to najbardziej naturalny ze wszystkich sposobów, kiedy trzeba wydać trudne polecenie aktorowi. W jednym z filmów mój główny aktor Christian Bale musiał jeść żywe larwy. Jako reżyser nigdy nie proszę aktora o zrobienie czegoś, czego sam bym nie zrobił. W związku z tym demonstracyjnie wyjąłem mu łyżkę z ręki i powiedziałem: „Zobacz, to absolutnie nie szkodzi, nie są trujące”. Na co on szybko wziął ode mnie ponownie tę łyżkę i powiedział: „Dobra, włącz kamerę i idźmy dalej”.

A ten epizod na planie pana bodaj drugiego filmu, „Nawet karły były kiedyś małe”, gdzie po dwóch wypadkach obiecał pan ekipie, że nagi wskoczy w kaktusy, jeśli wszyscy przeżyją krytyczną scenę – i zrobił pan to...

– Przywołujecie tu najblaszse anegdotki...

Ale co do „Karlów”, chodzi o coś innego: jeśli spojrzeć na obecne mechanizmy debaty publicznej, dziś sam tytuł wywołałby pewnie burzę w sieci, falę komentarzy, potępień i głosów wsparcia...

– Borykałem się z gównoburzami często, od „Karlów”, przez „Aguirre”, po „Fitzcarraldo”. Był nawet proces przeciwko mnie, publiczny, z oskarżeniem – absurdalnym – że zaangażowani przeze mnie Indianie skończyli przez moje polecenia w więzieniu. Czasem nawet byłem atakowany fizycznie. Te rzeczy mnie nie przygnębiały i nie wpływały na mnie, bo zawsze wiedziałem: czas jest po mojej stronie. I w końcu zawsze okaże się, że to ja miałem rację.

Czy to oznacza, że jest pan dość zahartowany, żeby móc patrzeć na dzisiejsze spory z równie stoickim spokojem?

– Internet i media społecznościowe zmieniły naszą cywilizację. Ponieważ prawie cała populacja zyskała platformę ekspresji, widoczne stają się wszelkie nastroje, poglądy i podłości. Nagle wynurzyły się na powierzchnię. Trzeba się z tym pogodzić. Moim sposobem jest przede wszystkim rezygnacja z obecności w mediach społecznościowych. Na Facebooku i Twitterze są rzekomo moje konta, ale to fałszywki. To mi nie przeszkadza, skoro i tak nie mam na to wpływu. Mam wpływ na to, czego używam, a czego nie, np. telefonu komórkowego. Za dużo pokus.

Nadmienia pan w książce, że irytuje pana niemieckie przywiązanie do komfortu. To dość dobrze pasuje do obecnych debat na temat koniecznych wyrzeczeń. W związku z brakiem gazu z Rosji spowodowanym wojną w Ukrainie politycy od tygodni przekonują ludzi do zaakceptowania wzrostu kosztów i zaklinają, by przygotować się na chłodniejszą niż zwykle zimą. To się wielu nie podoba.

– Nie da się wyjaśnić w jednym wywiadzie, jak działa świat. Ale może trzeba też dostrzec dobrą stronę sytuacji, abstrahując od strasznego wojennego tła. Mianowicie, że nie będzie źle, jeśli trochę ograniczymy spożycie. Największym problemem ze wszystkich jest to, że jest nas za dużo jak na nasz łapczywy styl życia. To jest niepokojące. Świat, który zamieszkujemy, powinien posiadać półtora raza więcej zasobów, żebyśmy mogli swobodnie żyć tak jak dotąd. Wszystkie kryzysy klimatyczne i ekolo-

giczne dałoby się ograniczyć, gdybyśmy powściągnęli swój konsumpcyjny nałóg.

Wspomina pan niedostatki własnego dzieciństwa i młodości. Bochenek chleba, który pańska matka dostawała raz w tygodniu w piekarni i na którym wycinała po jednej kresce na każdy dzień tygodnia.

– Jasne, ja po prostu mam doświadczenie, którego dzisiejsze pokolenia zwykle nie mają. Ale nie wymagałbym, żeby każdy teraz obchodził się jednym bochenkiem tygodniowo. To nie jest możliwe ani konieczne. Kiedy piszę w książce o kulturze narzekania, mam tak naprawdę na myśli młodych ludzi filmu, którzy ciągle jęczą: „Przemysł filmowy nie zapłaci za mój projekt, przemysł filmowy nie zrobi tego czy tamtego”. Ja wtedy mówię: zakasaj rękawy, zarób trochę najpierw. Dziś za 10 tys. euro można zrobić półtoragodzinny dokument, a za 50 tys. – film fabularny.

Nawiasem mówiąc, to pochlipywanie jest powszechne nie tylko wśród młodych ludzi filmu, dotyka również najbardziej utulowanych reżyserów w Hollywood, z których niektórzy również tylko narzekają: „Tak, ciągle jestem zmuszany do zrobienia tego czy tamtego. Taki artysta jak ja nie jest traktowany poważnie. Cały czas muszę robić te komercyjne bzdury”. Nonsens. Wszyscy oni mogliby zrobić film bez przemysłu, bez ograniczeń, które się z nim wiązą.

Z grubsza rzecz biorąc, robi pan filmy bez udziału przemysłu od co najmniej 40 lat, prawda?

– Oczywiście zawsze były kontakty z branżą, która czasami również o mnie zabiegała. A to dlatego, że wyróżniam się jako opowiadacz. Nie jestem dobry w efektach cyfrowych ani w prowadzeniu gwiazd, chociaż pracowałem też z gwiazdami, Nicole Kidman czy Isabelle Adjani.

W 1992 r. nakręcił pan dokument „Lekcje ciemności” o płonących polach naftowych w Kuwejcie. Czy nowa zimna wojna, wojna w Ukrainie to tematy, które interesują pana jako filmowca? A może te konflikty są jeszcze zbyt aktualne?

– Nie. Kuwejt również był aktualny, kiedy tam filmowałem. W tym czasie cały kraj płonął. Ale mniej interesowała mnie tamtejsza sytuacja jako zjawisko polityczne; widziałem tam świat, który nie był już rozpoznawalny. Widać to w moim filmie: nie ma w nim ani jednego ujęcia, w którym można by jeszcze rozpoznać naszą planetę. Dla mnie to, co się tam stało, było zbrodnią, która z pewnością miała charakter polityczny – ale dla mnie miało to już wymiar kosmiczny. Zbrodnia przeciwko samemu stworzeniu. Było to tak potworne, że naprawdę mogło się zdarzyć tylko w kosmosach science fiction.

Natomiast robienie filmów o obecnej sytuacji w Ukrainie to na razie zadanie mediów, telewizji. I one starają się z tym nadążyć.

W swojej książce pisze pan, że cały wiek XX uważa pan za błąd, w całości. – To pewnie prowokacyjny sposób ujęcia historii najnowszej, bo przecież ani ja, ani wy nie chcielibyśmy zapewne żyć w XVIII, XV czy V wieku, każdym na swój sposób strasznym. Ale XX wiek to próby wprowadzenia w życie wielkich utopii, co zawsze kończy się katastrofą. Holokaust nie jest tylko zbrodnią, ma wymiar, którego nigdy wcześniej nie znaliśmy: uprzedyslowienie ludobójstwa. Nigdy w historii świata nie było czegoś porównywalnego. Nigdy. Ponadto wydarzyły się inne straszne, niespotykane wcześniej rzeczy, od bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki po dziesięciokrotny wzrost populacji świata. Bilans XX wieku jest obezwładniający.

Zdefiniował pan kiedyś swoją twórczość filmową zdaniem: „Zawsze chciałem utrzymać placówki, które wszyscy inni już porzucili”.

– Nigdy nie rezygnowałem z obranego planu, by gończy za trendem. To fakt, ale czy prawda?

Większość ludzi zarzuciłaby projekt „Fitzcarraldo” w dżungli, gdy pierwotny odtwórca głównej roli Jason Robards ciężko zachorował. Bo trzeba było powtarzać wszystko od nowa, już z Klaussem Kinskim.

– Tu pewnie w grę wchodzi kategoria obowiązku, powziętego zobowiązania. Pyta-li mnie, po co przerzucać prawdziwy statek przez prawdziwą górę w prawdziwej dżungli. Tanimi sztuczkami technicznymi można było przeciągnąć model statku przez wzgórze w ogrodzie botanicznym, owszem. Ale to właśnie dzięki trudom doświadczonym w Amazonii z tego filmu wyłoniła się głębsza prawda. Taki był plan.

Mick Jagger zagrał w pierwszym podejściu do tego filmu, u boku Robardsa. Ale gdy Robards zachorował, także Jagger wyjechał z planu, nie chciał opóźniać trasy koncertowej Rolling Stonesów. Kiedyś określił go pan jako „tragiczną lukę w historii filmu”. Był aż tak dobry?

– Miałem Micka na kontrakcie do „Fitzcarraldo” i był tak dobry, że kiedy w połowie zdjęć trzeba było przefasonować cały projekt, powiedziałem mu: „Skoro okazałeś się tak niezwykły i niezastąpiony, to wcale cię nie zastąpię”. Wykreśliłem jego rolę ze scenariusza i zacząłem całosc od nowa z Klaussem Kinskim.

Uważam, że Mick Jagger miał absolutny talent aktorski i dziwię się, że kino go w zasadzie pominęło.

Na YouTube jest kilka scen z Robardsem i Jaggerem z tej pierwotnej wersji „Fitzcarraldo”. Nie myślał pan o zebraniu tego w jakąś paradokumentalną całość?

– Nie, wyrzuciłem wszystko. Przechowywanie i konserwacja negatywu filmowego kosztuje. A ja nie miałem wtedy tych pieniędzy ani nie chciałem ich na to wydać, bo zawsze wszystko od razu inwestowałem w nowe filmy. Stolarz też nie trzyma wiórów z drewna.

Więc nie ma nawet jednej kopii?

– Nie, ale istnieje film dokumentalny o Kinskim, „Mój ukochany wróg”. I są tam migawki z Jasonem Robardsem i Mickiem Jaggerem. Przekazałem te materiały mojemu koledze Lesowi Blankowi, aby mógł je wykorzystać.

W opublikowanym w 1982 r. dokumencie „The Burden of Dreams”.

– Właśnie. A wiele lat później powiedziałem mu: „Les, jesteś jedynym człowiekiem, który wciąż ma w szufladzie resztki tego materiału, zredukowane do 16 milimetrów. Sam bym tego teraz potrzebował do nowego projektu”. A on na to: „Będziesz musiał go ode mnie kupić”. „Ty draniu – uniosłem się – pozwoliłem ci wtedy korzystać z niego za darmo. Ale teraz będzie cię to kosztowało skrzynkę piwa”. Uległ więc i oddał mi materiał. I skrzynkę piwa ostatecznie też.

Szczerze mówiąc, trochę szokuje nas teraz, że to 45 minut z Robardsem i Jaggerem nie przetrwało z powodu braku kasy. To znaczy, że ważna część jednego z najbardziej ikonicznych dzieł w historii kina została bezpowrotnie utracona.

– Bez przesady, to były tylko outtakes, próby. Nie ma co płakać za takimi rzeczami. Nie można zapominać, że początkowo finansowałem tę produkcję z własnej kieszeni. A była na tyle płytka, że musiałem wtedy mieszać w czymś w rodzaju przerobionego kurnika. Ze szczurami biegającymi po dachu zrobionym z papier mâché nade mną. Pamiętam, jak na targu wymienilem bardzo

dobry szampon i odżywkę na cztery kilogramy ryżu. Przez trzy tygodnie żyłem na czterech kilogramach ryżu. To także część fabuły „Fitzcarraldo”.

Steven Spielberg pracuje obecnie nad filmową formą pamiętnika: reżyseruje film, w którym opisuje siebie jako nastolatka. Jak by pan zareagował, gdyby jakieś studio zaproponowało panu wyreżyserowanie młodości Wernera Herzoga?

– Nigdy bym tego nie dotknął, nawet szcypcami. I dopóki żyję, będę wiedział, jak takim pomysłem zapobiec.

Micka Jaggera wyprzedza pan o rok. On ostatnio przeszedł kilka kilometrów po ogromnej scenie pod gołym niebem na koncercie Stonesów przed 50 tys. widzów w Gelsenkirchen, dzień po swoich 79. urodzinach.

– Pytacie, czy czuję się stary? Ja wiem, że jest kalendarz, który muszę uznać. Ale żyję trochę jak matka, która organizuje czas i wspomnienia wokół narodzin swoich dzieci: „Ach tak, to było rok przed narodzinami mojej pierwszej córki, wtedy zrobiłam to i tamto. A to zdarzyło się w czasie ząbkowania trzeciego syna”. Tylko tak liczę, gdy myślę o upływie czasu. W tym roku zrobiłem dwa filmy i opublikowałem dwie książki. To jest mój rok.

To odliczmy teraz wstecz. W młodości brał pan udział w konkursie literackim organizowanym przez bawarskie radio. Podawano pierwsze pół zdania, a potem trzeba było rozwinąć historię. Tamto wtedy brzmiało: „Młody człowiek stał na środku...”. Gdyby dziś ponownie wziął pan udział w takim konkursie, a pierwsze zdanie brzmiałoby: „Pewien starzec stał na środku...” – jak dalej potoczyłaby się ta historia?

– W takich konkursach bierze się udział tylko wtedy, gdy jest się bardzo młodym albo gdy idzie o grubszy zakład. Tamten konkurs był skierowany do osób poniżej 25. roku życia. Dziesięciu najlepszym przyznano nagrody. Założyłem się więc i powiedziałem: „Wyślę pięć zgłoszeń, każde pod innym pseudonimem – i z każdym z nich wygram”. Przegrałem, bo nagrodzono tylko cztery z tych pięciu. Ale już wtedy wiedziałem, że jestem wyjątkowym autorem. W ogóle nie znając innych. Tak zresztą jest do dziś. Jeśli spojrzeć na moje książki z czysto literackiego punktu widzenia, to sprawa jest absolutnie jasna: nikt nie pisze tak jak ja. Co nie znaczy, że piszę dobrze.

Wspomina pan o jeszcze kilku fantastycznych projektach, które chciałby pan zrobić. Pomysły, które poprzedzały pana najsłynniejsze filmy, zawsze przychodziły do pana „z tak ogromną siłą, że nie było wyboru i trzeba było je zrealizować”.

– I do dzisiaj tak jest. Dlatego nigdy nie zrobiłem prawdziwej kariery. Kariera oznacza, że planujesz z wyprzedzeniem i odhaczasz punkty planu. W ten sposób pracował na przykład Bernd Eichinger: co roku przeglądał listy książkowych bestsellerów, nabywał prawa, a potem robił z nich filmy. To jest kariera, dobrze zaplanowana, toteż się udała. Gratuluję. Ale ja tak nie funkcjonuję.

Mam teraz pomysły na pięć filmów fabularnych. Mogłbym zacząć jutro, gdybym miał finansowanie. Część z nich jest opisana w książce. Ale są też inne rzeczy, o których milczę.

Dlaczego?

– Bo potem przez kolejną dekadę w internecie jest szum, że robię to czy tamto. Ale może w ogóle tego nie robię, bo to nie jest opłacalne? Albo dlatego, że jakieś okoliczności zmuszają mnie do nagłego zrobienia czegoś innego szybciej? Problem polega na tym, że nigdy nie jestem wystarczająco szybki. To jak spacer wzdłuż rzeki, ona zawsze płynie szybciej i wytrwalej. ●

P „Pięć lat minęło, odkąd spędziłam niezręczną noc ze studentem, który pisał do mnie przez rok, prosząc o spotkanie. Czasami uprawiam seks, żeby zmusić się do pisania” – pisze 82-letnia Annie Ernaux.

Najpierw, jeszcze w maju, ukazała się nowa powieść 82-letniej Annie Ernaux o romansie starszej pisarki i młodego mężczyzny. Nieco później, w czerwcu, w wieku 91 lat zmarł Jean-Louis Trintignant. A 14 września – 92-letni Jean-Luc Godard. To jedne z najważniejszych wydarzeń we francuskiej kulturze tego sezonu. Wylania się z nich jedna opowieść o postrzeganiu starości we Francji. A różni się ono znacząco od polskiego.

ANNIE ERNAUX. ABORCJA, INICJACJA SEKSUALNA, ŚMIERĆ OJCA

Zacznijmy od Annie Ernaux. Jej twórczość – trudno powiedzieć dlaczego – pozostaje w Polsce nieznaną. Choć jest obecnie najważniejszą współczesną pisarką francuską, to na polski przetłumaczono tylko jedną jej powieść (na początku roku Czarne wydało „Lata”). Krótka biografia: urodziła się w Lillebonne w Normandii w 1940 roku, w skromnej rodzinie sklepikarzy. Studiowała literaturoznawstwo, pracowała jako nauczycielka francuskiego oraz wykładowczyni. Debiutowała w 1974 roku powieścią „Les armoires vides” („Puste szafki”) o przebytej przez nią aborcji, jednak prawdziwe uznanie przyniosła jej późniejsza o dekadę powieść „La place”, znów autobiograficzna, w której mierzy się ze śmiercią ojca. Wielkim wydarzeniem były rewolucyjne w sposobie prowadzenia narracji „Les années” („Lata”) z 2008 roku, w których opisała swoje dorosłe życie, wierne oddając klimat lat 60. Osiem lat później wydała „Mémoire de fille” („Wspomnienie dziewczyny”) o trudach własnej inicjacji seksualnej.

Za to chyba wszyscy znają/znali Jeana-Louisa Trintignanta, jedną z największych gwiazd francuskiego kina. Znów krótka nota biograficzna: urodził się w Piolenc w 1930 roku. Jego dzieciństwo naznaczyła tragedia – ojciec Raoul był merem, zasłużonym dla ruchu oporu, natomiast matka Claire po wojnie została publicznie ogołona za romans z niemieckim żołnierzem. Męska część jego rodziny znana jest z pasji do samochodów, a wuj Maurice Trintignant był znanym kierowcą wyścigowym. Jean-Louis zafascynował się Moliere’em i tak jak XVII-wieczny dramaturg dla teatru rzucił studia. Postanowił zostać aktorem i reżyserem filmowym. Sławę przyniosła mu rola w filmie „I Bóg stworzył kobietę...” z 1956 roku, w którym zagrał u boku Brigitte Bardot. Ich miłość z ekranu przeniosła się do realu, co uczyniło z aktora, który był raczej typem wycofanego intelektualisty, prawdziwego gwiazdora. Światowe uznanie zdobył dzięki „Kobiecie i mężczyźnie” Claude’a Leloucha z 1966 roku, który otrzymał Złotą Palmę w Cannes i Oscara za scenariusz. Partnerowała mu słynna Anouk Aimée. Był także bardzo popularny w Polsce, a w jego karierze znaleźć można polski akcent – wystąpił w „Trzech kolorach: Czerwonym”; Kieślowski powtarzał, że Trintignant ma w sobie cierpienie, które czyni z niego świetnego aktora.

TRINTIGNANT UMIERA RAZEM Z CÓRKĄ

Jedną z ostatnich brawurowych ról zagrał w „Miłości”. Przejmujący film Michaela Hanek-ego bezpośrednio dotyka eutanazji, stara się po-



MIĘDZY MIŁOŚCIĄ A ŚMIERCIA

kazać dylemat, przed jakim stoją terminalnie chorzy – żyć w męczarniach czy umrzeć bezboleśnie. Na pierwszym planie jednak jest miłość najbliższych do chorego. Czym jest miłość? Podarowaniem ulgi czy walką do ostatniej sekundy?

We Francji eutanazja taka jak w Holandii czy Belgii jest niezgodna z prawem, samo pojęcie nie jest bezpośrednio zdefiniowane w żadnym akcie prawnym, dopuszcza się jednak – w przeciwieństwie do polskiego prawa – odstępianie od uciążliwego leczenia ze skutkiem doprowadzenia do śmierci, natomiast inne przypadki postrzegane są w kategorii zabójstwa lub samobójstwa. Ostatnia głośna debata na temat eutanazji odbyła się w tym roku w związku z francuskimi wyborami prezydenckimi.

Jean-Louis Trintignant, jak często powtarzał w wywiadach, umarł po raz pierwszy w 2003 roku, kiedy jego ukochana córka Marie, również aktorka, została pobita na śmierć przez partnera. Na jej pogrzebie, zgodnie z poleceniem rodziców, wszyscy żałobnicy ubrani byli na biało. Ówczesną żoną aktora i matką Marie jest Nadine Trintignant, reżyserka oraz, podobnie jak Annie Ernaux, autorka wielu powieści autobiograficznych. Jedną z książek poświęciła zmarłej córce.

MIĘDZY EROSEM A TANATOSEM

Chyba nie ma nic bardziej zgranego i powszechnego jak miłość i śmierć. Napięcie między nimi dwiema (choć Eros i Tanatos w mitologii greckiej przedstawiani byli jako młodzi, dobrze zbudowani mężczyźni ze skrzydłami) buduje niemal całą współczesną kulturę, filmy od Hollywood po Bollywood, literaturę piękną i popularną, politykę, życie codzienne.

A to kogoś żegnamy na cmentarzu, a to się zakochujemy, spieramy się o aborcję, o to, kogo ma się prawo kochać, z kim ma się prawo żyć. Na balkonie wywieszamy flagi, w oknach czerwone pioruny, niektórzy wybierają żalobną czerń, inni biel.

Potrafimy zrobić wiele dla miłości, potrafimy zrobić wiele, żeby uciec od śmierci. Ale między Erosem i Tanatosem jest jeszcze starość – dla której często nie potrafimy zrobić nic. „Starość” to w zasadzie dla większości pejoratywne, negatywnie nacechowane słowo. Pierwsze skojarzenia? Śmierć, samotność, oddawanie pola, wycofywanie się, emerytura, rezygnacja, zaciskanie pasa, poczucie, że wszystko, co najlepsze, już minęło. Nikt nie chce być stary, każdy będzie.



FRANCUSKA STAROŚĆ, POLSKA STAROŚĆ

Jak powiedział w 2016 roku wiceszef polskiego MON-u, Francuzi nauczyli się od nas jeść widelcem... Na szczęście nie nauczyli się od nas stylu życia. To dla Polaka uderzające, że kiedy jest się dłużej we Francji, w miasteczkach czy metropoliach, widzi się wiele osób po sześćdziesiątce, które czynnie uczestniczą w codzienności, pracują, czytają gazety, wychodzą na miasto, grają w bule, okazują sobie publicznie przyjaźń, czułość, mąż gładzi policzek żony, siedząc obok niej w kawiarni z widokiem na ulicę, na plaży pan z czułością smaruje plecy młodszego partnera olejkami do opalania, kobieta w wyciętym bikini opiekuje się wnukami, inna tańczy na bulwarach w tłumie ludzi w różnym wieku, dziadek uczy wnuka pływać, jego rówieśnik tuli się do młodszej partnerki, przyjaciółki plotkują głośno, mocno przy tym gestykulując, jedna z nich jest ubrana w krótką sukienkę, druga ma na sobie obcisłe szorty, jest gorące lato. W spojrzeniach przechodniów raczej nie widać ocen – „Ubranie chyba nieodpowiednie do wieku”, „Mieć tyle lat i tak głośno się śmiać”, „Czu-

Claude Lelouch o Trintignancie: „Należał do aktorów, którzy robili nam prezenty ze swoich ran”

• **Emmanuelle Riva i Jean-Louis Trintignant w filmie „Miłość” Michaela Haneke** FOT. AFP/EAST NEWS

łość w tym wieku, to okropne”. Raczej brak zainteresowania albo uśmiech. To normalne.

Polski senior ma podwójnie ciężko, dostaje nie tylko od upływu czasu i od biologii – polskie państwo doskonale upodliło starość, pusty portfel zamyka ludzi w domu. Miliony ludzi czują się bezużyteczne, wykluczone, samotne. A mają prawo jak wszyscy mieć plany i żyć, decydować o sobie. Wyjść z poczekalni. Mają prawo do radości.

Problem celnie zdiagnozował sam Trintignant: „Umrzeć – to normalne. Od 65. roku życia, od osiągnięcia wieku emerytalnego powoli wychodzimy poza społeczeństwo, my, starzy ludzie, jesteśmy niewygodni”.

W jednym z wywiadów telewizyjnych w 1979 roku, mając zaledwie 49 lat, mówił: „Gdybym miał przygotować program telewizyjny, zaproponowałbym magazyn o śmierci. To może wydawać się szokujące, ale nie chciałbym, żeby był smutny, ponieważ śmierć to bez wątpienia jedno z najważniejszych wydarzeń naszego życia, jeśli nie najważniejsze. Śmierć to temat tabu. Dlaczego nie mówimy o śmierci? Przecież możemy rozmawiać o niej bez strachu.

W takim magazynie przeprowadzałbym wywiady z umierającymi. Jest wielu ludzi, którzy wiedzą, że niebawem umrą, którzy mają wyrok, chorują na nowotwór i którym zostały trzy, cztery miesiące życia. Ci ludzie są interesujący. Inni tworzą sobie małe wyjście ewakuacyjne, nie chcą zranić innych. Ktoś, kto nie ma nic do stracenia, ktoś, kto wie, że zostało mu niewiele czasu, jest człowiekiem interesującym. Mówi prawdę, nie stara się wypaść na inteligentnego, przystojnego, czarującego.

Myślę o śmierci, żeby lepiej żyć. Powinno się żyć tak, jakbyśmy mieli umrzeć jutro. Kiedy palimy papierosa, powinniśmy go palić tak, jakby to był ostatni papieros. Kiedy pijemy wino, powinniśmy pomyśleć, że to ostatni kieliszek, wtedy je docenimy. Kiedy się Kochamy, to tak, jakby nigdy już nie miało się to zdarzyć, a znajdujemy się w niezwykłym stanie. Śmierć jest we mnie tylko w relacji z życiem. To nie jest myśl smutna, makabryczna. Oczywiście nie chcę umierać, ale myślę o śmierci. Jestem pewny, że taka filozofia pozwala żyć lepiej, pozwala doceniać. Powtarzamy ciągle – mamy czas. To prawda, mamy czas, ale go tracimy”.

W 2017 roku aktor przyznał publicznie z charakterystyczną dla siebie powściągliwością, że choruje na nowotwór – „Bałem się, że zachoruję na nowotwór, ale od kiedy go mam, już się nie boję”. W wieku 70 lat ożenił się po raz trzeci, a karierę zawodową porzucił dopiero, kiedy zaczął tracić wzrok.

Zmarł 17 czerwca 2022 roku w swoim domu w Uzès jako jeden z ostatnich wielkich, legendarnych aktorów francuskich. Zgodnie z ostatnią wolą jego pogrzeb był cichy, prywatny. Nie zamienił się w pożeganie narodowe, które Francja organizuje swoim wielkim artystom, najczęściej w Paryżu. Alain Delon, o którym mówi się, że planuje swoją eutanazję, i który żegnał się cztery miesiące temu z publicznością, napisał – „Po Belmondzie odszedł mój drugi brat, jestem wstrząśnięty”. Głos zabrał także prezydent Emmanuel Macron: „Za pośrednictwem kina francuskiego towarzyszył naszemu życiu”. Claude Lelouch powiedział: „Należał do aktorów, którzy robili nam prezenty ze swoich ran”.

ERNAUX I MŁODY MĘŻCZYZNA

„Minęło pięć lat, odkąd spędziłam niezręczną noc ze studentem, który pisał do mnie przez rok, prosząc o spotkanie. Czasami uprawiam seks, żeby zmusić się do pisania” – pisze w najnowszej, miniaturowej powieści 82-letnia Annie Ernaux.

„Le jeune homme” („Młody mężczyzna”) stała się we Francji jedną z najbardziej komentowanych powieści tego lata, jest wyeksponowana w księgarniach w najmniejszych miasteczkach, a do jej promocji włączyła się między innymi była pierwsza dama Carla Bruni. Ma zaledwie trzydzieści stron, na których rozciąga się historia związku dojrzałej pisarki z młodszym o trzydzieści lat mężczyzną, napisana retrospektywnie w pierwszej osobie.

Autorka, która w wywiadach dała do zrozumienia, że to jej własna historia, zastosowała ciekawy zabieg – postawiła się w roli Pigmaliona. To ona jest mistrzynią, on uczniem. To ona dominuje w relacji, on ulega, jest słabszy, zazdrosny. W postaci kobiecej jest też wiele sprzeczności. Z jednej strony pogardza młodością, studenckim stylem życia ukochanego i dyskontowłą zawartością jego lodówki, z drugiej

dużo w niej czułości, melancholii, refleksji nad upływającym czasem – „Pozwolił mi przeżyć jeszcze raz to, o czym nawet nie śniłam”.

W prozie Ernaux jest dużo zachwytu i uczucia dla mężczyzny, co wydaje się charakterystyczną cechą francuskiej literatury pisanej przez kobiety różnych generacji. (Niezwykle popularna w tym sezonie jest również Agathe Ruga ze swoją drugą powieścią „L’homme que je ne devais pas aimer” („Mężczyzna, którego nie powinnam kochać”). Ta odważna i pełna podziwu czułość kobiet dla mężczyzn widoczna jest też w tekstach popularnych w tym roku francuskich piosenek młodego pokolenia, na przykład Clary Luciani czy Barbary Pravi. Obie w wywiadach i na koncertach podkreślają, że to ich partnerzy stanowią inspirację do tekstów. Luciani w refrenie piosenki „Le reste” z 2021 roku śpiewa: „Nie mogę zapomnieć twoich pośladków i pieprzyka ukrytego na twoim kciuku, i skóry na twoich plecach, resztę zostawiam tobie, lecz przy sobie blisko zachowam wzruszające wspomnienie twojego nagiego ciała”. U Pravi znajdziemy: „Nie wiem, co to, nie wiem, gdzie to zmierza, co sprawia, że tak się sobie podobamy, od naszych słów po nasze pośladki, czy wiesz czemu, czemu ja, czemu ty? Twój oddech jest obietnicą”.

Bohaterka powieści „Le jeune homme” nie składa swojemu mężczyźnie żadnych obietnic – „Na jego wzglę wspólnej przyszłości odpowiadałam stale – terazniejszość wystarczy – nie mówiąc nigdy, że terazniejszość była dla mnie tylko powielaniem przeszłości”. W czasie cofa się także jej ciało „Moje ciało nie miało wieku. Trzeba było mocno dezaprobującego spojrzenia gości siedzących obok nas w restauracji, by go odzyskać (...) jeśli byłam z dwudziestopięcioletnim mężczyzną, to po to, by nie mieć przed sobą twarzy mężczyzny w moim wieku, która przypomni mi o moim starzeniu. Przed twarzą A. moja stawiała się również młoda. Mężczyźni wiedzą to od zawsze, nie widziałam powodu, dla którego miałabym sobie tego zabraniać”.

Choć Ernaux w swojej twórczości mocno skupia się na sobie, własnych doświadczeniach i przemyśleniach, to historie, które opowiada, są uniwersalne. Szwajcarski „Le Temps” nazwał jej prozę feministyczną i zaangażowaną, bo Ernaux, pisząc o Ernaux, opowiada niejako o każdej kobiecie i odważnie zabiera głos w sprawach dotyczących kobiety. Robi to w sposób niezwykle wysmakowany, jej literatura jest piękna, nie jest agresywna, nie jest manifestem, jest rodzajem filozofii. Wydawca miniaturowej powieści, Gallimard, umieścił na okładce notkę informującą, że tekst jest kluczowy dla zrozumienia stosunku autorki do czasu i pisania. Pisarka nie przechodzi na artystyczną emeryturę. W tym roku podczas festiwalu w Cannes zaprezentowała film dokumentalny zrealizowany ze swoim synem, zatytułowany „Les années super 8”, który przedstawia kolejny fragment jej opowiadanej przez lata historii rodzinnej. Jest niemal pewne, że nie pozwoli czekać zbyt długo na kolejną powieść.

TABU

Kultura ma wpływ na postrzeganie starości i śmierci. Nasza raczej przestrasza. Francuska kultura, filmy czy powieści, nie stroni od tematu starości, miłości i śmierci, które u nas są praktycznie nieobecne w podobnej formie. W Polsce do starości, niepełnosprawności i śmierci nie podchodzimy wcale lub podchodzimy z lękiem, który ukrywamy za śmiechem lub wulgarnością. Nie do wyobrażenia byłaby u nas pierwsza dama jak Brigitte Macron, 25 lat starsza od prezydenta. Nie do wyobrażenia pisarka, która w wieku 80 lat pisze o seksie. Nie powstałaby u nas komedia „Nietykalni”, która łączy humor z wózkiem inwalidzkim. Nie powstałby film mówiący w taki sposób o eutanazji. A jeśli, to w niszy. We Francji to tak zwany mainstream, ponieważ istnieje tam od lat tradycja – u nas nazywana libertarianiską – mówienia o tym, co nie przechodzi przez polskie gardła – seks, życie, radość, śmierć zostały znormalizowane i splecione przez maj 1968 roku. Kobiety takie jak Ernaux wychowały córki już w innym duchu. Ta rewolucja kulturowa nadal jest przed Polką, nie wiadomo, czy kiedykolwiek jej doświadczymy. Dla nas starość i śmierć są wciąż ponurym tabu, a kochać i być szczęśliwym raczej nie wypada. Francuzi nie kryją się z tym, że chcieliby odejść przy ciele ukochanej kobiety, z kieliszkiem wina w jednej ręce i ulubioną gazetą w drugiej. ●

CZUŁE SŁÓWKA

Kara

Winna moja prezesura, żeś ty dziś domowa kura

Michał Rusinek



Być może umknął Państwu artykuł poświęcony byłemu już prezesowi TVP Jackowi Kurskiemu, zamieszczony na portalu Pudelek.pl. Nosi on dość egzaltowany, acz zgodny z poetyką tego portalu tytuł: „Joanna Kurska WRÓCI do TVP?! »Zrobiłem jej osobistą KRZYWDĘ, że nie ma jej w telewizji«”. Jednak nie tyle poetyka tytułu jest tu godna uwagi, ile poetyka wywiadu, którego udzielił Jacek Kurski Pudelkowi – jeszcze będąc prezesem.

Wywiad poprzedzony został dziennikarskim wstępem, z którego się dowiadujemy, że „Jacek Kurski jest bez wątpienia jednym z najbardziej »medialnych« prezesów w historii TVP”, gdyż branżowe portale interesują się zarówno zmianami, jakie wprowadza on w telewizji, jak i „jego życiem prywatnym, w którym działo się ostatnio niemało”. Tu portal zamieszcza link do artykułu: „Joanna i Jacek Kurscy świętują ROCZNICĘ ŚLUBU: wizyta w sanktuarium, karmienie się owocami i POCAŁUNKI” – nie mam odwagi do niego zajrzeć. Wystarczy mi informacja, że „obecną żonę polityk poznał właśnie na korytarzu w gmachu Telewizji Polskiej, gdzie od razu wpadli sobie w oko”. W gmachu telewizji wpadanie sobie w oko jest szczególnie na miejsku.

„Niektórzy mogą nie kojarzyć – pisze z troską Pudelek – że gdy Jacek Kurski objął stanowisko (...), to jego żona zdecydowała się odejść ze struktur TVP”. Tu pojawia się pytanie tytułowe: „Czy jest zatem szansa, że wróci do dawnych obowiązków?”. Na pytanie to odpowiada – w formie wywiadu wideo – jej mąż.

Odpowiada twierdząco, to znaczy przyznaje, że „stanie się to prawdopodobnie wtedy, gdy on zniknie z Woronicza”. Uściślijmy: zniknie lub zostanie zniknięty. I oddajmy głos jemu samemu: „Umówiliśmy się, że wtedy, kiedy ja przestanę być prezesem telewizji. To jest straszna kara, być może przesadna, jaką sobie wyznaczaliśmy. Bo naprawdę, coś jest winna moja żona, że się we mnie zakochała, a ja w niej?”. To jest, jak rozumiem, pytanie retoryczne, więc odpowiadam sobie w myślach i czytam dalej: „Kiedy już byłem prezesem, ona była dyrektorem programowym, jednak postanowiliśmy po »coming oucie«, że dopóki ja jestem prezesem, ona z telewizji odejdzie. Mam wobec niej wyrzuty sumienia, bo była doskonałym dyrektorem. To był ten moment zawodowy, który koronuje pracę, i w momencie, kiedy została tym dyrektorem, musiała przestać nim być, więc ją zawsze przepraszam za to”. Następnie Kurski zapewnia, że postara się, by jego żona wróciła na dawne stanowisko. „Obiecuję, że jak kiedyś z telewizji odejdę, bo przecież kiedyś pewnie odejdę, to poproszę następców, żeby ona tutaj wróciła. Tak byłoby po prostu uczciwie. Zrobiłem jej osobistą krzywdę, że jej w telewizji nie ma, ale z drugiej strony pewnie byłibyśmy przedmiotem ataku, więc coś za coś”. Pudelek pyta następnie swoich czytelników i czytelniczki, czy „podzielają jego zdanie”, ale nie odważę się zacytować ich odpowiedzi.

Warto jednak przyjrzeć się dokładniej samemu wywiadowi. Niektóre frazy w nim padające oraz cała jego struktura kojarzą się bowiem natrętnie z tekstami należącymi do jednego z ulubionych gatunków muzycznych prezesa Kurskiego: disco polo. Słuchając tego wywiadu, miałem nieodparte wrażenie, że były prezes opowiada wła-

snymi słowami tekst jakiejś nieznanej, ale przecież możliwej piosenki, na przykład Zenka Martyniuka, artysty szczególnie cenionego przez Jacka Kurskiego. Po drugim obejrzeniu wywiadu zauważyłem, że prawa noga zaczyna mi rytmicznie podrygiwać. Po trzecim – musiałem sprawdzić, czy da się go przerobić na tekst piosenki, który załączam poniżej. Proszę zwrócić uwagę, że przesunięcia akcentów są w nim zabiegiem zamierzonym, zgodnym z poetyką gatunku. Ze względów fabularnych po strofach opowiadających o odwołaniu Kurskiego z funkcji prezesa, które wykraczają nieco w przyszłość względem tekstu wywiadu, pojawia się druga, wesoła wersja refrenu. A oto i piosenka:

„C*ara mia*” – sł. Michał Rusinek, na motywach wywiadu Jacka Kurskiego dla portalu Pudelek.pl

Cóż jest winna moja mała,
że się we mnie zakochała?
I cóż winna, że ja w niej
zakochałem się? Ojej.

Kiedy zostałem prezesem,
ona przegrała z kretesem:
jej kariery pękła nić,
bym mógł tym prezesem być.

Ref.:
C*ara mia! Mia cara!*
To przesadna, straszna kara!
Winna moja prezesura,
żeś ty dziś domowa kura.

Ona była dyrektorem
i sukcesy miała spore,
lecz nie mogła być nim wciąż,
gdy prezesem został mąż.

Gdyby nadal moja mała
w telewizji pracowała,
spadłby na nas straszny hejt,
gorszy niż na księżną Kate.

Dyrektorem programowym
być – to moment zawodowy,
który koronuje cię.
Ty wybrałaś jednak mnie.

Wylądowałaś na aucie
wnet po naszym „coming oucie”
(czemu do formuły tej
ma mieć prawo tylko gej?).

Jam jest z uczuć niewyżuty
i sumienia mam wyrzuty,
obiecuję jednak, że
wrócisz ty do TVP.

Gdy z telewizji odejdę
(przecież wszak kiedyś odejdę),
to następce prosić chcę,
by przywrócił tutaj cię.

Więdną laury, mija sława
i za sprawą Jarosława
przyszłedł moich rządów kres,
lecz nie rońimy, droga, łez.

Ref.:
M*ia cara! Cara mia!*
Oto kara w końcu mija!
Mija kara i bariera,
a przed tobą znów kariera!

Chociaż smutno mi szalenie,
to nie dręczy mnie sumienie,
wszak z odejściem moim wraz
idzie szczęśny dla cię czas.

Bo oprócz ciebie kochania,
nowe przede mną wyzwania:
będę się po szczeblach piąć,
a ty zawsze przy mnie bądź.

Niniejszym zwracam się z uprzejmą prośbą do pana Zenona Martyniuka, by zechciał dopisać do mojego tekstu muzykę i włączyć tę piosenkę do swojego repertuaru. Jestem przekonany, że sprawi tym radość byłemu prezesowi TVP – bez względu na to, jaką funkcję niebawem on obejmie. Zaznaczam, że ewentualne tantiemy pragnąłbym przekazać na wspieranie mediów. Tych niezależnych. ●

Kpię, więc jestem bezpieczny

Czy beka to bek przykryty śmiechem?

Marcin Matczak



Wielokrotnie w ostatnim czasie pojawiały się informacje, że Ziobro i spółka zamierzają zaostriżyć kary za obrazę uczuć religijnych. Wielokrotnie też przewidywano, że kary te zostaną wykorzystane, by ścigać zbrodnie największą: obrażanie polskiego papieża memem.

O inkwizycyjnych zapędach Ziobry nie ma co pisać. Ot, zagra nie pod publiczke, która z ulgą przyjmie informację, że ktoś staje na straży świętości, nawet jeśli wpływ sacrum na jej życie jest nikły. Ale święte trzeba święcić, a nie obrażać, myśli suweren, bo jak ktoś kpiący mem o papieżu może zrobić, to Bóg jeden wie, do czego jeszcze jest zdolny. Stąd program wyborczy SP: paka za bekę.

O Ziobrze nie ma co pisać, ale o fenomenie beki jak najbardziej. Ma ona wiele wymiarów, ale wszystkie dotyczą kpiny z czegoś lub kogoś. Łagodnej, jak w ironii, ostrzejszej, jak w sarkazmie, czasami absurdalnej, jak w zadziwiającym obrazku z Janem Pawłem II, który niszczy wieże World Trade Center, rzucając w nie kremówki. Ten ostatni znalazł się w książce o wadowickim dziedzictwie Wojtyły, finansowanej przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jest tam rozdział „Karol. Papież, który stał się memem”.

Beka dużo mówi o naszych czasach. Weźmy sarkazm. Z jednej strony jest dowodem inteligencji, z drugiej może być niszczycielski: jego źródłosłów odwołuje się do rozrywania ciała. Popularny wśród nastolatków jest częstą bronią używaną w mediach społecznościowych. Obosieczną, w tym sensie, że mówi wiele o tym, kto go używa. Maskuje obawę przed zaangażowaniem w dyskusję lub relację. Bywa nalogiem – są ludzie, którzy właściwie nie potrafią wypowiedzieć się poważnie, tak sarkazm wszedł im w krew. Jak Scott Shapiro, znany filozof prawa, który publikuje wyłącznie tweety drwiące, głównie z Sądu Najwyższego USA („przegłosują 6 do 3 obowiązek ustanowienia pana i władcy dla każdej owulującej Amerykanki”). Albo pewien polski literaturoznawca, który zwykł po moim cotygodniowym felietonie dziękować mi publicznie za objaśnianie świata. Obaj reprezentują dość powszechną wśród miłośników sarkazmu cechę, w profesorskich poręczach – poczucie wyższości, które nie pozwala im zejść z poziomu zapewne wybitnej intelligen-

cji do normalnej rozmowy. Bo sarkazm podkreśla hierarchię – nie przejmuję się, tak jak wy, frajerzy!

To, co poważne, drażni. Dlatego sarkazm to nie humor, ale wyraz wrogości. Chęci zniszczenia czegoś, co naiwniacy uznają za ważne. Henry Watson Fowler pisał, że istotą sarkazmu jest chęć zadania bólu przez słowa (sarkazm jako sadyzm?). Może są więc memy o papieżu ekstremalną formą agresji, która zaledwie tli się w zwykłym sarkazmie. Papieskie memy jako sarkazm na sterydach?

Memolodzy próbują te memy jakoś zrationalizować. Ojciec Zięba pisał, że „odjaniepawlić” to czasownik wyrażający krytykę bezmyślnego kultu papieża. Łukasz Korzeniowski uważa, że memy w stylu: „Ty Janie ukryty w złocie, warty całe krocie”, są krytyką wykorzystania papieża dla merkantylnych celów odpustowych, a te nawiązujące do pedofilii krytykują jego kunktatorską postawę wobec tej zarazy. Czy aby na pewno? „Jan Zeus Trzeci grzmocił małe dzieci” czy „Bestia z Wadowic” idą o wiele dalej niż krytyka. Są tak wulgarne i absurdalne, że zmuszają do pytania, o co tu chodzi.

Może nie o bekę zwykłą, ale metafizyczną? O jakąś chęć odwrócenia porządku wynikającą ze zwątpienia, że mogą istnieć rzeczy święte i wielkie? O alergię na powagę, niewiarę, że coś w ogóle może mieć wagę. Ta alergia jest typowa dla naszych czasów. Stephen Hicks pisze o niej jako o elemencie myślenia postmodernistycznego. Widzi ją w dziele Duchampa, który „Monę Lisę” przyozdobił komiksowym wąsikiem. Ta potrzeba destrukcji tego, co inni uznają za wielkie, wynika z rozczarowania, które prowadzi do nihilizmu.

Psychologowie mówią, że beka jest mechanizmem obronnym. Przed czym ta obrona? Przed zawodem, czasem zranieniem. Poza kpiarza jest bezpieczna – nie da się zawieść kogoś, kto i tak ze wszystkiego się naśmiewa.

Zatem beka jako efekt zranienia? Beka jako bek przykryty śmiechem? Ale nie humanistycznym przez łzy, znanym z filozofii klau-na. Nie ma w nim akceptacji, jest raczej chęć destrukcji świata, który pokazując namiastkę ideału, wydaje się kpić z osoby, która ideały straciła. Stąd beka z miłości, z zaufania, z podziwu dla kogoś (papieża) albo czegoś (dzieła sztuki). Stąd sarkazm jako zdystansowanie się, przeciwierstwo zaangażowania. Ludzie, którzy popisują się nią, wymagają współczucia. Myślą, że są silni, a ujawniają słabość.

Lecz mimo że beka jest zjawiskiem poważniejszym, niż się zdaje, zbrodnią nie jest. Bo nawet jeśli sarkazm rozrywa czyjeś ciało, to tylko metaforycznie. Nawet jeśli za kpina z czyjejś świętości czai się symboliczna chęć zniszczenia świata, który zawiódł na całej linii, to myślozbrodni nie powinno się karać. Beka nie paki wymaga. Wymaga raczej namysłu, w jakiej części odpowiadamy za rozczerwanie ludzi niezdolnych uwierzyć w realność czyjegoes podziwu. ●

PO PRAWDZIE

Parówki pęknięte na całej długości

Zamach! Na brzozę smoleńską ktoś się wspinał, walił młotem, siekiera.

Agnieszka Kublik



Gdy dokładnie dziewięć lat temu, 17 września 2013 r., opisałam prokuratorskie zeznania tzw. smoleńskich ekspertów Antoniego Macierewicza, po stronie PiS wybuchło oburzenie, że spostonowałam uczonych. Macierewicz grzmiał: „Bezprecedensowa nagonka na świat polskiej nauki. Od 1968 r. nie pamiętam tak brutalnej nagonki na polskich naukowców, którzy chcą badać rzeczywisty obraz sytuacji w naszej ojczyźnie”.

No to przypomnę, co ci uczeni zeznali, bo to oni sami wtedy w wojskowej prokuraturze przyznali, że nie mają żadnych albo mają niewielkie doświadczenia i kompetencje w badaniu lotniczych katastrof.

Prof. Jan Obrębski: „W sprawie katastrofy z dnia 10 kwietnia 2010 r. wiadomo jest mi tyle, ile można przeczytać w gazetach. Przez 40 minut miałem kontakt z elementem, który jest opisany w księdze konferencyjnej z konferencji smoleńskiej z października 2012 r. na stronach 87-96. To cała wiedza, jaką posiadam na temat tej katastrofy. Miałem dostępne do zrobienia tej publikacji siedem nadesłanych fotogramów. Pozostałe zdjęcia wykonałem osobiście, mając 40 minut czasu na zrobienie zdjęć. (...) Cała moja wiedza dotycząca katastrofy mieści się w opublikowanym tam referacie. Referat składa się właściwie z niewielkiej ilości tekstu, głównie ze zdjęć i z podpisów pod nimi. (...) Oprócz tego wykonałem kilkaset godzin lotów odrzutowcami pasażerskimi jako pasażer, przyglądając się temu, jak pracują skrzydła i silniki samolotów w czasie lotu, w związku z tym czuję się dość kompetentny w tym zakresie. Jeżeli chodzi o materiały wybuchowe i skutki ich użycia, to zeznaję, że byłem w wojsku, gdzie miałem do czynienia np. z bronią strzelecką, granatami czy środkami strzeleckimi przeciwpancernymi. Dodatkowo jako dziecko oglądałem wybuchające stodoły w czasie pożarów po wojnie”.

Prof. Jacek Rośiða: „O katastrofie dowiedziałem się od moich studentów. Oglądałem telewizję rosyjską, zdjęcia z katastrofy. (...) Pan Poseł Macierewicz i kole-

dzy z Zespołu oraz koledzy z USA pokazali mi zdjęcia satelitarne z rozkładem fragmentów samolotu. Dowiedziałem się również, że w odległości kilkuset metrów od wrakowiska, patrząc w kierunku przeciwnym do kierunku lotu, na dachach baraków czy warsztatów znaleziono fragmenty konstrukcji samolotu. Wtedy nabrałem przekonania, że samolot rozpadł się w powietrzu. O tych fragmentach dowiedziałem się od Pana Ministra Macierewicza. (...) W ostatniej fazie rozważań obejrzałem zdjęcia ofiar katastrofy. Po skończeniu studiów na Politechnice przeszedłem półroczny kurs medycyny sądowej, dlatego, że Komenda Główna MO poszukiwała balistyków. Pamiętam, jak wyglądały ofiary, które zginęły na skutek uderzenia w przeszkodę, na skutek wybuchu niewypału oraz postrzału. Przyjrzałem się fragmentom zwłok ofiar i całym ciałom i moją uwagę zwróciło to, że większość ciał ofiar była odarta z odzieży. Zacząłem wtedy przeglądać literaturę i znalazłem materiały dotyczące II wojny czecheńskiej, gdzie Rosjanie nagminnie używali bomb termiczno-paliwowych. Był to dodatkowy argument wspierający rozważania mechaniczne, aby nabrać przekonania, że ten kierunek badań związany z wybuchem w samolocie jest właściwy. Fragmentacja ciał była charakterystyczna dla wybuchu. Nie była charakterystyczna dla szorowania ciała o podłoże czy zderzenia z przeszkodami, była charakterystyczna dla wybuchu”.

Zapytany, jakie ma doświadczenie naukowe i badawcze „w obszarze badania katastrof lotniczych bądź innych katastrof oraz w obszarze materiałów wybuchowych i skutków ich użycia”, świadek zeznaje: Jeżeli chodzi o katastrofy lotnicze, to ich nie badałem.

Eksperci Macierewicza nieźle się samokompromitowali również podczas tzw. smoleńskich konferencji naukowych. Pamiętacie jeszcze te pseudonaukowe eksperymenty z parówkami czy puszkami? Tak było podczas II tzw. konferencji smoleńskiej w październiku 2013 r. Uczni pokazywali wyniki swego „akademickiego śledztwa”.

Dr Andrzej Ziółkowski (Instytut Podstawowych Problemów Techniki PAN) tłumaczył, że podłużne pęknięcie kadłuba mogło spowodować tylko wewnętrzne ciśnienie na skutek eksplozji. „Coś takiego widzimy, gdy gotujemy sobie kielbaski na śniadanie” – mówił. Dowód? Tablica ze zdjęciem dwóch parówek pękniętych na całej długości po ugotowaniu.

Prof. Jan Obrębski (Politechnika Warszawska) na przykładzie puszk po red bulu dowodził, że rozbicie tupolewa na wiele części „nie jest możliwe w wyniku zwykłego upadku”. Gdyby to był zwykły upadek, samolot zachowałby się jak „puszka cienkościenne uderzona drewnianym młotkiem”. „Można podejrzewać, że to była dobrane przygotowana wielopunktowa eksplozja”.

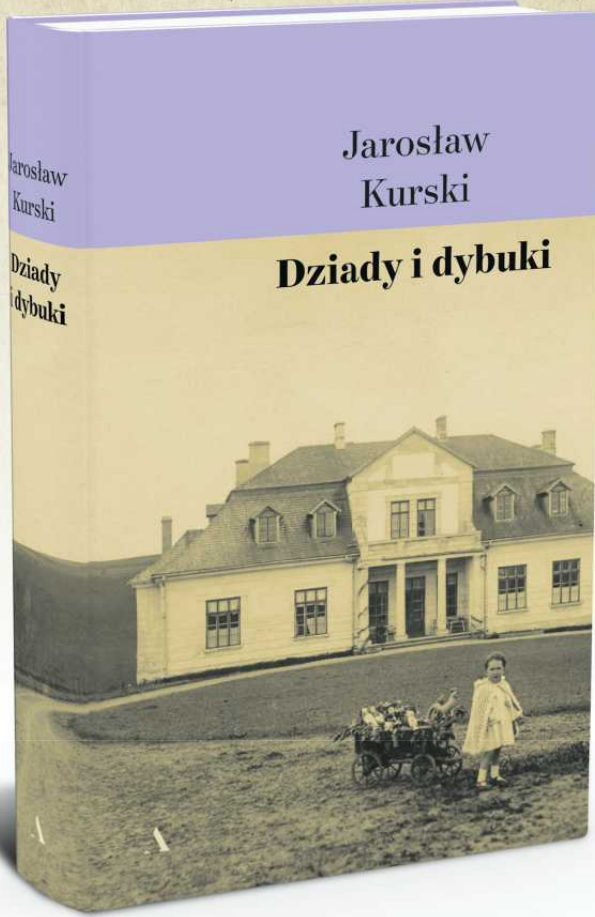
Prof. Chris Cieszewski (University of Georgia, USA) postawił tezę, że brzoza, w którą miał uderzyć samolot 10 kwietnia 2010 r., była złamana co najmniej od 5 kwietnia. „To fakt niepodlegający dyskusji. Na drzewo ktoś się wspinał, walił młotem, siekiera”. Dla wzmocnienia efektu imitował odgłos, jaki powinien towarzyszyć zderzeniu tupolewa z brzozą: „Piijiii, bziuuu!”.

Przeszłość powraca, żeby ich zniszczyć. ●

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę

2. Fragmentu książki „Dziady i dybuki”



Autor przez lata rekonstruował prawdę o swojej rodzinie, celowo wypieraną i pomijaną przez innych, w tym przez jego ukochaną matkę. Efektem zdumiewającego, pełnego zawirowań śledztwa historycznego są dzieje rodu rozsianego po całym świecie, z miejscem urodzenia autora — Gdańskiem — w samym sercu.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Dziady i dybuki” Jarosława Kurskiego oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

LL22KKP

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek, Tomasz Lebiada, Krzysztof Pietrasik

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Adam Michnik poleca

O pojednaniu, języku nienawiści, nacjonalizmie piszę i mówię od lat. Boję się więc, że się powtarzam, że widzę sprawy tak, jak widziałem je przed dziesięciu, dwudziestu laty, że nie dostrzegam zmian.

Sytuacja, jeśli chodzi o pojednanie, dziś jest może gorsza. Coraz częściej słyzy się pytanie, czy na horyzoncie są nowe wojny na Bałkanach, ekstremalna prawica się umocniła, pojawiają się partie, ruchy, grupy, które odrzucają program pojednania oparty na dystansie wobec zbrodni popełnionych w wojnach lat 90.

Nawet osądzonych zbrodniarzy wojennych czci się jako bohaterów. Przykłady: mural w Belgradzie przedstawiający Ratka Mladicia i wypowiedź ministra Aleksandra Vulina, że bardziej zależy mu na Mladiciu niż na Nataшы Kandić [serbska pisarka, działaczka antywojenna; Mladić – serbski generał, skazany w Hadze na dożywocie].

Rodzi się pytanie: czy mamy dziś do czynienia z odnową faszyzmu?

A właściwie dwa powiązane pytania: czy rację mają ci, którzy zbrodnie popełnione w jugosłowiańskich wojnach w latach 90. przypisują faszyzmowi? I czy w dzisiejszym wysławianiu zbrodniarzy wojennych jako bohaterów należy widzieć trwałość ideologii faszystowskiej?

Nie ma wątpliwości, że i w propagandzie wojen lat 90., i w dzisiejszym czczeniu sprawców ówczesnych zbrodni można znaleźć matrycę faszystowską oraz zbieżności z historycznym faszyzmem. Wskazanie tej matrycy jest ważne, ale niewystarczające. Bo po to, aby w latach 90. zostały u nas popełnione największe zbrodnie, czystki etniczne, ludobójstwo, nie były potrzebne rasistowskie prawa i faszystowskie państwo, a dziś w Serbii te zbrodnie się czci jako czyny bohaterskie, choć nie żyjemy w państwie faszystowskim.

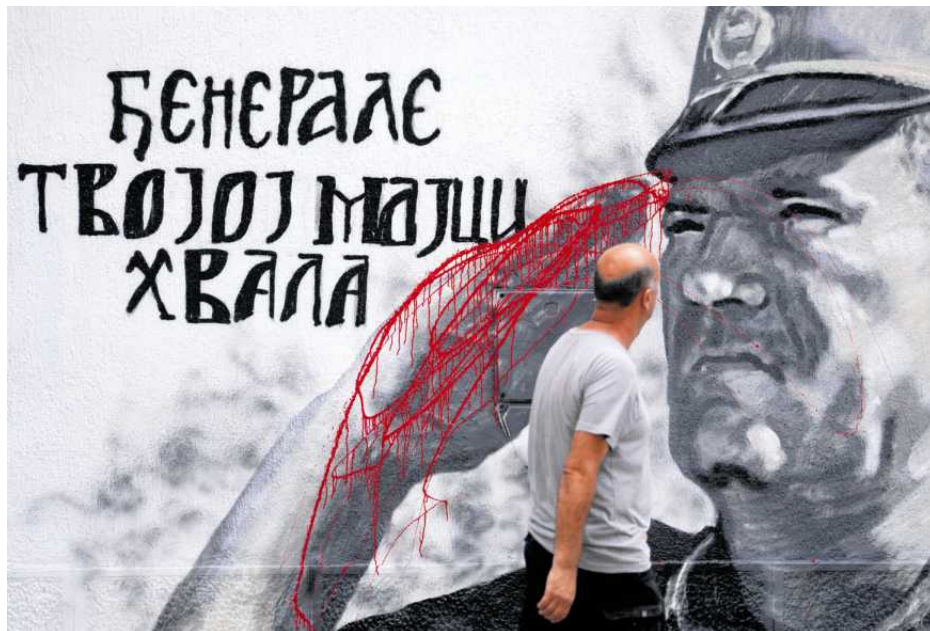
I dla popełniania, i dla czczenia zbrodni potrzebne było i nadal jest coś innego, co nie ma tak strasznej nazwy, termin nieobciążony skojarzeniem ze zbrodniami – nacjonalizm etniczny. Miał on jednak dość potencjału, żeby dojść do zbrodni, kiedy otworzyła się przed nim okazja. A w latach 90. dostał tę okazję.

Nie walczyło się tutaj w latach 90. w imię rasy, choć o to szło także, tylko w imię kultury i tożsamości. Punktem wyjścia było przekonanie, że aby narodowe kultury i tożsamości przetrwały, konieczne jest dokonanie radykalnego rozgraniczenia etnicznego, żeby każdy naród miał swoją własną przestrzeń, państwo, które jest tylko jego, świat, który jest tylko jego, ufundowany na jego charakterze rasowym, czyli, jak się to dzisiaj mówi, na jego kulturowej i narodowej tożsamości.

Skutkiem realizacji tego programu w wojnach lat 90. było wzmocnienie świadomości o decydującym znaczeniu przynależności etnicznej i narodowej także u tych, którzy tej świadomości nie mieli. Można się więc zgodzić, że nacjonalizm jest nie tylko źródłem zbrodni wojennych, ale też ich rezultatem.

Takie rozważania mogą się komuś wydać akademickim dzieleniem włosów na czworo, które relatywizuje dzisiejsze zagrożenie faszyzmem i zastępuje działalność antyfaszystowską dyskusją o terminologii. Problem w tym, że groźba nowych wojen i zbrodni często tkwi tam, gdzie jej na pozór nie ma. Nie od razu jest widoczne, że po upadku państw faszystowskich matryca przetrwała w kulcie tożsamości narodowej.

Ci, którzy otwarcie przedstawiają się jako spadkobiercy faszyzmu, rysują na murach swastyki, krzyczą „Heil Hitler” albo „Za dom spremni” [Za ojczyznę gotowi – okrzyk



TAKIE NIEWINNE IDEE

**Wierność narodowi, jego kulturze i sławnej przeszłości.
Przelew krwi zaczyna się od miłości ojczyzny.**

Ivan Čolović*

ustaszów], albo „Noż, žica, Srebrenica” [Nóż, drut, Srebrenica – okrzyk bośniackich Serbów], są mniejszym zagrożeniem dla pokoju niż ci, którzy deklaratywnie potępiają faszyzm, a zarazem walczą w obronie zagrożonej rzekomo tożsamości narodowej, narodowej kultury, języka, alfabetu, „bycia u siebie”, tzw. bytu narodowego i jego niepowtarzalnej duchowości oraz podobnych uznanych wartości, by tak rzec, antyfaszystowskich.



Po to, aby w latach 90. zostały na Bałkanach popełnione największe zbrodnie, nie były potrzebne rasistowskie prawa i faszystowskie państwo

Nacjonalizm etniczny jest starszy niż faszyzm i nazizm; był polityczną tradycją, na której opierali się twórcy ruchów totalitarnych i stworzonych na ich podstawie państw. Są w faszyzmie i nazizmie rzeczy, których nie można wyprowadzić z nacjonalizmu, ale jest też wiele tego, co nacjonałiści stamtąd przejęli i zaadaptowali.

Mówiąc w 1998 r. o książce Daniela Goldhagena „Gorliwi kaci Hitlera”, Jürgen Habermas podkreślił, że dla współczesne-

go pokolenia Niemców jest ważne „uzyskanie jasności w sprawie matrycy kulturowej odziedziczonego brzemienia” i zidentyfikowanie, „co należy do tradycji, które ukształtowały tak katastrofalne zaplecze”.

Chodzi tu przede wszystkim o tę tradycję, na którą składają się kolektywne idee i wyobrażenia narodu, ducha narodu, ojczyzny, kultury narodowej i narodowej duszy potencjalnie groźne politycznie. A często są to na pierwszy rzut oka całkiem niewinne i uprawnione idee wierności swemu narodowi, jego kulturze i sławnej przeszłości.

Nie wiem, czy Habermas czytał „Volkskunde” kulturoznawcy Hermanna Bausingera, gdzie autor identyfikuje i analizuje pewne elementy matrycy kulturowej, z której wynikało trudne dziedzictwo, jakie socjalizm narodowy zostawił Niemcom i światu. Pokazał, w jaki sposób przejął on i wykrystalizował powszechnie akceptowane idee kultury narodowej zaproponowane przez niemiecką etnologię. Były to na pozór neutralne naukowe pojęcia, jak ciągłość kulturowa, plemię, germański mit, obyczaje narodowe, ziemia rodzinna, dusza narodu.

Bausinger nie domagał się wpisania tych pojęć na indeks, tylko dostrzeżenia, czym było to, co w nich zapalne, wybuchowe, co zostało później wykorzystane do popełniania i usprawiedliwiania najgorszych zbrodni. Pokazał drogę, która od wychwalania „niemieckich plemion” doprowadziła do nacjonalizmu, czyli „ideologiczną równię pochyłą, która od zwykłego umiłowania ojczyzny, przez nieokreślony zachwyt nad folklorem, wiodła do drastycznego fanatyzmu”.

• **Belgrad, lipiec 2021 - mural z generałem Ratem Mladicem jako bohaterem, kilka dni po skazaniu go na dożywocie w Hadze za ludobójstwo w Bośni i Hercegowinie**

FOT. DARKO VOJINOVIC/AP

Wejrzenie w ideologię dominującą kiedyś i dziś w naszych bałkańskich etnologiach, w dominujące i „chronione” w podręcznikach szkolnych rozumienie kultury ludowej i narodowej jasno pokaże, że jest to ideologia mniej więcej taka sama jak ta, która dominowała w niemieckiej etnologii XIX i pierwszych dziesięcioleci XX wieku: ideologia etnicznego nacjonalizmu. W naszych bałkańskich przykładach nie chciała się ona przekształcić w nazizm i faszyzm, ale i bez tego w latach 90. zmaterializowała się jako ideologia zdolna pobudzić aktorów ówczesnych sporów do największych zbrodni i przekonać ich, że te zbrodnie czynią ich bohaterami narodowymi.

Jednak zbrodnie popełnione tutaj w jego imię nie kompromitowały etnicznego nacjonalizmu. Jeden z powodów to nieobecność kontekstu międzynarodowego, europejskiego, w którym nacjonalizm bałkańskich elit zostałby zidentyfikowany jako wspólne zagrożenie dla europejskiego pokoju. W czasach, kiedy nacjonalizm etniczny pokazał u nas zbrodniczą twarz, w Europie dokonywał się proces integracji byłych państw komunistycznych i postkomunistyczny nacjonalizm potraktowano jako wyzwalającą alternatywę.

Taki stosunek do nacjonalizmu sprawił, że nasze wojny lat 90. interpretowano przeważnie jako bałkański atawizm, dzięki międzyplemienne zabijanie, a nie jako przykład, co może zrobić nacjonalizm, jeśli nadarzy mu się okazja.

Ale nowe, coraz częstsze odchodzenie od europejskich wartości i negowanie ich przez niektórych członków Unii podsycało dyskusję o wzroście skrajnej prawicy w Europie: oto prawica ta domaga się dzisiaj ochrony tożsamości narodowych. Grupa partii, którym bliski jest ten program, przyjęła nazwę Tożsamość i Demokracja. A więc europejskim narodom i partiom według przedstawicieli tego ugrupowania demokracja nie wystarcza, potrzebują czegoś jeszcze – tożsamości. A potem okaże się, że europejskim narodom oprócz tożsamości nie trzeba niczego więcej, by mogły szczęśliwie żyć także bez demokracji.

Tak Serbia i inne państwa postjugosłowiańskie, które ponoć walczyły w imię jakichś przezwycięzonych w Europie wartości i programów, znalazły się w awangardzie nowego, jeszcze raz odnalezionego nacjonalizmu, który walczy przeciwko zjednoczonej Europie. ●

Przełożyła Magdalena Petryńska



***Ivan Čolović**

• ur. w 1938 r., serbski etnolog i antropolog kultury, wydawca. Artykuł to nieco zmieniony tekst jego wystąpienia na XIV Forum poświęconym sprawiedliwości procesów tranzycji w krajach postjugosłowiańskich, Belgrad, 17-18 grudnia 2021

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Józef Łobodowski*

Pochwała Ukrainy

I
Tobie śpiewam, o, Ukraino, ciebie pochwalam
w pieśniach, co szumią urocznie, morskim podobne falom,
nutą stęsknioną, dźwięcznym słowem, wezbrany rytmem.
Jak skrzydła, co trzepocą w nieustającą modlitwę,
oddechy twoich wiatrów smagłe i wonne;
gdy grzmoty huczą nad tobą, to grzmoty tysiąckonne;
jarzysz się w srebrze gwiazd jak bizantyński obraz,
gorączką spalasz wargi i miłość twoja niedobra
uwodzi synów człowieczych w niepokój burzy i w wichry.

Głosy, co wiały nad tobą, jeszcze nam w sercach nie ścichły,
sprzeciw i bunt napotkawszy, walką zwycięską się wzmogły.
Oto na usta się kładzie pyszny twej mowy złotogłów,
płyną pieśni dźwięczniejsze niż miedź horacjańska,
opadające rytmiczniej niż fałdy kute w marmurze,
rozzucasz się cała w tych dźwiękach, chłopska i pańska,
i nie wiesz, stojąc olśniona, czy to słowiki, czy róże.

Ciebie, miodna i mleczna, buraczana i pszenna,
ciebie pochwalam, Ukraino, w męce odwiecznej codzienna,
sama sierota płacząca, dla własnych dzieci macosza,
żołnierka pchana kolbami w dziedzińcu obcych koszar,
tobie poświęcam, od lat wsłuchany w bolesny lament,
ten niespokojny i rytmem krwi wykołysany heksametr.

Potomek smagłych twych synów, co na szlacheckie Mazowsze
przynieśli oddech stepu i w piachy, ileż jałowsze
od czarnoziemiu bujnego, krwią się wsączali i kościmi,
oto się zrywam na głos nieuciszonej miłości,
oto powracam pieśnią, trwożny jak drżący niemowa:
– Ojczyzno moja najpierwsza,
ojczyzno powrotna, bądź zdrowa!

II
Gdy gospodarze słuchają, ćmiąc machorkę, w mrocznych akacjach
chwilę trwa cisza, nim chór pieśni swoją podjął,
jeszcze dziewczka spóźniona przebiegnie, stepowa Gracja;
czym wtedy jesteś? – Melodią.

Melodia spadnie na serca, iskier nakrzesze,
żrenice rozewrze szerzej, zbudzi zaklęcia stare,
w kuźniach na noże święcone twoje lemiesz –
czym wtedy? – Krwią i pożarem!

Nocne melodie ścichną, krew się ostudzi,
księżyc gardziółka słowików w srebrzyste flety zmieni,
o świcie będziesz zieleniejsza od winnej Burgundii,
bardziej łunna od Andegawenii.

A jest jeszcze słońce, stary i krzepki płatnerz,
co czarną rudę ziemi przekuwa w złoto pszenic,
wiatr twój osmala twarze na brąz brunatne
i czy harde jak sokół ma każdy młodzieniec.

I jakby na przekór stepom, cerkiewny barok
uderza w niebo potężny jak Magnificat.
Płyne ku twych przestrzeni błękitno-złotym sztandarom
muzyka rzewna i dzika.

Za cóż cię jeszcze przed całym światem pochwałę,
do jakiej cię porównam błogosławięszej ziemi,
gdy słyszę głosy, co się wrywają w twych pieśni interwale
skrzydłami archanielskimi.

Jak Trzej Magowie Święci, Zachód, Wschód i Południe
znoszą węgiel i sól, mangan, żelazo i cynę...
Ach, może przez owe bogactwa właśnie ich dłoniom najtrudniej
zmienić ten świat w Ukrainę!

III
Na wątłych kartach, które niewielu przeczyta,
w zdławionych słowach, co hymnem są i modlitwą,
żyje rządna i prawna, zasobna Rzeczpospolita,
ku idącym gotująca się bitwom.

Tam się nowe pieczęcie na wiecznych znowach kładą
i duchy przylatują, aby wiecować u mnie,
Anioł, zelżony przez was, przychodzi jak ambasador
posługujący od Boga, więc posługujący najdumniej.

Żem uniósł w chwałę, co u nas było w pogardzie,
i glorię żyjącym w niewoli bez lęku przyznał,
nie masz wśród was nikogo, co by zasłużył bardziej,
by go nazwała ojczyzna.

Rządcy docześni, dawno skazani przez czas,
o sercach nie przepalonych w ducha komuniach,
oto w pochwalnych mych słowach
bez was i mimo was
stara odnawia się Unia.

IV
Ojciec mój, gdy go wicher przeznaczenia zaniósł,
w czarnej kozackiej ziemi, na znojnym Kubaniu
spoczął, dług emigrancki splacając swym prochem.
Tak ja dziś wracam pieśnią ku siwym porohom,
w sęki trumien zbutwiałych strwożony uderzam,
jak gdybym pragnął tęczą nowego przymierza
połączyć dwie ojczyzny, sam na pół rozdarty.

Ale ty, Ukraino, me serdeczne karty,
co chciały być odezwą i uniwersalem,
a ulatują z wiatrem, jak gołębie białe,
jeszcze kiedyś w szczęśliwszych dniach przyszłości twojej
odczytasz, jak się czyta modlitwę przed bojem,
i uznasz za swojego, czy później, czy wcześniej,
poetę, co był Lachem, a sławił cię w pieśni.

***Józef Łobodowski** – urodzony w 1909 r., zmarł w 1988. Poeta, prozaik, tłumacz i publicysta. Od 1935 r. związany z ruchem lewicowym, m.in. redaktor pisma „Dźwigary”. Uczestnik kampanii wrześniowej, potem na emigracji, od 1941 r. w Hiszpanii. Współpracownik rozgłośni polskiej radia madryckiego, felietonista londyńskich pism „Orzeł Biały” i „Wiadomości”. Odegrał dużą rolę w dialogu polsko-ukraińskim. Ukrainie poświęcił znaczną część swojej twórczości.

Wiersz ukazał się w jego tomie „Złota hramota” (Instytut Literacki, Paryż 1954). Tutaj za: Łobodowski, „List do kraju”, wybór wierszy i oprac. Jerzy Świąch, Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1989.

SPROSTOWANIE

W wydaniu „Wolnej Soboty” z dnia 10 września 2022 przy artykule „Szkota bujania w chmurach” z powodu błędu technicznego jako współautorka nie została podpisana pani prof. **Jowita Guja**. Panią profesor i czytelników serdecznie przepraszamy



FOT. WIKIPEDIA

Osoba podlegająca gaslightingowi zaczyna wątpić, czy to, co myśli i czuje, jest coś warte, i coraz częściej, żeby móc się odnaleźć w rzeczywistości, polega na tym, co myśli i czuje manipulator.

A MOŻE JESTEM TRĘDOWATA?

Z PSYCHIATRĄ I PSYCHOTERAPEUTĄ
CEZARYM ŻECHOWSKIM* ROZMAWIA
AGNIESZKA JUCEWICZ

Czym jest gaslighting? Zjawisko, które na razie nie doczekało się polskiego tłumaczenia, choć jest powszechne?
– To rodzaj nadużycia. Mechanizm polegający na tym, że jedna strona – osoba, grupa społeczna, instytucja – podważa kompetencje psychiczne drugiej strony i najczęściej robi to nie wprost: przez aluzje, obśmianie.

Do gaslightingu najczęściej dochodzi w relacjach, w których jedna strona odmawia drugiej podmiotowości. Tak się może dziać między partnerami, rodzicem a dzieckiem, ale też między szefem a podwładnym, lekarzem a pacjentem.

W dramacie Patricka Hamiltona z 1938 roku pt. „Gaslight” („światło lampy gazowej”), skąd to zjawisko wzięło nazwę, mąż wmawia żonie, że jest bliska obłądłu, że słyszy i widzi coś, czego nie ma.

– I dokładnie o to w tym chodzi – o zakwestionowanie czyjejs zdolności do własnej oceny, uczuć, myśli, pamięci. Manipulator robi to na tyle sprawnie, że jego ofiara przyjmuje te argumenty w dobrej wierze. Wyobraźmy sobie, że dwie osoby umawiają się... Nie jestem dobry w przykładach.

Na wspólny wyjazd w weekend.

– Niech będzie. Osoba, która stosuje gaslighting, w piątek wieczorem może temu zaoprzeczyć: „Wcale się na to nie umawialiśmy!”. Może zmienić treść umowy: „Umawialiśmy się, ale na wyjazd pod koniec miesiąca”. Mogą temu towarzyszyć takie komunikaty: „Jak możesz nie pamiętać?”, „Coś jesteś ostatnio rozkojarzona, niepokoję się”. Ofiara gaslightingu zaczyna się wtedy zastanawiać: „A może rzeczywiście coś źle zapamiętałam?”. Tymczasem tak nie jest.

Gaslighter może też operować różnymi diagnozami. Powiedzieć, że ta osoba „może ma ADHD” albo „jakieś zaburzenia poznawcze”. I nie chodzi tu o pomoc, ale o zakwestionowanie jej wiarygodności. Może zatem zasugerować, że skoro pojawiły się problemy z pamięcią, to może być depresja i tak dalej. To tym bardziej perfidne, jeśli osoba manipulowana rzeczywiście ma za sobą jakiś kryzys psychiczny.

Politycy, też się bez przerwy przerzucają diagnozami.

– Tyle że w tym przypadku obie strony rzadko sobie ulegają. Nie tyle chodzi o to, żeby wpłynąć na oponenta tak, żeby poczuł się pogubiony, tylko bardziej



o to, żeby go zdezwauować w oczach wyborców. Natomiast w codziennym życiu osoba podlegająca gaslightingowi często traci zaufanie do siebie.

Zaczyna wątpić, czy to, co myśli i czuje, jest coś warte, i coraz częściej, polega na tym, co myśli i czuje manipulator.

Gaslighter staje się kompasem?

– I to jest niezwykle niszczące dla psychiki.

Wydaje mi się, że w pracy to jest zjawisko niemal powszechne. Umawiamy się na coś, z przełożonym albo z podwładnym (bo to może też działać w drugą stronę), po czym kiedy ma dojść do realizacji tej umowy, słyszymy: „Pierwsze słyszę”. To może dotyczyć zwykłych spraw, jak pójście na urlop, ale też umów między całymi zespołami, firmami, długofalowych zadań powiązanych z ogromnymi kosztami.

W pracy są maile, czasem świadkowie. Takie kłamstwo da się udowodnić. Gość w związku.

PS.

– Nie zawsze. Osoby stosujące gaslighting też mogą mieć wszystko „na papierze” i w „mailach”. Tyle że tak zręcznie operują ich interpretacją, tak potrafią przeinaczyć treść, że bardzo trudno im coś udowodnić. A czasem mają za sobą sztab urobionych przez siebie osób, które potwierdzą, że to my się mylimy. Bo trzeba pamiętać, że gaslighting może też dotyczyć osób trzecich.

Jak to?

– Jeśli podważam kompetencje psychiczne osoby z zespołu. Mówię innym, że ona łamie zasady, jest trudna, „dziwna”, to mogę zbudować taki jej wizerunek, który będzie całkowicie nieprawdziwy. I nagle ta osoba zacznie funkcjonować jako ktoś podejrzany. „Dewiant”, którego należy omijać.

...jak trędowata.

– I będzie mieć narastające poczucie, że atmosfera się wokół niej zagęściła. Ludzie, którzy wcześniej traktowali ją dobrze, traktują ją źle. Mają jakieś dziwne pretensje. Nie ufają jej. Charakterystyczne jest, że osoba stosująca gaslighting nie będzie mówiła o konkretnych działaniach tej osoby, bo to łatwo byłoby udowodnić, tylko o tym, jaka ta osoba JEST. I że jest na przykład konfliktowa, uparta, czepialska. Gaslighter może się też wypowiadać w jej imieniu, twierdząc, że „ona powiedziała to i to” albo „ona uważa, że...”, albo „ona myśli, że...”.

Bez konsultacji z nią?

– A skąd! Ofiara nie będzie miała pojęcia, co niby „myśli” ani co niby „mówi”. Może mieć duże osiągnięcia, ale gaslighter będzie twierdził, że to są żadne osiągnięcia albo że są wtórne. I ciągle będzie podawał w wątpliwość jej stan psychiczny, sugerując, że jest to osoba niewiarygodna.

Czemu ma służyć ta gra?

– To jest niezwykle skuteczny środek do osiągnięcia własnych celów. Wszelakich. Od całkowitego kontrolowania osoby, którą się manipuluje, po pozbycie się osób niewygodnych. Mechanizm jest prosty. Opiera się na atawistycznym lęku przed „nienormalnością”, „zaburzeniem”, „odmiennością”.

Kto najczęściej sięga po takie metody?

– Osoby narcystyczne. Narcyzm, jak pisał psychoanalityk André Green, ma dwie twarze: pozytywną i negatywną. Pozytywna polega na tym, że jakoś siebie lubimy, ufamy sobie i w sytuacji różnych kryzysów możemy się odwołać do tej części siebie, którą uważamy za mocną. Ta negatywna jest destrukcyjna. Śmiertelna wręcz, w takim sensie, że uśmierca drugą osobę jako podmiot. W postrzeganiu narcyza „inny” staje się obiektem najrozmaitszych rozegranych. I służy mu do zaspokajania jego potrzeb, najczęściej do budowania własnego wizerunku jako kogoś wyjątkowego, albo do realizacji rozmaitych celów: firmowych, politycznych czy relacyjnych.

Ale tak naprawdę każdy z nas może, mniej lub bardziej świadomie, uciekać się do tej strategii, więc warto byłoby zbadać, czy sami przypadkiem tego nie robimy.

Co, jeśli okaże się, że tak?

– Ważna jest skala. Poza tym, czy jak już się zreflektujemy, to podejmujemy jakieś dzia-

ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

lania naprawcze, czy też brniemy w to dalej bez skrępulów.

Kto jest zwykle po drugiej stronie takich działań?

– Znów – wszyscy możemy się tam znaleźć. Ale badania sugerują, że ofiarami gaslightingu często padają osoby, które mają słabą „teorię umysłu”, czyli odwołując się do koncepcji psychologa Simona Barona-Cohena – mają trochę takich cech schizoidalnych, autystycznych. Niekoniecznie do brze radzą sobie w relacjach, niezbyt szybko „łapią”, co się w tych relacjach dzieje. Mogą być nieco naiwne, łatwowierne. Łatwo nimi manipulować, bo biorą za dobrą monetę to, co jest dla nich destrukcyjne. Według tej koncepcji sprawcami gaslightingu mogą być ci, którzy mają bardzo dobrą „teorię umysłu”. Doskonale wyczuwają, co myśli i czuje druga osoba, i wykorzystują tę wiedzę. Jak wspomniałem, osoby stosujące gaslighting często mają wizerunek wspaniałych ludzi – głębokich, empatycznych, charyzmatycznych – ale jak się przyjrzeć, jakie faktycznie są, na przykład w relacjach z partnerami, z dziećmi, ze współpracownikami, to może się okazać, że to tylko fasada. Dlatego gaslightera tak trudno jest zidentyfikować.

Co pana zdaniem sprzyja nasileniu się tego rodzaju manipulacji?

– Jak myślę o naszym społeczeństwie dziś, to myślę głównie o tym, że od pół roku żyjemy w cieniu wojny w Ukrainie. I że nasze niewiadome wysiłki psychiczne są bardzo zaangażowane w to, żeby wypierać to zagrożenie. Byśmy, pomimo tych strasznych zbrodni tuż obok i lęku, mogli żyć w miarę dobrze. Szczęśliwie. Mieli fajne wakacje, przyjemności. Ta reakcja jest całkowicie zrozumiała, ale to oznacza, że możemy być bardziej podatni na różne manipulacje.

A jeszcze kryzys klimatyczny, gospodarczy, czający się za nimi humanitarny.

– Co bardzo sprzyja powstawaniu narracji, które przypisują wybranym grupom społecznym różne intencje, myśli, uczucia, które nie są ich. Już właściwie to się dzieje... Niedawno rozmawiałem z przypadkowo spotkaną osobą, która z całym przekonaniem opowiadała mi, że w Polsce maseczki nie zostaną wprowadzone, nawet jeśli zimą ludzie znów zaczną masowo umierać na COVID-19, bo „Ukraińcy nigdy nie założą maseczek”. Dodała, że policja nie pacyfikowała uczestników Parady Równości w Warszawie za pomocą armatek wodnych i pał, choć powinna była, bo „to byli Ukraińcy, a oni są pod ochroną”. W takich okolicznościach pojawia się przestrzeń do manipulacji o potencjalnie straszliwych konsekwencjach. Do zwracania jednych grup przeciwko drugim.

Mam taką myśl, że tym, co jeszcze może sprzyjać rozprzestrzenianiu się gaslightingu, jest unieruchomienie otwartej agresji, którą postrzega się jako zło absolutne. Ona schodzi do podziemia i zamienia się w coś podstępne, co trudniej przyszpilić. Dziurki nie widać, a krew wypita.

– To mi przypomina inne zjawisko, podobne do gaslightingu, ghosting, czyli nagle wycofanie zaangażowania emocjonalnego bez wyjaśnienia. Neurolog i psychobiolog Jaak Panksepp twierdził, że agresja mężczyzn różni się od agresji kobiet. Ta męska to częściej przemoc fizyczna i werbalna, ta kobieca jest bardziej wyrafinowana, częściej polega na izolowaniu drugiej osoby. Dziś podział na „męskie” i „żeńskie” nie jest już adekwatny, bo wzorce kulturowe się zmieniają, ale coś jest na rzeczy, że tej stereotypowo kobiecej agresji przybywa. Na przykład u wielu dziewcząt, które konsultuję, kryzys psychiczny pojawia się w wyniku porzucenia przez koleżankę, zwykle najlepszą przyjaciółkę, która z dnia na dzień wycofuje się z relacji. Pojawia się

obojętność i relacja przyjaciółki z kimś innym. I takie zniknięcie bez słowa, nagle wycofanie miłości, może wywołać cierpienie, które będzie się ciągnąć miesiącami, jeśli nie latami. Ofiara takiego zachowania nie rozumie, co się stało, nie ma się do czego przyczepić, bo każdy ma prawo kontaktować się, z kim chce, ale boli ją wszystko.

Przyszło mi teraz do głowy jeszcze coś, że żyjemy w kulturze ciągłego kwestionowania, co ten drugi myśli i czuje. Od razu poddajemy to interpretacji. A czasami interpretacja staje się ważniejsza od tego, co dany człowiek usiłuje nam powiedzieć. Psychoterapeuta też może być bardziej zainteresowany interpretowaniem tego, co mówi pacjent, na podstawie różnych teorii, niż tym, co ten pacjent chce przekazać. To niebezpieczna pułapka... Niebezpieczna, bo daje całe pole do różnych nadużyć.

Dlaczego często jesteśmy bardziej zainteresowani naszą interpretacją?

– Bo funkcjonujemy w ramach własnych schematów. Mamy swoje modele rzeczywistości, relacji, które jakoś chronią spójność naszego świata. Jeśli słuchamy kogoś głęboko, to otwieramy się na to, że możemy coś nowego odkryć, że być może będziemy musieli te nasze modele porzucić.

Męczące.

– A czasami przykre, nieprzyjemne. Czasem trzeba dopuścić, że zrobiliśmy coś złe, głupio albo nawet bardzo głupio. Wycofać się. Przeprosić.

Świat nie zaprasza do takiego wysiłku.

– Wróciłem ostatnio do Foucaulta. Czytam jego teksty dotyczące podmiotowości i one mi bardzo pomagają zrozumieć to, co się dzieje wokół. Foucault twierdzi między innymi, że człowiek może istnieć wobec dyskursu, a o tym teraz tak naprawdę rozmawiamy, na dwa sposoby. Pierwszy polega na tym, że staje się częścią gotowej opowieści i rozumie siebie, innych i świat poprzez pojęcia, które ta opowieść mu zapewnia, według Foucaulta chrześcijaństwo jest takim typem narracji. A drugi sposób: czło-

zgu postępował bardzo niebezpieczny proces, który wymagał niezwłocznej interwencji chirurgicznej. Natychmiast odwieźliśmy go na tę neurochirurgię. To, co postrzegaliśmy stereotypowo jako jego „pobudzone gadanie”, miało bardzo głęboki sens.

Psychicznie był zdrowy?

– W tym aspekcie tak! I miał całkowitą rację – trzeba go było zawieźć z powrotem. Gdybyśmy się upierali, że „gada od rzeczy”, gdybyśmy go nieświadomie gaslightowali, toby umarł.

Mówię o tym, by pokazać, że niektóre komunikaty traktujemy jako pozbawione sensu, dziwne, ale to my ten sens likwidujemy. I to też jest metoda gaslighterska. Bo robiąc to, unieważniamy ich autora.

Co się dzieje z osobą, która jest poddawana gaslightingowi przez dłuższy czas?

– To jest trauma. Proszę sobie wyobrazić człowieka, który w pewnym momencie uświadamia sobie, że przez ostatnie miesiące czy nawet lata myślał myślami innej osoby, czuł uczuciami kogoś innego, dewaluował to, co dla niego ważne. Rezygnował ze swoich wartości, zakłamywał siebie. Był upokarzany, obśmiewany, umniejszany, całkowicie bezpodstawnie. Żył nie swoim życiem. Jak on się może czuć?

Myślę, że może czuć bardzo głęboki wstyd...

– I potworne zranienie. Bo został oszukany przez kogoś, kogo uważał, jeśli nie za bliskiego, to za ważnego, kogo dopuścił do swojego wnętrza.

Psychoanalityk Peter Fonagy pisze o pojęciu, które nazywa „epistemic trust”, czyli o zaufaniu do poznania drugiej osoby. Ludzie, którzy mają bezpieczne przywiązanie w dzieciństwie, generalnie ufają temu, co mówią inni. Nie tracą krytycyzmu, ale nie muszą wszystkiego dokładnie sprawdzać, dzięki czemu ich kompetencje poznawcze i społeczne się rozwijają. Można powiedzieć, że w przypadku osób poddanych długotrwałemu gaslightingowi to zaufanie do poznania drugiej osoby się całkowicie

Mówię innym, że ona łamie zasady, jest trudna, „dziwna”, to mogę zbudować taki jej wizerunek, który będzie całkowicie nieprawdziwy. I nagle ta osoba zacznie funkcjonować w środowisku jako ktoś podejrzany. „Dewiant”, którego należy omijać

wiek sam wytwarza tę opowieść. To samo dotyczy się słuchania. Możemy słuchać kogoś przez pryzmat istniejącego dyskursu, na przykład psychoanalitycznego, religijnego czy innego. A możemy się zainteresować tym, co ta osoba tak naprawdę mówi. Jaki dyskurs sama tworzy.

To drugie jest trudniejsze.

– Znacznie trudniejsze. Wymaga uważności i praktyki. Opowiadałem pani kiedyś o pacjencie, który przeszedł operację na neurochirurgii, po czym przywieźli go do nas, na oddział psychiatryczny?

Nie.

– Ta historia niezwykle mnie porusza i jest właśnie o tym. Pacjent miał uszkodzony mózg. Przeszedł operację, ale był tak pobudzony, że przeniesiono go do nas, podejrzewając jakieś zaburzenie psychiczne. Leczyliśmy go, ale on cały czas krzychał: „Zawieźcie mnie z powrotem”. Próbowaliśmy go uspokajać: „Nie ma tam po co jechać. Tylko tam pan narozrabia. Teraz musi być pan tutaj. Wziąć leki, porozmawiać z nami”. A on dalej krzychał to jedno zdanie: „Zawieźcie mnie z powrotem”. W końcu ktoś wpadł na pomysł, żeby jeszcze raz przeba-

dać mu głowę. Okazało się, że w jego mó-

W jaki sposób człowiek może się z tego obudzić?

– Najczęściej dzieje się tak dzięki innej osobie albo wydarzeniu, które sprawia, że ofiara gaslightingu wychodzi z tego destrukcyjnego związku albo układu. Bo póki będzie w nim tkwić, póty będzie przyjmować perspektywę gaslightera. To tak jak z członkami sekty. Nie są w stanie zobaczyć, w czym tkwią, tak długo, jak są w środku. Dopiero spojrzenie z zewnątrz, pozwala się stopniowo z tego uwolnić.

Tą inną osobą może być partner życiowy, partnerka, przyjaciel, psychoterapeuta. Ktoś, kto traktuje ofiarę gaslightingu jak podmiot, dla kogo ta osoba jest ważna. Przy kim może znów poczuć, że to, co mówi i czuje, ma znaczenie. I że wreszcie nikt tego nie podważa. Obecność drugiego, życzliwego umysłu może być niezwykle lecząca.

Kto ma największą szansę obronić się przed gaslightingiem?

– Powiedziałbym, że ktoś, kto ma mocne zaufanie do swojego poznania i do swoich uczuć. Oraz zdolność do gniewu, do prote-

stu i stanięcia w swojej obronie. Bo gaslighterowi niezwykle trudno jest się przeciwstawić. Wyobraźmy sobie zebranie zespołu, na którym gaslighter zaczyna podważać kompetencje psychiczne jednego z pracowników. Obsmiewa to, co on mówi. Twierdzi, że to jakiś wyraz jego przewrażliwienia. Albo sugeruje, że coś jest z nim nie tak, skoro jako jedyny, jedyna, widzi to inaczej. Zespół reaguje rechotem. Ofiara też się może śmiać, bo może uznać, że rzeczywiście się zbłądziła, skoro wszyscy się śmieją. A jednocześnie jest jej przykro...Trzeba mieć w sobie dużo siły i pewności siebie, żeby się temu sprzeciwić: „Ale zaraz, o co chodzi? Czy to rzeczywiście jest takie śmieszne?”. Dlatego wsparcie społeczne jest tak ważne. Ten uważny kolega, przyjaciel czy inna bliska osoba, którzy powiedzą: „przecież on, ona ewidentnie tobą pogrywa” albo „takie zachowanie to przemoc”.

Nie powiedziałem o jeszcze jednej subtelnej, ale niezwykle perfidnej technice gaslighterskiej – o pozbawieniu kogoś dostępu do informacji.

Do czego to może prowadzić?

– Powiedzmy, że jest pani jedyną osobą w zespole, której nie są przekazywane cenne informacje. Wszyscy je mają, zaczynają budować jakieś strategie, ustalają coś między sobą, a pani dopiero po czasie orientuje się, że nic nie wie. Szef gaslighter albo koleżanka gaslighterka panią pominęli.

Idę wtedy do takiej osoby i pytam, dlaczego tej informacji nie dostałam.

– No i słyszy pani: „Naprawdę? Jak to możliwe, że wszyscy ją mają, a ty nie?”. „Wysłałem wszystkim. To bardzo dziwne”. „Może wpadła do spamu?”. W związku może być podobnie. „Przecież ci mówiłem, pewnie zapomniałaś”.

„Pytałem cię, czy możemy zwiększyć debet na koncie, i się zgodziłaś”.

– Na różne sposoby można to tłumaczyć, oczywiście przerzucając odpowiedzialność na osobę, która została pozbawiona kluczowej informacji. I to jest straszliwa gaslighterska działalność. Bo informacja jest nieprawdopodobnie ważną rzeczą. Zabierając komuś dostęp do niej, pozbawiamy sprawczości.

Dlatego tak ważna jest otwarta komunikacja – i w zespołach, i w relacjach – gdzie można powiedzieć wprost, że ktoś czegoś nie wie. Spytać, dlaczego go pominięto. Poprosić o wyjaśnienie.

Co gaslighting robi osobie, która się do niego ucieka? Wygraną są zrealizowane cele i władza. A przegraną?

– Autentyczne relacje z drugim człowiekiem. Jeżeli to jest globalna strategia, na przykład zarządzania ludźmi, to jest to zarządzanie fikcją. To znaczy ludzie prawdziwie cierpią, ale relacje, które tworzą z gaslighterem, są relacjami na niby.

Tragiczne jest to, że czasem osoby, które padły ofiarą gaslightingu, same w którymś momencie zaczynają go stosować. Bo uwe wnętrzniły ten rodzaj przemocy.

Pracuję głównie z młodzieżą. Przemoc rówieśnicza, też gaslighting, jest ogromnym problemem. Najczęściej dotyka osoby, które czymś się wyróżniają. Trochę inaczej wyglądają, trochę inaczej się zachowują, słuchają innej muzyki, oglądają inne filmy. Przemoc w grupie rówieśniczej wobec nich potrafi się szybko zainstalować i być bardzo okrutna. No i bywa tak, że osoby maltretowane, jak tylko uda im się trochę stanąć na nogi, uzyskać względną pozycję w grupie, zaczynają się tak pastwić nad innymi. Bo ten rodzaj maltretowania staje się częścią nich. A poza tym przekonują się, że ta strategia gwarantuje przetrwanie.

Bo?

– Bo dopóki to ja będę maltretować, dopóty nie będę maltretowany. Ale to oznacza, że ta osoba dalej tkwi w kręgu przemocy. ●

Z **ILONĄ ŁEPKOWSKĄ**, SCENARZYSTKĄ, PISARKĄ, PRODUCENTKĄ SERIALOWĄ I FILMOWĄ, ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Do kin wchodzi właśnie film „Zolza” przez panią współprodukowany i oparty na wydarzeniach z pani życia. Nie obawia się pani, że to tytułowe określenie przyłgnie do pani na wieki?

– Ależ bardzo proszę. Zolza to osoba z charakterem, prawda? Szczerze mówiąc, wolę ten przydomek od „królowej seriali”.

Dlaczego?

– Potwornie zawęża to, czym się na co dzień zajmuję. Zanim zaczęłam robić seriale, miałam już na koncie kilka filmów. Poza tym jestem działaczką społeczną, angażuję się w działalność charytatywną. Więc już naprawdę wolę „zolzę”.

To, co dało pani rozpoznawalność...

– ...zamieniło się w ciężar. W środowisku, choć koleżanki i koledzy wiedzieli, że angażuję się na różnych polach, zwracali się do mnie „królowo”, z przekąsem. Nie było to miłe, czułam, że deprecjonują moją pracę. Aż nagle sami zaczęli pracować w serialach i zrozumieli, że wiąże się to z niemałym trudem.

Bo?

– Naprawdę niełatwo znieść tę monotonię i odnaleźć w niej, w tej taśmowości, przyjemność tworzenia – choćby minimalną. Praca nad serialem to jest wielka i mozolna szkoła pisania. Jest się ograniczonym budżetem, porą emisji, która wiele tematów i słów, wiele scen wyklucza. A jednak trzeba wykrzesać z siebie coś oryginalnego i twórczego. Nie mam i nigdy nie miałam złudzeń, wiem, że nie jest to twórczość wysokich lotów, ale nawet taka może być zrobiona na przyzwoitym poziomie. I mnie taka idea właśnie od początku przyświecała.

Zawsze miałam szacunek do tych 10 milionów widzów, bo uważam, że to moja klientela – muszę ich szanować i wiedzieć, czego potrzebują, starając się jednocześnie przemycić możliwie jak najwięcej tego, co jest istotne dla mnie. Dystansowanie się od tego, co się robi, puszczanie oka do przyjaciół w stylu: „Wiesz, to tylko dla kasy, przecież muszę z czegoś płacić rachunki”, nie jest uczciwe. Wszyscy pracujemy po to, by między innymi mieć pieniądze na opłacenie niezbędnych wydatków.

Była pani zolzą w pracy?

– Gdy zostałam sama z dzieckiem, wiedziałam, że muszę włożyć wielki wysiłek, by je i siebie utrzymać – alimenty starczały mi wyłącznie na prywatne przedszkole, państwowego nie dostałam. Byłam więc zdeterminowana i być może słusznie postrzegano mnie jako taran, czolg, który idzie przed siebie i nikogo dookoła nie zauważa. Jeśli trzeba było coś poprawić lub załatwić, wydawałam z siebie komunikaty w prostych, żołnierskich słowach. Nie po chamsku, czasem może złośliwie. Ale myślę, że nie przekraczałam granic, które dziś zaprowadziłyby mnie na salę sądową jako oskarżoną o mobbing.

A wracając do seriali. To bardzo cenne mieć wpływ na masowego odbiorcę, a jednocześnie przekazać mu coś z własnej wrażliwości, wskazywać na tematy, które mnie – jako scenarzystce i producentce – są bliskie. Nie oszukujmy się, film fabularny, nawet jeśli obejrzy go 100 tysięcy osób, ma znacznie mniejszą siłę przekonywania.

Mówi się, że „Łepkowska wie, co interesuje i czego chcą ludzie”. Kto panią tego nauczył?

– Tego się raczej nie da nauczyć. Zawsze starałam się być blisko życia. Nigdy nie zamykałam się w branży, czyli w środowisku filmowym, nigdy nie było ono głównym źródłem moich kontaktów towarzyskich, przeciwnie. Czytam reportaże, lubię filmy dokumentalne. Mam ucho nastawione w tę stronę.

Gdy zaczęły się seriale, ogłoszono konkurs na telenowelę, wystartowaliśmy z „Klanem”. Okazało się, że nie tylko moje bycie



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

SIŁA RAŻENIA CYTRYN

Gdyby ludzie Trzaskowskiego mnie wtedy wysłuchali, myślę, że dziś to on byłby prezydentem naszego kraju

blisko życia, ale i sumienność oraz solidność wyniesione z domu odegrały dużą rolę. Musiałam nauczyć się myśleć poszczególnymi bohaterami, stawać się każdą z wymyślonych postaci, bo bez tego nie dałabym rady pisać dialogów i projektować jej losów.

I nie bała się pani rozdwojenia jaźni?

– Trochę i o tym jest „Zolza”. Nagle mojej głównej bohaterce zaczynają się „objawiać” stworzone przez nią postacie i komentować jej życie. Ja akurat zawsze starałam się zachować higienę psychiczną, ale jedna ze scen otwierających film – pytanie dziennikarza do scenarzystki, czy zaprzyjaźniłaby się z którąś z serialowych postaci – jest prawdziwa. Tak, odpowiadałam, że to „idiotycz-

ne pytanie, bo nie można zaprzyjaźnić się z kimś, kto nie istnieje”. Gdy zamykam komputer, wychodzę ze świata fikcji, on natychmiast przestaje istnieć.

Być może wychodzi mi to łatwiej niż pisarzom, którzy tworzą skomplikowane opowieści, bo te moje historie nigdy nie były aż tak wielowarstwowe, dotykają życia na głębokość szpadla, a nie koparki. Ja się do wód gruntowych nie dokopuję.

Moja psychika nie cierpiała nigdy z powodu tego, że wymyśliłam zbyt wiele postaci i one zaczynały mi mieszać w głowie. Moje problemy wzięły się z czegoś innego – jestem osobą chorobliwie odpowiedzialną i łatwo wpędzić mnie w poczucie, że ode mnie wszystko zależy.

A tak było?

– Wielokrotnie padałam ofiarą szantażu emocjonalnego. Ileż to ja się nasłuchiwałam od aktorów, reżyserów, scenarzystów, że nie mogę skończyć serialu lub uśmiercić któregoś z bohaterów, bo ludzie mają kredyty! Łatwo się temu poddawałam. Olśnienie przyszło mniej więcej 10 lat temu, gdy odeszłam z „Barw szczęścia”. Wiedziałam, że inaczej wyląduję w szpitalu psychiatrycznym. I nie miałam już wtedy potrzeby tyle pracować ze względów finansowych, mogłam żyć z oszczędności, z tantiem, wiedziałam, że mogę pozwolić sobie na o wiele krótsze produkcje. A jednak umiejętnie rozgrywano moją chorobliwą wręcz odpowiedzialność.

Żle to się skończyło, dopiero dwa mie-
siące temu odstawiłam antydepresanty.
Sama na to w dużej mierze zapracowa-
łam. Trzeba było słuchać mądrzejszych od
siebie, gdy mówili: „Ilona, nie pracuj ty-
le”. Ale przecież zawsze było coś jeszcze do
zrobienia, przecież raz jeszcze można było
mi wmówić, że jestem niezbędna.
Ja to właściwie wyniosłam z domu ro-
dzinnego.

W jakim sensie?

– Od dziecka byłam wytresowana do pracy.
Mój ojciec, wybitny historyk – w spadku, jak
sądzę, pozostawił mi nieco dobrego pióra,
a także wielowarstwowe postrzeganie i rozu-
mienie świata – był człowiekiem trudnym. To
on wyznaczał reguły panujące w domu, były
nieodwoływalne. Choćby ta, że trzeba się do-
brze uczyć, dawać z siebie wszystko. Ojciec
przekonywał, że kult pracy ma sens, bo waż-
ne jest wyłącznie to, co po nas pozostaje. Do-
datkowo zostałam wychowana – ja i moje ro-
dzeństwo – w sposób całkowicie ateistyczny,
żadne z nas nie zostało ochrzczone.

To pomagało czy przeszkadzało?

– Czasem pomagało, a czasem przeszkad-
zało. Przeszkadzało, bo czasem przyda-
je się wiara w to, że jest coś poza nami. Ła-
twiej w ten sposób wytłumaczyć pewne
zdarzenia, można się do czegoś odwołać,
ufać, że nadejdzie jakiś ratunek.
Wciąż pamiętam taki moment z dzieciń-
stwa: mamy nie było w domu, a ja obudzi-
łam się przerażona, bo coś strasznego mi
się przyśniło. Miałam pięć, może sześć lat,
w tym przerażeniu, z płaczem, pobiegłam
do pokoju, w którym pracował mój ojciec.
Spytałam, czy rzeczywiście wszyscy kiedyś
umrzemy? Liczyłam, że zaprzeczy, że mnie
tym uspokoi, ukoi. A on, ze spokojem, od-
powiedział, że tak, więc liczy się tylko to, co
tutaj, i ślad, który pozostawimy.

Skoro pamiętam to po ponad 60 latach,
musiało być traumatycznym przeżyciem.
Ojciec był dla mnie największym autoryte-
tem, przyjęłam jego słowa bezkrytycznie.
I nagle, po latach, poczułam się zdradzo-
na. Zobaczyłam, jak w kościele ojciec idzie
do komunii.

Lęk przed śmiercią i tym, co później?

– Był sporo młodszy niż ja teraz. Wte-
dy to było jak strzał w serce – wybiegłam
z tego kościoła, byłam przekonana, że za-
raz umrę, przestałam oddychać. Zawaliła
mi się cała konstrukcja świata.
Bardzo długo się zbierałam, by z oj-
cem o tym porozmawiać. Gdy się odważy-
łam, powiedział mi, że obraził się na Boga
w czasie wojny, ponieważ odebrał mu ojca,
którego bardzo kochał. Ale później się na-
wrócił. Dodał też, że mnie jest łatwiej, bo ja
po prostu mogę zacząć być osobą religijną.
Odpowiedziałam, że gada głupoty, mnie
jest o wiele trudniej, bo jego wychowano
w tych rytuałach, a ja nie mam takich do-
świadczeń. Nie potrafiłabym uwierzyć.
Ale w tę potrzebę pracy ponad siły i ko-
niecność, wpojoną przez ojca wiele dekad
temu, uwierzyłam i nie byłam się w stanie
pozbyć tego przymusu. Sławek [Czesław
Bielecki], mój mąż, mówił do mnie z nara-
stającą irytacją: „Ilona, po co bierzesz kolej-
ną rzecz? Przecież nie musisz!”. On zresz-
tą cały czas powtarza, że powinienam wresz-
cie napisać coś poważnego, głębokiego, bo
stać mnie na to”. Ale ja nie mam ludziom
do przekazania jakiejś wyjątkowej wiado-
mości, czegoś, co odmieni ich życie. Jestem
raczej opowiadaczką bajek, w czym świet-
nie się sprawdzam, gdy spędzam czas z na-
szym najmłodszym wnukiem. Bo ileż moż-
na czytać książeczkę o koparce Darka?

**Silnie identyfikuje się pani z tym, co
robi. Jak zatem reaguje pani na krytykę?**
– Jeśli pojawiają się głosy takie jak jeden
z cytowanych w „Zolzie”: „Pani seriale do-
prowadziły do ogłupienia całego społe-
czeństwa”, reaguję ostro. Uważam je za
niesprawiedliwe i niesłuszne.

Od samego początku pracy nad seriala-
mi miałam z tyłu głowy myśl, że muszę się

dobrze zastanowić, co i jak chcę napisać.
Żeby nawet upraszczając świat, nikogo nie
skrzywdzić, przeciwnie – pomóc, dać lu-
dziom zrozumieć, jak w konkretnych sytu-
acjach należy postąpić. Moje scenariusze
miały mieć z założenia walor edukacyjny.
Zrozumiałam siłę oddziaływania seria-
li właściwie na samym początku pracy nad
scenariuszem „Klanu”. Dekorator wnętrz
kupił jakiś serwis dla ekranowej rodziny.
I on nagle stał się najpopularniejszym ser-
wisem w Polsce! Trafił na listy ślubnych
prezentów, okazało się, że uratowaliśmy
produkującą go fabrykę przed upadkiem.
Dostaliśmy zresztą – w ramach podzięko-
wań – karton talerzy z cytrynkami.

**I być może zainspirowała pani nieświa-
domie przyszły product placement.**
– Może. Wtedy pomyślałam sobie, że to coś
niesamowitego, że wiele dobrego można
w takim razie zrobić. No to zrobiliśmy.

Wprowadziliśmy do „Klanu” dziec-
ko z zespołem Downa, Maćka. Produk-
cja dostawała worki listów od rodziców ta-
kich dzieci – z podziękowaniami, że serial
ośmielił ich, by wyjść wspólnie z domu.
Przez lata wmawiano im, że to „wstyd mieć
takie dziecko”, da pan wiarę? Siła rażenia
„Klanu” była w tej sprawie niesamowita.
Po „Klanie” zaczęłam robić serial medycz-
ny, czyli „Na dobre i na złe”. Toczy się w szpi-
talu. To miejsce, gdzie często dzieją się rze-
czy ostateczne, czasem mamy tam szansę od-
być ostatnią, poważną, przez lata odsuwaną
rozmowę z kimś najbliższym. Korzystałam
tu z własnych doświadczeń, a właściwie z ich
braku – ojciec odszedł nagle, nigdy z nim nie
porozmawiałam dogłębnie, wycofałam się,
gdy powiedział, że mogę zacząć wierzyć w Bo-
ga, co wydało mi się głupie. Ta myśl, że coś
mogłam zaniedbać, nie daje mi spokoju. Do
tego doszło przekonanie, że serial musi prze-
kazywać wiedzę medyczną, zachęcać do ba-
dań, do przyglądania się własnemu ciału.

Pewnego dnia w „Wysokich Obcasach”
przeczytałam artykuł o profesor Marii Re-
spondek-Liberskiej, znakomitej kardio-
łożce prenatalnej. Przekonywała, jak waż-
ne jest zrobienie USG płodu w określonym
momencie, gdy serce jest najlepiej widocz-
ne, bo nie jest zasłonięte przez płuca. Po-
myślałam, że to ważna informacja, zwłasz-
cza że mówiła też, że w naszym kraju ro-
bi się USG płodu na potęgę, ale nie w od-
powiednim momencie, co utrudnia moż-
liwość wychwycenia wady serca możliwej
do zoperowania zaraz po narodzinach.
Akurat doktor Zosia, grana przez Mał-
gosię Foremniak, była w ciąży. Posłałam ją
na badanie w terminie, o którym mówiła
Respondek-Liberska, okazało się, że dziec-
ko ma wadę serca, że trzeba będzie opero-
wać zaraz po narodzinach. Wątek ciągnął
się przez kilka odcinków – specjalnie, by
o sprawie dowiedziało się jak najwięcej ko-
biet. Jakiś czas potem przeczytałam list od
jednej z matek, która przyznała, że dzięki
„Na dobre i na złe” uparła się na USG wła-
śnie w tym krytycznym momencie i dzięki
temu dowiedziała się o wadzie serca dziec-
ka. Doszło do koniecznej operacji i maleń-
stwo zostało uratowane. Napisała: „Pani
Łepkowska uratowała moje dziecko”.

**Nie chcę pani martwić, ale i tak więk-
szość Polaków zapamięta głównie, że
kazała pani zginąć Hance Mostowiak
w wyniku kolizji z... kartonami.**
– Wiem, choć nie ja to napisałam. I to, że
pracowałam dla TVP w czasach Jacka Kur-
skiego – choć robiłam to też w dobie in-
nych prezesów, od Miazka poczynając. Ale
tego, że gdy na czele telewizji stał pan Far-
fał z Ligi Polskich Rodzin, wprowadziłam
do serialu wątek geja mającego dziecko,
nikt już nie zapamięta, prawda?

**Mówi się, że – jak mało kto – potrafi pani
wychwycić to, czym żyją Polacy i co ich
naprawdę obchodzi. Potrafiłaby pani
zatem stworzyć obraz statystycznego
mieszkańca naszego kraju?**
– Być może 20 lat temu tak, dziś nie. Ma-
my już naprawdę bardzo mało punktów

wspólnych – poza językiem i kolorem pasz-
portu. Nic już dziś w zasadzie nie łączy
dziewczyny ze Zbawixa z bistro Charlot-
te, bohaterki jednego z programów Poża-
ru w Burdelu, z bezrobotnym mieszkań-
cem ze ściany wschodniej. Transformacja
sprawiła, że pół Polski poszło do przodu,
a drugie pół zostało w tym samym miej-
scu, a właściwie – cofnęło się. Dlatego wie-
dząc, jakie koszty poniosła – i nadal pono-
si – część społeczeństwa, rozumiem hasło
„Balcerowicz musi odejść”.

**Zaraz pani usłyszysz, że jest beneficjent-
ką transformacji.**
– Owszem. Ale dzielę się tym, co zarabiam,
płacę wysokie podatki. Aktywnie udzie-
łam się charytatywnie, więc ze spokojem
w sercu mogę powiedzieć, że spłacam dług
wobec tej części społeczeństwa. I – w od-
różnieniu od części liberalów – nie pogar-
dzam nią, ale staram się zrozumieć.

Skąd ta pogarda się bierze?

– Choćby z własnych kompleksów – ledwo
się człowiek wybił, a już mu się zdaje, że
jest nie wiadomo kim. Gdybyśmy znali od-
powiedź na to pytanie, to może PiS nie rzą-
dziłby drugą kadencję? Może gdyby Plat-
forma Obywatelska – i nie mówię wyłącz-
nie o partii, ale o całym jej zapleczu – nie
miała tej właśnie pogardy wobec „mohe-
rów”, ludzi biednych, zapomnianych, nie
działoby się to, czego doświadczamy? Ta
pogarda zresztą nadal istnieje, tylko teraz
są Grażyny i Janusze, którzy dostali 500+
i w sandałach nałożonych na skarpetki po-
jechali do Juraty na wakacje. To prosta
droga do trzeciego zwycięstwa PiS-u.

Uważa pani, że będą rządzić dalej?

– Chciałabym się pomylić, Boże, jak ja bym
się chciała pomylić. A może wygrają, ale
nie będą mieli większości, to jest też praw-
dopodobny scenariusz.

To dopiero może być piekło!

– Powiedziałabym, że istny burdel...
Coś panu opowiem. W czasie ostatnich
wyborów prezydenckich, w dniu I tury, po-
szłam zagłosować, a następnie pojechałam
z córką na Mazury. Tam włączyłam telewi-
zję i oglądałam wieczory wyborcze. Patrzy-
łam na to, co dzieje się w Elektrowni Po-
wiśle w Warszawie, co wymyślił sztab Ra-
fała Trzaskowskiego, i łapałam się za gło-
wę. Garstka ludzi w ponurym industrial-
nym wnętrzu, która nie potrafiła okazać
nawet cienia entuzjazmu! A – dla kontrastu
– Duda w Łowiczu, przasnie, wśród ludzi,
uśmiechnięty, oni fetujący.

Krzyknęłam do córki: „Czy oni tam
och...li?” Nagle na Messengerze ktoś ze
znajomych odezwał się tymi słowy: „Ilo-
na, czy ty byś nie pomogła tym kretynom
przed turą?”. Odpisałam, że natural-
nie, że za dwie godziny mogę być w War-
szawie, jeśli tylko ktoś w sztabie Trzaskow-
skiego będzie chciał mnie wysłuchać. Wte-
dy zadzwoniła do mnie Joanna Kos-Krau-
ze, która знаła ludzi ze sztabu, obiecała, że
z nimi porozmawia. Oddzwoniła niedługo
później i powiedziała krótko: „Mówią, że
mają swoich specjalistów”.

Nie chcę, żeby czytelnicy pomyśle-
li, że jestem zadufana w sobie i zarozu-
miała. Ale, proszę mi uwierzyć, gdyby lu-
dzie Trzaskowskiego mnie wtedy wysłu-
chali, myślę, że dziś to on byłby prezyden-
tem. A wie pan dlaczego? Bo ja bym powie-
działa Trzaskowskiemu, że ma pojechać
do Końskich na debatę, że, k...a, po pro-
stu musi. Strach, bo Duda będzie znał pyta-
nia, a on nie, nie powinien mieć znaczenia.
Przecież Trzaskowski jest inteligentniej-
szy, to i tak by sobie poradził lepiej – nawet
bez podpowiedzi, prawda? Lepiej niż ten,
kto się wyuczył. Poza tym – na żywo, bez
montażu mógł powiedzieć wszystko, udo-
wodnić, że ma urok, luz, że się natural-
nie uśmiecha, a jego europejskość nie jest
udawana, sztuczna, nadęta jak u przeciw-
nika. Przecież do tego mogą właśnie aspi-
rować ludzie z Końskich i tysięcy podob-
nych miasteczek! Cała publiczność TVP zo-

baczyłaby Trzaskowskiego takim, jakim
jest naprawdę, a nie jak go przedstawia-
no podczas kampanii w „Wiadomościach”.
A oni zaprzepaścili tę szansę.
Uważam, że gdyby mnie wysłuchali wte-
dy, przed Końskimi, Trzaskowski zdobyłby
to brakujące 400 tysięcy głosów i pokonał-
by Dudę. A wyszło na to, że Trzaskowski się
przestraszył! Co to za mąż stanu, który boi
się spotkania ze zwykłymi ludźmi? A mo-
że gardzi nimi? A on pojechał przekonywać
przekonanych w Gdańsku, Szczecinie, Po-
znaniu, bo w Białymstoku albo w Mońkach
mogli go opluć? No to otarłby twarz i powie-
dział: „Może, proszę państwa, zamiasł się
wzajemnie opluwać, porozmawiajmy?”.

**Czy pani w tym momencie składa opozy-
cji jakąś ofertę?**

– Już raczej nie. Przecież oni źle zno-
szą krytykę.

W domu pani rozmawia o polityce?

– Oczywiście. Ale mąż twierdzi, że na po-
lityce się nie znam i kompletnie nie rozu-
miam, o co w niej chodzi.

**A czy mąż, tak blisko przez lata związany
z PiS-em, widzi aby, co ta partia wyrabia,
czy jeszcze nie przejrzał na oczy?**

– Widzi. Od samego początku widzi wiele
złego w działaniach tej władzy, tak jak wi-
dział złe rzeczy w rządach PO, ale ma zasa-
dę – skądinąd słuszną – że większość par-
lamentarna została wybrana w demokra-
tycznych wyborach i trzeba to zaakcepto-
wać, nawet gdy głosowało się na kogoś in-
nego. Mój mąż jest państwowcem...

**No nie, pani Ilono, litości! Jak można
zaakceptować, zwłaszcza będąc pań-
stwowcem, że urzędujący prezydent
w kampanii atakuje osoby LGBTQA+?**
– Jeśli chce pan wiedzieć, jakie na ten te-
mat ma zdanie Sławek, musi pan jego za-
pytać. Moim zdaniem te słowa to był skan-
dał, to było haniebne.

**Tylko że przed nami kampania i znów
w przestrzeni publicznej paść mogą
z ust polityków PiS-u słowa haniebne...**
– Wpływu na to nie mamy, jeśli taka będzie
ich strategia. Ale tym razem – w obliczu
wielu problemów – raczej się nie sprawdzi.
Rządzić już zapewne samodzielnie nie bę-
dą. Nawet temat reparacji wojennych nie
wystarczy. Do głosowania przeciwko PiS-
-owi przekona ludzi kryzys ekonomiczny,
zresztą nie tylko przez tę partię spowodo-
wany. Ale to jednak oni dziś rządzą, z nimi
obywatele będą go kojarzyć.

Co powinna obiecywać opozycja?

– Przede wszystkim, że nie odbierze lu-
dziom tego, co dostali. Opozycja musi bro-
nić socjału jak niepodległości. Wiemy do-
brze, że dzięki takim deklaracjom wiele
można w polskiej polityce uczynić.
Jest jeszcze coś. Tusk musi jeździć tam,
gdzie go dawno lub nigdy nie widziano, i nie
brać udziału w celebacjach, w których wypada
nienaturalnie. Czy jego trzeba witać koniecz-
nie chlebem i solą? To bardzo nieprawdzi-
we, lepiej wykorzystać inne jego przymioty.
I Tusk musi się bezwzględnie spróbo-
wać dogadać z Hołownią, bo jeśli nie stwo-
rzą jednego bloku wyborczego, nie poko-
nąją PiS-u. Ludzie lubią zgodę i wspólne,
przemyślane działanie. No, ale odpalił te-
mat aborcji na życzenie i teraz będzie o tę
zgodę bardzo trudno i z PSL-em, i z Ho-
łownią. To skądinąd całkiem miły i niegłu-
pi facet, bardzo go prywatnie lubię, ale czy
on mógłby już wyrosnąć z krótkich spo-
denek, opanować słowotok, nie odszczę-
kiwać i zachowywać się jak dojrzały poli-
tyk? I dlaczego im się wszystkim bez prze-
rwy leje z ust potok słów? Cokolwiek by
powiedzieć, a nie jest to ironia, Kaczyński
mówi tak powoli i wyraźnie, że – mimo co-
raz liczniejszych wpadek – ludzie go rozu-
mieją. Jego przekaz jest jednoznaczny, a to
działa na jego korzyść. Mniej słów, więcej
skondensowanej treści i prosty przekaz,
panowie! ●



Nadrabiam braki w korespondencji z Państwem – wybaczenia proszę, jeśli nie na każdą wiadomość uda się odpowiedzieć – i trafiłem na mejla od pani Jagody: „Chciałyśmy zgłosić najdłuższą rozwiązywaną weekendówkę – rodzinnie udało nam się w końcu po tygodniu uzupełnić nr 15. Hasło: Niesamowity czas”.

Dziękujemy za miłe słowa, mamy nadzieję, że ów niesamowity czas z hasła „Weekendówki” o rekordach odnosi się też do tego spędzonego na rozwiązywaniu, ale zastanawiam się, czy rekord długo przetrwa. A to dlatego, że dzisiejsza krzyżówka nie należy do łatwych.

Ale od początku.

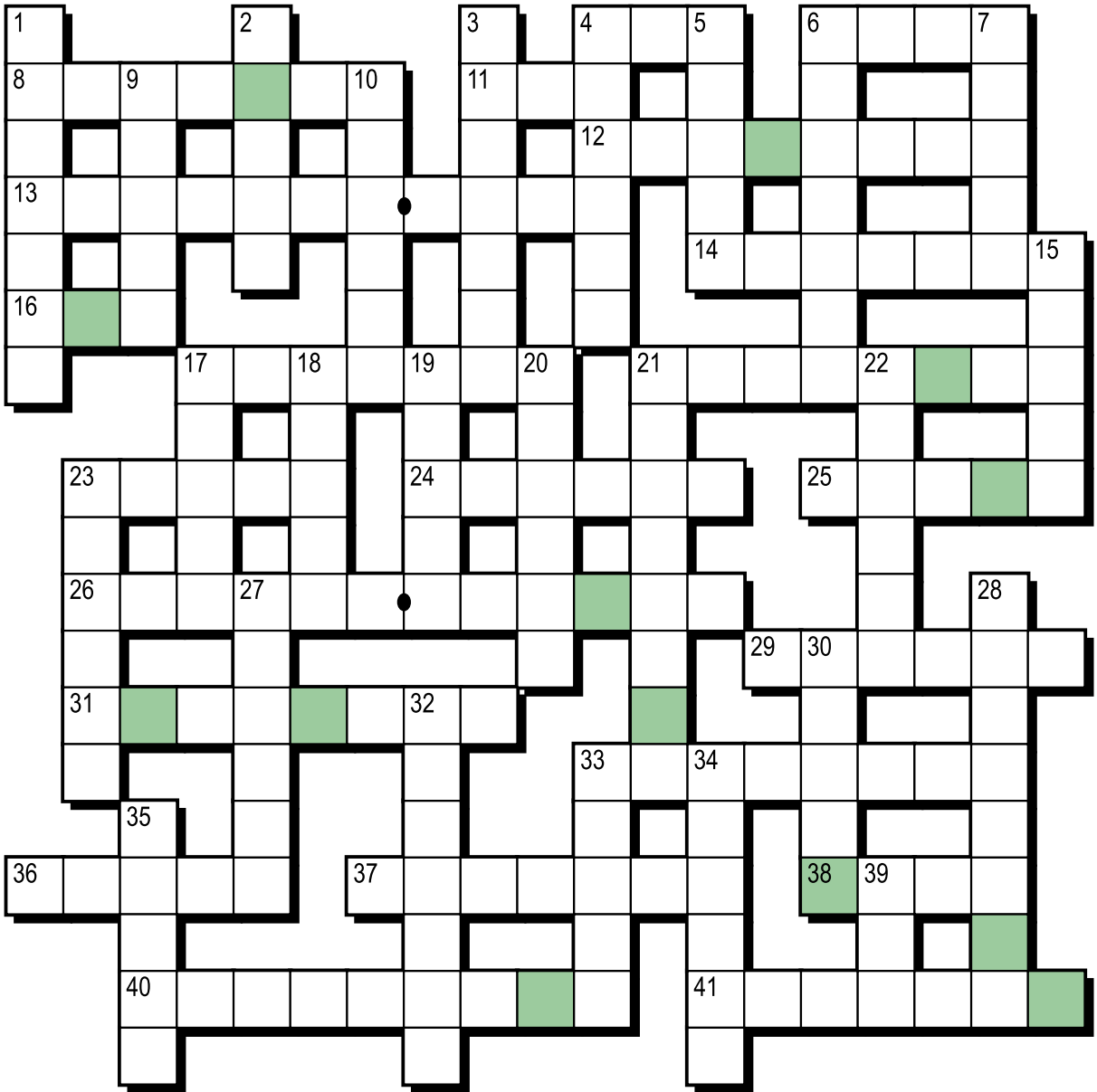
W piątek, 17 września 1971 roku w Poznaniu publiczność po raz pierwszy zobaczyła w akcji kabaret Tey, założony przez studentów Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego: Krzysztofa Jaślara, Zenona Laskowika i Aleksandra Gołębiewskiego. To trio stało za studenckim kabaretem Klops, który, gdy szacowni studenci opuścili mury placówki, przekształcił się w Tey. Tey, czyli z angielska brzmiące „tej”, co w poznańskiej gwarze oznacza „ty”.

Na oficjalnej stronie kabaretu czytamy, że równie istotna była wyprawa tzw. pociągami przyjaźni – wymiana grup w ramach przyjaźni polsko-radzieckiej – do Charkowa. W pociągu spotkali się Laskowik, Jaślar oraz kompozytor Zbigniew Górny (po czesku Nahorny). Był też przedstawiciel gatunku homo sovieticus, któremu Jaślar z Laskowikiem próbowali wcisnąć płaszcz ortalionowy, jakości i urody wątpliwej. Transakcja się udała, a tym samym podwaliny pod Tey zostały położone.

I tak, dzięki PRL-owskiemu przemysłowi odzieżowemu i poznańskiej smykalce do biznesu, dostaliśmy kapitalne skecze: „Małuch”, „Mamuśka” czy „Z tyłu sklepu”, z Bohdanem Smoleniem jako brygadzystką Pelagią („Czy pani jeszcze może... No pewno!”) i Laskowikiem w roli prezentera telewizyjnego (co to prezenty zbiera).

Oczywiście pytania w naszej „Weekendówce” nie będą dotyczyły li tylko Teya, a o pomoc w ułożeniu dla Państwa krzyżówki poprosiliśmy Piotra Gumulca. „Guma” to artysta estradowy, komik, tekściarz, konferansjer, lider kabaretu Chyba i członek kabaretu Spółka z o.o. Jest też autorem audycji „Niewydarzenia” w Radiu Supernova. Prywatnie jest kibicem i amatorem jedzenia, ale te talenty już pewnie przy innej „Weekendówce”. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



FOT. AGATA JAKUBOWSKA

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 17 z 10.09: GALAKTYKA

KABARETY

Hasła Piotra Gumulca oznaczono inicjałami (PG). Liter y w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) Kaczka Pchnięta ... (wpisujemy w mianownik)
- 6) „...”, alkohol i książki”, program Neo-Nówki sprzed lat
- 8) Paranienormalni – Mariolka, Neo-Nówka – ?
- 11) „Polskie ...”, dawny telewizyjny program satyryczny Marcina Wolskiego
- 12) „Nie chciało się nosić teczki, trzeba ciągnąć dziś ...”, ze skeczu o Bolku (Tey)

- 13) prekursor polskiego stand-upu, z przeszłością w O (PG)
- 14) Grupa MoCarta, muzycznie rzecz biorąc
- 16) kabaret Jarosława Cyby i Rafała Pazery
- 17) poznański kabaret z Olgą Łasak w składzie
- 21) Jerzy Wasowski i Jeremi ...
- 23) z Joanną Kołaczkowską na pokładzie
- 24) „Ucho prezesa”
- 25) „Płacze dzieciak, wyje psina, gdzieś ktoś kogoś czymś zarzyna – taka ...” (w piosence kabaretu Dudek)
- 26) wcielił się w postać brygadzystki Pelagii
- 29) gwarantowany podczas kabaretu
- 31) imię Bieleckiego z Neo-Nówki

- 33) Mariusz w żółtym sweterku
- 36) ... Rafała Kmity
- 37) Jerzy, aktor i satyryk
- 38) kabaret kojarzący się z zasmaką
- 40) „Właśnie leci ...”, dawny program telewizyjny Olgi Lipińskiej
- 41) Krzysztof Daukszewicz lub Stanisław Tym

Pionowo:

- 1) sławni i podziwiani artyści
- 2) kabaret z lat 50. i 60., założony przez Zenona Wiktorczyka
- 3) Złota ..., nagroda wręczana podczas Lidzbarskich Wieczorów Humoru i Satyry
- 4) zielonogórski kabaret z Adrianną Borek w składzie
- 5) Roman, filar Neo-Nówki
- 6) nieśmieszne dowcipy stare jak świat

- 7) kabaret z Bożeną i Marilynem Mansonem (PG)
- 9) skecz, w którym 31 poziomo jest Bogiem, a 5 pionowo – Luckiem
- 10) artysta, który pił w Spale, spał w Pile (PG)
- 15) tournée
- 17) zielonogórski kabaret założony przez Tomasza Kowalskiego
- 18) Niedzielski, Skoczylas i Szelc
- 19) „Dislus ... Super Star”, program kabaretu Tey
- 20) Ramzes XVII ze skeczu kabaretu Potem
- 21) Katarzyna, aktorka, stand-uperka, artystka kabaretowa, konferansjerka
- 22) produkty z fabryki pani Pelagii („różne, różniste: kuliste, w kształcie grzyba i cygara”)

- 23) ... Szymczyński, był kierownikiem muzycznym kabaretu Tey
- 27) Tadeusz, prowadził program „Dyżurny Satyryk Kraju”
- 28) jedna z potraw zamawianych przez klienta w chińskiej restauracji (Ani Mru-Mru)
- 30) śpiewali: „Jak to się stało, że mi wypitaś moje kakao” (PG)
- 32) O jeju... zepsuł weekend Asi Kołaczkowskiej w piosence kabaretu Hrabi (PG)
- 33) „... sam w domu”, program Neo-Nówki
- 34) imię Kaczmarczyka z Kabaretu Młodych Panów
- 35) kabaret z Przemysławem Żejmo w składzie
- 39) z programem estradowym „S tyłu sklepu”

Byle do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play